

**ALISTAIR MACLEAN  
HUGH MILLER**

# **NA CELOWNIKU**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: ALISTAIR MACLEAN'S UNACO: PRIME TARGET  
PRZEŁOŻYŁY DANUTA DOWJAT ANNA MARIA NOWAK**

## **PODZIĘKOWANIA**

Jestem wdzięczny Phillipowi Brentowi za informacje o sieci satelitarnej, Nickowi Carpenterowi za uwagi na temat broni palnej i materiałów wybuchowych, Edinowi Mossowi za odsłonięcie kulis funkcjonowania marokańskich służb wywiadowczych, a Rosie Barlach za wiadomości o motocyklistach.

Wyjątkowo serdeczne podziękowania składam Fionie Stewart, mojej redaktorce w wydawnictwie HarperCollins, której czujności i wielkiemu wyczuciu mój rękopis wiele zawdzięcza.

## PROLOG

*Berlin, 24 kwietnia 1945 roku*

Generał Albers wbiegł po ostatnich stopniach prowadzących z bunkra na zewnątrz i stanął na chwilę, łapiąc oddech. Zwykle robił wszystko dwa razy szybciej niż inni, ale w ostatnich czasach uraz kręgosłupa i chroniczna rozedma płuc sprawiły, że takie zachowanie stało się nierozsądne.

— Chwileczkę — wysapał. — Zaraz spojrzę... Odsunął kamuflaż złożony z metalowej ramy przykrytej kawałkami drewna i wyciągając chudą szyję, ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Zdołał dostrzec tylko najbliższą okolicę: dziury, gruzy i powyrywane krzaki.

— Wszystko w porządku — powiedział, obracając się w kierunku schodów i wyciągając rękę.

Hitler nie skorzystał z pomocy. Opierając się o ścianę, o własnych siłach wydostał się na powierzchnię. Młody żołnierz, który miał czuwać nad jego bezpieczeństwem, szedł za nim, ściskając w rękach karabin maszynowy.

— Proszę zaczekać — rzucił ostrzegawczo Albers. Przeszedł przez zasypany gruzem ogródek, czując zapach prochu strzelniczego i kwaskową woń wilgotnej ziemi. W pobliżu bramy wiodącej na ulicę zauważył wielką dziurę, której poprzednio tu nie było. Obszedł ją i postawił kołnierz płaszcza, Oslaniając szyję przez deszczem. Zatrzymał się na środku jezdni i rozejrzał wokół. Po lewej stronie, w odległości dwudziestu metrów, Leibstandarte, oficer SS, ledwo widoczny w czarnym mundurze, podniósł rękę, by zwrócić uwagę generała. Albers skinął mu i zerknął przez ramię na gmach Kancelarii Trzeciej Rzeszy.

Aż zamarł na chwilę, wstrząśnięty widokiem rozległych zniszczeń. Ostatnim razem wyszedł na powierzchnię trzy dni temu. Wówczas tył budowli był jeszcze nietknięty. Teraz Albers miał przed oczami popękane wewnętrzne ściany nośne oraz pozostałości po drugim i trzecim piętrze, które osunęły się na sklepienie parteru. Pociski radzieckiej artylerii, która atakowała stację kolejową Spandau, zrobiły swoje.

Zawrócił w stronę bunkra, gdy wtem poczuł ucisk w uszach, a ziemia zadrżała mu pod stopami. Na zachodzie rozległa się potężna salwa z ciężkiej broni. Albers padł na kolana i w tym momencie z głośnym trzaskiem rozleciał się portal Kancelarii i runął w dół. Generał skulił się, zakrywając rękami głowę, bo na plecy i ramiona posypały się odłamki muru i tynk. Po chwili podniósł się i zobaczył, jak oficer SS wyprowadza grupę młodych chłopców ze spalonego budynku rządowego mieszczącego się po drugiej stronie ulicy.

Joseph Goebbels wynurzył się ze schronu. Chwilę rozmawiał z Führerem, a potem pokuśtykał przez ogródek.

— Czy są gotowi? — zapytał Albersa.

— Właśnie ich prowadzą, panie ministrze. — Albers wskazał chłopców ustawionych wzdłuż ściany po drugiej stronie ulicy. — Nie zdołaliśmy zdobyć odpowiednich mundurów, ale uważam, że w tych warunkach i tak prezentują się nie najgorzej.

Chłopcy byli ubrani w identyczne czarne kurtki zapięte pod szyję i czarne furażerki. Najmłodszy, który miał osiem lat, przestraszył się strzelaniny i zaczął płakać. Próbował go pocieszyć najstarszy z grupy, czternastolatek.

— Porozmawiam z nimi — powiedział Goebbels. — Zajmie mi to parę minut, potem wrócę do Führera.

Idąc w stronę bunkra, Albers próbował oczyścić płaszcz, ale czarny pył marmurowy zmieszany z deszczem tylko się rozmazywał. Spojrzał na żołnierza stojącego przy Führerze — chłopak był śmiertelnie przerażony. Wszyscy sprzeciwiali się urządzaniu ceremonii na zewnątrz. Ostrzegali Führera, że to samobójczy krok, ale się uparł. Twierdził, że tak ważne

zaprzysiężenie musi się dokonać pod niemieckim niebem. Nawet jeśli to niebo było czarne od dymów płonącego Berlina.

— Wodzu, minister już przemawia do chłopców.

Hitler potakująco skinął głową. Jaki on osłabiony i nieprawdopodobnie stary, pomyślał Albers. Cztery dni temu skończył pięćdziesiąt sześć lat, ale' dziś wyglądał na siedemdziesiąt. Zgarbił się, jedną stroną ciała bez przerwy wstrząsały drgawki, a skóra na wychudzonej twarzy nabrała ziemistej barwy. Rozchorował się dzisiaj i wymiotował przez cały ranek. Jego ordynans, Heinz Linge, wezwał lekarza, który podał to, co zwykle. Narkotyk wywołał ten sam co zazwyczaj skutek: twarz Hitlera jeszcze bardziej pobladła, a oczy zabłysły nienaturalnym blaskiem. Wkrótce poczuł się jednak lepiej, nie dygotał tak mocno i nawet zdołał okazać cień zadowolenia na wieść o zaplanowanej uroczystości.

Goebbels skończył mówić i przykuśtykał. Na jego twarzy gościł charakterystyczny zdawkowy uśmiech.

— Wszystko gotowe.

— Doskonale, doskonale. — Hitler pocierał dla rozgrzewki sinawe palce. — A więc mamy trzydziestu chłopców, tak?

— Zgadza się. — Goebbels wyciągnął z kieszeni płaszcza kartkę papieru i rozłożył ją. — Tu są szczegóły całej akcji. Może chcesz przeczytać? Wszystko, rzecz jasna, jest dokładnie tak, jak to zaplanowaliśmy...

— Podaj mi tylko główne punkty, dobrze? — przerwał Hitler.

Goebbels zaczął mówić, ale o kilometr od nich wybuchł pocisk i w niebo poleciał obłok czarnego i żółtego dymu. Mężczyźni przysunęli się bliżej muru Kancelarii.

— Wieczorem, gdy tylko się ściemni — ciągnął nie zrażony Goebbels — pod osłoną konwoju wojskowego chłopcy zostaną wywiezieni z Berlina na ukryte lotnisko SS sześć kilometrów od Tempelhof. O dwudziestej drugiej samolot z oznaczeniami Czerwonego Krzyża...

— Czy to będzie rzeczywiście samolot Czerwonego Krzyża?

— Nie, to transportowiec Wehrmachtu przystosowany do tej misji. Zawiezie chłopców bezpośrednio do Zurychu, gdzie na krótko zostaną w bezpiecznym schronieniu: jest to przerobiony pawilon na chronionym terenie szpitala.

— Którego? — spytał Hitler, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Miał zwyczaj zadawać pytania, by zbić z pantałyku swego rozmówcę.

— Schwesterhaus von Roten Kreuz. Koszty opieki nad chłopcami i zaspokojenia ich potrzeb materialnych będą pokrywane z funduszu, który założył na pańskie polecenie Bormann. Wszystko zostało zaplanowane i nie trzeba będzie szukać pomocy z zewnątrz.

— Czy chłopcy będą tam bezpieczni?

— Najzupełniej. W ciągu miesiąca zostaną przeniesieni do stałego lokum.

— A gdzie to będzie?

— Doskonale miejsce na przedmieściach Berna. To duża rezydencja na terenie wielkiej posiadłości. Stanie się dla nich domem rodzinnym, miejscem, gdzie będą razem dorastać chowani we właściwym duchu i poczuciu braterstwa.

Zupełnie, jakby czytał prospekt reklamowy, pomyślał Albers.

— Staną się braćmi i zawsze, podkreślam, zawsze, będą chronieni przez złymi, demoralizującymi wpływami. Otrzymają wszechstronne wykształcenie i zostaną wychowani zgodnie z założeniami i tezami własnoręcznie spisanyymi przez ciebie, wodzu. A we właściwym czasie powrócą do Niemiec i staną się ostatecznym orężem przeciw żydowskiej zarazie.

— Powinniśmy już zaczynać — wtrącił się Albers. — Chłopcy zmarzną.

Hitler skinął przyzwalająco głową. Albers wyprowadził ich wzdłuż ścian budynku na ulicę. Wiatr się uspokoił, ale lunął deszcz. Hitler ruszył między Goebbelsem a żołnierzem, dłonie

schował w kieszenie płaszcz i nacisnął czapkę na oczy. Kiedy znaleźli się na chodniku, trzy przecznice dalej wybuchł pocisk, tego towarzysze zmylili krok, ale Hitler szedł, jakby nic nie usłyszał.

Zbliżywszy się do chłopców, którzy wyglądali na zupełnie załamanych, Führer wyjął ręce z kieszeni i wyprostował się. Patrzącym natychmiast się wydało, że urósł parę centymetrów. Podniósł głowę i bojowo wysunął do przodu brodę. Wbił swe słynne, magnetyczne spojrzenie w chłopców i się uśmiechnął.

Goebbels skinął głową i trzydzieści dłoni zostało wyrzuconych w górę w nazistowskim pozdrowieniu.

— *Heil Hitler!* — zawołali chórem. Ich okrzyk odbił się echem wśród ruin.

Hitler stanął na zrytej jezdni przed nimi i wykonał ten sam gest pozdrowienia. Oficer SS podniósł do oka zniszczony aparat fotograficzny Leica i nacisnął spust migawki, by uwiecznić tę chwilę. Goebbels znów skinął głową i chłopcy wykonali komendę „spocznij”. Generał Albers postąpił krok do przodu.

— Wodzu, mam zaszczyt przedstawić ci ostatnią grupę kandydatów do Hitlerjugend. To wyjątkowa jednostka, w skład której wchodzi trzydziestu równie wyjątkowych młodych mężczyzn. Wszyscy, co do jednego, są sierotami i każdy synem bohatera Trzeciej Rzeszy.

Albers z plikiem kartek w dłoni podszedł na koniec szeregu. Zaczekał, aż Hitler się do niego przyłączy, a potem zaczął po kolei przedstawiać mu chłopców.

— Erich Bahr, lat dwanaście, syn komendanta odcinka, Konrada Bahra, zabitego z żoną Friedą w lutym podczas bombardowania Drezna. Klaus Garlan, lat dziesięć, syn oficera wojsk pancernych Gregora Garlana, zabitego na Pustyni Zachodniej w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, matka Louisa Garlan zginęła w czasie nalotu bombowego w północno-zachodnim Berlinie w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Albrecht Schröder, lat dwanaście, syn Ottona Schrödera...

Hitler słuchał z uwagą i ścisnął dłoń kolejnych chłopców. Nim dotarł na koniec szeregu, przemókł do suchej nitki, znów się zgarbił, a głowa sterczała mu nad pochylonymi ramionami. Jednak mimo wszystko się uśmiechał, jakby niebo zsyłając promienie słońca, błogosławiło tę skromną ceremonię.

Kiedy przeszedł na środek ulicy, by przemówić do chłopców, w pobliżu w odstępnie ułamków sekundy upadły dwa pociski. Podmuch uderzył w Hitlera, który się zachwiał pod jego naporem. Parę ocalałych okien w Kancelarii wyleciało z framug, posypały się szkło, metal i kamienie. Hitler patrzył, jak u stóp budynku unosi się chmura migoczącego pyłu.

— Może żydokomuna odpłaca się za „Noc Kryształową” — powiedział, próbując znów przywołać na twarz uśmiech.

Odwrócił się do chłopców, poprawił czapkę i wyżej postawił kołnierz płaszcz, osłaniając uszy. Kiedy się znów odezwał, jego głos był stanowczy.

— Powiedziano mi, że jutro lub najpóźniej pojutrze, czołgi amerykańskie i sowieckie spotkają się nad Elbą w Torgau. Moi drodzy chłopcy, w tym strasznym momencie Niemcy, o których zawsze marzyłem, ojczyzna, o którą walczyłem z całego serca, i budowa, której poświęciłem wszystkie me siły — zginie. Zostanie zamordowana przez barbarzyńców podlegających przez światowe żydostwo — przerwał i głęboko zaczerpnął powietrza. — To wszystko, co najbardziej kochamy, uleci z dymem i ten dym rozplynie się na wietrze. A jednak, młodzi przyjaciele, teraz, gdy na was patrzę, moje serce rośnie z dumy. — Hitler powiódł spojrzeniem wzdłuż szeregu i na ułamek sekundy jego wzrok spoczął na każdej twarzy. — Patrzę na was i widzę w was kwintesencję mego Jugend, wcielenie ducha aryjskiego. W każdym z was wyraźnie widzę załążek rasy, narodu, który jest naturalnym wrogiem ludzi niszczących naszą ukochaną ziemię.

Generał Albers na wszelki wypadek przysunął się odrobinę bliżej i zerknął uważnie na twarz wodza; nie mylił się — w oczach Hitlera kręciły się łzy.

— Gdy dorośniecie, spoczna na waszych barkach najróżniejsze obowiązki — ciągnął Hitler, podnosząc głos, by przekrzyczeć łoskot i terkot wystrzałów. — Największym i najświętszym będzie utrzymać przy życiu ducha Rzeszy, a także bez cienia litości niszczyć jego najbardziej nieprzejednanego wroga. To wyjątkowo ważne zadanie. A wy, moi chłopcy, ponieważ macie je spełnić, jesteście równie wyjątkowi — przerwał i znów przebiegł wzrokiem po szeregu. — Jesteście młodym, bijącym sercem Niemiec — dodał. — Jesteście ucieleśnieniem Zygfyda, siłą i nadzieją naszej rasy. Jesteście jej przyszłością.

Wielu chłopców ocierało łzy. Wybuchł kolejny pocisk i zmiotł wypalony budynek na końcu ulicy. Generał Albers podsunął się do Hitlera.

— Wodzu — rzucił ostrym szeptem — powinniśmy wracać do bunkra ze względu na nas samych, a tym bardziej na chłopców. Z każdą chwilą maleje szansa, że wyjdziemy stąd bez szwanku.

Hitler skinął głową w milczeniu i odwrócił się. Albers i Goebbels poszli w ślad za nim. Żołnierz poprowadził ich przez ogród przy Kancelarii, a mokra ziemia mlaskała pod butami. Dotarłszy do schodów, Hitler zatrzymał się i spojrzał za siebie. Oficer SS eskortował chłopców do środka wybebeszonego budynku. Hitler pokiwał głową.

— Och, gdybym tylko mógł... — urwał.

Albers i Goebbels popatrzyli po sobie zaintrygowani.

— Być młody — dokończył. — Tak młody jak oni i mieć wszystko przed sobą.

Minęło kilka godzin. Generał Albers siedział w swej kwaterze, notując w dzienniku ostatnie wydarzenia. Podniósł wzrok na postać cierpiącego Chrystusa na dużym krzyżu z drewna i kości słoniowej.

— Już niedługo — powiedział cicho. — Przy odrobinie szczęścia najwyżej tydzień.

Realizm ukrzyżowania czasem wydawał mu się groteskowy, ale z nikim nie dzielił się tą myślą. To była jedyna pamiątka po żonie, jedyny przedmiot, który ocalał z piekła, gdy brytyjska bomba obróciła wszystko, również i Gretę, w popiół i dym.

— Może zdołasz sprawić, Panie, że będę się mógł poddać komuś, kto potrafi dostrzec ironię losu i nie łaknie wymierzenia kary.

Spuścił wzrok na dziennik i pomyślał chwilę, nim zapisał:

Zostało założone małe, wyjątkowe bractwo. Jeżeli szczegółowe plany sekretarza Bormanna i ministra Goebbelsa zostaną równie skrupulatnie zrealizowane, to ci Żydzi, którzy jeszcze pozostali w Niemczech, pewnego dnia poczują na szyjach uścisk dłoni Führera duszącej ich zza grobu.

Odłożył pióro i zatarł ręce. W pokoju było zimno i wilgotno. Wstał z krzesła, uklęknął i zajrzał pod łóżko. Miał tam dość alkoholu, żeby pokonać chłód. Wyciągnął butelkę i podniósł ją do światła. Trzy, może cztery porcje, ocenił na oko.

— Na dziś wystarczy — powiedział głośno.

Podniósł się, z nocnej szafki wziął szklanekę i nalał do niej miarkę. Poczul nagły impuls, by wnieść toast na cześć przyszłości trzydziestu obszarpanych sierot. Sprawiali wrażenie bardzo przybitych. Wyglądali na żałosne, przerażone dzieciaki bez rodziców. Tak było dzisiaj, ale za ileś lat...

— Boże, to ponure jutro — jęknął.

Spojrzał na półkę nad łóżkiem uginającą się pod ciężarem cennych książek, na oprawione w ramki zdjęcie z dzieciństwa, na którym stał z bratem, na wyrzeźbionego w kości słoniowej Chrystusa o twarzy wykrzywionej bólem i rozpaczą.

— Dlaczego miałbym sprowadzić na świat więcej nieszczęść?

W korytarzu rozległy się okrzyki. Mądrale w centrum dowodzenia znów się wściekali, obrzucając wyzwiskami nieobecnych dowódców, którzy ponieśli porażkę w szalonym

usiłowaniu, by ocalić marzenie nazistów. Albers westchnął i uniósł szklanę w kierunku krzyża.

— Szalom — wyszeptał.

# 1

Stojący na New Bond Street policjant wskazał w kierunku rogu z Clifford Street.

— Niech pani idzie w tamtą stronę i skręci w pierwszą ulicę po prawej — wyjaśnił ładnej Amerykance.

Podziękowała mu.

— Pierwszy raz w Londynie? — zagadnął.

— Och, nie, wręcz przeciwnie. Przyjeżdżałam tu od czasu studiów, ale zawsze gubię się w Mayfair.

Znów mu podziękowała i skręciła w Clifford Street, a potem w Cork Street. Zatrzymała się przy pierwszej galerii sztuki, bo jej uwagę zwrócił obraz królujący samotnie pośrodku okna wystawowego.

— Robi wrażenie, co? — powiedział przechodzień.

Chłodno skinęła głową, aby się go pozbyć w uprzejmy sposób. Osiągnęła taki etap w życiu, kiedy zainteresowanie obcych, przypadkowo spotkanych mężczyzn nie sprawiało jej szczególnej przyjemności.

— I tak pewnie fałszywy — mruknął nieznajomy, ruszając swoją drogą.

Wiedziała, że płótno wyszło spod pędzla George'a Stubbsa, w serii poświęconej koniom. Jabłkowity ogier pędził pośród mrocznych cieni, uniósłszy w górę przednie kopyta, jakby chciał uciec przed groźbą czającą się poza ramami obrazu. Przerażenie w oczach zwierzęcia było aż do bólu autentyczne, pierwotny lęk widoczny lepiej niż na kolorowej fotografii.

Odwróciła się i zmrużyła powieki pod nieoczekiwanym smagnięciem lodowatego wiatru; zastanawiała się, czy ktoś zechce powiesić tak niepokojący obraz na ścianie.

Przed Lancer Gallery zatrzymała się i zerknęła na zegarek. Zasiedziała się nad lunchem, a przecież chciała przyjść tu wcześniej. Jeśli teraz wejdzie, wystarczy jej czasu tylko na krótką wizytę. Zbyt krótką, aby miała sprawić prawdziwą przyjemność. Jeżeli przełoży ją na jutro, będzie sobie mogła pozwolić na długie szperanie pośród płócien. Goniły ją jednak terminy zaplanowanych zajęć i jutrzejsze odwiedziny stały pod znakiem zapytania.

Nie mogła się zdecydować. Kiedy podniosła rękę, by znów spojrzeć na zegarek, mężczyzna, stojący po przeciwnej stronie ulicy, wyciągnął z kieszeni pistolet i strzelił jej w plecy. Siła uderzenia cisnęła młodą kobietę na okno. Drugi pocisk trafił ją w tył głowy i przeszedł przez czoło, roztrzaskując szybę.

Zgięła się wpół niczym szmaciana lalka. Gwałtownym ruchem opadła na kolana. Szklane ostrze przebiło podbródek, przyszpilając ją do framugi okna. Drgawki ustały i ciało kobiety zamarło bez ruchu.

Zabójca uciekał Cork Street w kierunku Burlington Gardens. Minął świadków zbyt wstrząśniętych, by zdołali zrobić coś więcej niż tylko wpatrywać się z przerażeniem w szkło, krew i ciało przybite do framugi.

Na rogu ulicy zjawił się policjant, który wskazał kobiecie drogę. Stał przez kilka sekund oszołomiony, gapiąc się jak inni, aż powoli dotarło do niego, co widzi. Wtedy odsunął się na bok i przyciszonym głosem zaczął coś wołać do krótkofalówki.

Ze stacji metra Sloane Street wynurzył się Arab. Szedł zdecydowanym, spokojnym krokiem ze wzrokiem wbitym w chodnik. Stał przy grupie turystów obok przejścia przez jezdnię, naprzeciwko wejścia do stacji. Miał tu czekać na mężczyznę w zielonym ubraniu.

— Czy wie pan, jak się dostać do Oakley Gardens? — Spytała go drobna kobieta. — Mam wprawdzie mapę, ale to takie skomplikowane.



— Przykro mi. — Nie patrzył w jej stronę i rozglądał wokoło. — Nie znam tej okolicy. — Odsunął mapę, podetknęła mu kobieta. — Używam okularów do czytania, a nie mam ich przy sobie — wykręcił się od spełnienia kolejnej prośby.

Niedbałym ruchem postawił kołnierz kurtki, chowając pół twarzy. Oddychał głęboko, po raz kolejny w myślach nakazując sobie spokój i unikanie kontaktu wzrokowego. Zmusił się do skupienia na podstawowej potrzebie, czyli jak najszybszym powrocie do wynajętego pokoju bez zwracania na siebie uwagi.

Właśnie pojawił się mężczyzna ubrany na zielono, poruszał się dość szybko, ale nie na tyle, by wyróżnić się w tłumie. Ręce wsunął głęboko do kieszeni. Palce prawej dłoni zaciskał na pistolecie. Lufa była jeszcze ciepła.

Przechodząc obok sklepu W.H. Smitha, widział, że światło na przejściu przy Cheltenham Terrace jest zielone, czyli zmieni się, zanim dojdzie do rogu. Przyspieszył kroku i znalazł się przy krawężniku akurat w chwili, gdy zapaliła się czerwona żarówka. Czekaający zbili się w gromadę, dołączył do nich.

— Cholerny ruch — mruknął mężczyzna stojący obok niego.

— Tak.

— W dzisiejszych czasach człowiek nie ma żadnej przyjemności ze spaceru.

— Aha.

Światło zmieniło się na zielone. Zacisnął mocniej palce na kolbie i ruszył przez jezdnię w samym środku tłumu. Znalazłszy się na chodniku, znów przyspieszył, idąc długimi, zgrabnymi krokami. Skręcił w lewo w Walpole Street, a potem w prawo w St Leonard's Terrace. Według jednego z jego licznych prywatnych przesądów, jeśli dwa dni pod rząd wróci do bazy tą samą drogą, stanie się coś złego. Wczoraj poszedł prosto King's Road i dotarł do mieszkania od strony Smith Street. To była znacznie krótsza droga, ale cóż znaczyła oszczędność czasu wobec kuszenia złego losu?

Zbliżając się do końca Royal Avenue, podniósł wzrok i zobaczył, że w jego stronę idzie dwóch policjantów. Dzielilo ich piętnaście metrów, ale był pewien, że patrzą na niego. Zerknął na zegarek. Od wykonania roboty minęło dwadzieścia minut, dość czasu, aby rozesłać po mieście jego rysopis. Przypomniał sobie, że wtedy, tak jak i teraz, do połowy zakrył twarz kołnierzem.

A jeśli szukają mężczyzny o arabskich rysach, z twarzą schowaną do połowy?

Postanowił ruszyć Royal Avenue. Skręcił gwałtownie i wpadł prosto na kobietę, której zupełnie nie zauważył. Nadepnął jej na stopę, krzyknęła głośno. Zerknął na policjantów. Teraz już na pewno go obserwowali.

— Bardzo przepraszam — zwrócił się do niej. — Proszę mi wybaczyć, coś za niezdarą ze mnie...

— Skończony kretyn!

Starał się ją ominąć, ale zamachnęła się złożoną parasolką i uderzyła go w ramię. Poczł zapach whisky. Że też musiał akurat wpaść na wojowniczo nastawioną pijaczkę! Odepchnął ją, ale to nie pomogło — znów się zamachnęła. Odskoczył, ale mimo to wymierzyła rozpaczliwy cios parasolką. Nie trafiła, zachwiała się i runęła na chodnik, wrzeszcząc na cały głos obelgi, bo jej zakupy rozsypały się wokół.

— Ej, ty! — zawołał jeden z policjantów.

— Nic nie zrobiłem! — odkrzyknął Arab. — Potknęła się i upadła, to wszystko.

— Czekaj na miejscu, kolego.

Szli po niego. Serce zakołatało mu w piersiach. Przeskoczył nad leżącą kobietą i pobiegł Royal Avenue. Gałęzie krzewów sięgające z ogrodów na chodnik smagały go po twarzy.

— Stać! Wracaj natychmiast!

Pochylił nisko głowę i gnał jak szalony, a w głowie huczały mu słowa Ahmada Szauki, który ciągle powtarzał: „Nigdy nie daj się złapać policji. W każdym kraju unikaj policji. Nie ma nic gorszego od aresztowania”.

A poza tym jeżeli policja kiedykolwiek go złapie, na niego jego rodzinę spadnie wiekiuste przekleństwo. Był to jego kolejny prywatny przesąd. Biegąc, uświadomił sobie, że wczoraj wieczorem wracał do kryjówki drogą, którą wybrał dzisiaj. To przedwczoraj poszedł prosto King's Street...

— No, chłopie, zatrzymaj mi się zaraz.

To niemożliwe, pomyślał. Jeden z posterunkowych stał przed nim, szeroko rozłożywszy ramiona, a w prawej dłoni trzymał pałkę. Arab zeszywniał i gwałtownie zwolnił kroku, rozumiał, że policjanci się rozdzielili i jeden z nich przebiegł rzeź skwer, żeby przeciąć mu drogę.

— I żadnych głupstw...

Arab zeskoczył z chodnika na jezdnię i przemknął tuż przed nadjeżdżającą taksówką. Odkoczył, unikając zderzenia i oparł się na masce samochodu policyjnego. Gdy zdał sobie sprawę z popełnionego błędu, było za późno — kierowca i jego kolega wyskoczyli z auta i szli ku niemu.

Odwrócił się i zobaczył, że para posterunkowych, przed którymi uciekał, też się do niego zbliża. Pognął na ślepo i wpadł prosto na bok ciężarówki.

— Stój! — zawołał policjant, łapiąc go za ramię. — Ani kroku dalej!

Silna dłoń trzymała za ramię, druga wykręciła mu lewą rękę na plecy. Wbił wolną jeszcze, prawą rękę do kieszeni i chwycił pistolet. Otaczało go czterech policjantów. Wiedział, że gdyby nawet uwijał się jak w ukropie, to i tak ich wszystkich nie zdąży zastrzelić. Pozostało mu tylko jedno wyjście.

— Cholera! On ma broń!

Widział gorączkowo wyciągające się po niego ręce. W ułamku sekundy wsunął w usta wylot lufy. Starał się myśleć o czymś wzniosłym, przywołać obraz, który by podsumował jego życie.

Nic mu nie przychodziło do głowy.

Zamknął oczy i nacisnął spust.

— Jest wtorek, dwudziesty siódmy lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. — Otyły patolog sapał do dyktafonu zawieszzonego na szyi. — Godzina szesnasta trzydzieści trzy. Nazywam się doktor Sidney Lewis i prowadzę wstępne oględziny ciała nie zidentyfikowanego mężczyzny. Ciało zostało przetransportowane do kostnicy koronera w Fulham karetką ze szpitala St Agnes, gdzie ofiara została uznana za zmarłą natychmiast po przywiezieniu o godzinie szesnastej zero osiem, data jak powyżej.

Doktor Lewis wyłączył dyktafon i czekał, bo właśnie pomocnik wprowadził do sali, w której przeprowadzał sekcję zwłok, dwóch policjantów w mundurach i jednego po cywilnemu.

— Inspektor Latham — przedstawił się ten w cywilu. — A to posterunkowi Bryant i Dempsey. To oni ścigali zmarłego tuż przed jego śmiercią.

Lewis zmierzył ich krytycznym spojrzeniem.

— To wy za nim tak gnaliście, że się przestraszył i zastrzelił?

— Tak, ale ja bym inaczej opisał przebieg wypadków — odpowiedział chłodno wyższy, Dempsey.

— I po co tu przyszli?

— Chciałem, żeby popatrzyli na ciało i powiedzieli mi, czy to na pewno ten mężczyzna, którego ścigali — wyjaśnił Latham. — Przy identyfikacji Arabów zdarzają się kłopoty, a

ponieważ ta sprawa może się skomplikować, chcę ustalić podstawowe fakty, nim zatoną w powodzi naukowego żargonu.

Doktor Lewis machnął dłonią w kierunku ciała.

— Panowie, czy to człowiek, o którego wam chodzi?

— To na pewno on — stwierdził Dempsey, Bryant tylko potaknął głową.

— Świetnie. — Lewis ujął dźwignię znajdującą się na końcu stołu sekcyjnego, na którym leżało ciało. — Zanim zaczniemy, proszę powiedzieć, czy mamy do czynienia z jakimiś tajemnicami? Na pewno wiemy, jak umarł? Czy stało się tak, jak mi to opowiedziano? Z całą pewnością popełnił samobójstwo?

— Akurat to nie ulega wątpliwości — odparł Latham. — Reszta to same znaki zapytania. Nie wiemy, kim był, dlaczego użył pistoletu ani dlaczego w ogóle się zastrzelił...

— Wkrótce po zabiciu kobiety na Mayfair — dodał posterunkowy Dempsey.

— To jeszcze nie jest potwierdzone — wtrącił Latham — ale prawdopodobne. Wygląda na to, że zastrzelił kobietę, która stała przed galerią na Cork Street.

— Kim ona była?

— Też jeszcze nie wiemy. Na tym etapie to jeden wielki bajzel. Do tego macza w tym palce dyplomacja amerykańska. Za jakąś godzinę lub dwie będziemy mieli więcej informacji.

— Rozumiem, co ma pan na myśli, mówiąc o bałaganie — twierdził Lewis. — Proszę się nie martwić, zdążymy wyprodukować stos papierów. — Włączył ostre światło nad stołem. — Nie sądzę, byśmy odkryli wiele ponad to, co widać a pierwszy rzut oka. Jeśli pana koledzy pomogą mi go rozebrać, to szybciej wezmę się do roboty.

Zobaczył, że Bryant zmarszczył brwi, a na twarzy Dempseya odmalował się wyraz oburzenia.

— O co chodzi?

Bryant pogardliwie wzruszył ramionami.

— Nie przypominam sobie, by należało to do moich obowiązków służbowych — stwierdził Dempsey.

— W takim razie nie powinieneś zostawać policjantem — powiedział Lewis. — Doprowadziłeś tego biedaka do samobójstwa, a mniej więcej w tym samym czasie komornik w Parsons Green trochę za mocno popchnął dwóch facetów, którym miał zająć dobytek, na wystawę przy wejściu do punktu bukmachera. Szyba poszła i dłużnicy zostali niemal przecięci na pół. Są w drugiej sali i właśnie rozbiera ich mój jedyny pomocnik, ten w zakrwawionym fartuchu, który was tu wpuścił.

— Moim zdaniem nie ma pan prawa mówić, że doprowadziliśmy tego człowieka do...

— Rany, to był dowcip! — zawołał Lewis. — Może i makabryczny, ale w kostnicy bez nich się nie obejdzie. — Potrząsnął głową, patrząc na inspektora. — Od kandydatów powinniście wymagać w pierwszym rzędzie poczucia humoru.

Ubranie zostało ściągnięte i schowane do worka, potem miało być przebadane w policyjnym laboratorium. Stół sekcyjny, na którym nadal leżało ciało, przesunięto na ruchomą wagę. Doktor Lewis odczytał wynik, przystawił końcówkę miarki do stopy i zapisał liczbę, którą wyznaczyła druga końcówka dotykająca czubka głowy. Skończywszy pomiary, znów umieścił ciało w kręgu światła rzucanego przez jarzeniówkę, włączył dyktafon i kontynuował wstępne oględziny.

— Ciało należy do dobrze odżywionego mężczyzny pochodzącego z Bliskiego Wschodu; wiek: między dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia. Waga: siedemdziesiąt dziewięć, przecinek trzy kilograma. Wzrost: sto osiemdziesiąt pięć, przecinek dwa centymetra od czubka głowy do podeszwy. Włosy na czaszce są czarne, skręcone naturalnie. Rogówki i spojówki w normie, tęczówki jasnobrązowe, źrenice zwężone i martwe. Blizny wzdłuż linii włosów pod uszami i na obu stronach nosa wskazują na rozległą i umiejętnie wykonaną

operację plastyczną. Poza znacznym uszkodzeniem głowy, o którym dalej, nie widać żadnych innych ran.

Doktor Lewis ujął długi drut i wepchnął w usta zmarłego. Koniec wyszedł przez dziurę w czaszce, na jego czubku znajdował się skrzep wielkości winogrona. Lewis wyciągnął drut i mówił dalej do dyktafonu:

— Czaszka typowa, z rozległym uszkodzeniem. Widoczny otwór wlotowy z tyłu podniebienia twardego. Pocisk, co stwierdzono sondowaniem, doprowadził do ubytku kostnego w płacie ciemieniowo-potylicznym o wymiarach około dziewięćdziesiąt milimetrów na sześćdziesiąt. Ubytkowi towarzyszy znaczna strata sąsiadującej tkanki mózgowej.

Wyłączył magnetofon i popatrzył na Lathama.

— Tyle wstępne oględziny. Na tym koniec. Reszta po otrzymaniu nakazu wykonania sekcji zwłok. — Lewis włożył palec do ust zmarłego i obmacał krawędź rany postrzałowej.

— Jaką miał broń?

— Automatycznego glocka.

— Dziewięć milimetrów?

— Zgadza się.

— Zarejestrowany?

— Nie w tym kraju.

— Rzeczywiście, głupie pytanie. Nie macie zielonego pojęcia, kim on jest?

— W szpitalu pobraliśmy odciski palców i zrobiliśmy zdjęcia twarzy. Pracuje nad tym PNC, Interpol też, a dziś wieczorem załadujemy wszystkie dane do ICON. Odpowiedź brzmi: tak, nie mamy pojęcia, kto to jest.

W drzwiach pojawił się pomocnik w fartuchu pobrudzonym krwią i powiedział, że jest telefon do inspektora Lathama. Detektyw poszedł do biura i wrócił po dwóch minutach.

— Poza niewielką sumą pieniędzy i bronią, zmarły miał przy sobie tylko zdjęcie — zwrócił się do patologa. — Fotografiją przedstawiającą dwie kobiety siedzące w kawiarni. Ktoś właśnie zauważył, że jedną z osób na zdjęciu jest kobieta zastrzelona w Mayfair dziś po południu.

— Jak pan sądzi, dlaczego nie można dokonać jej identyfikacji?

— Interesuje się nią ambasada amerykańska. Zapewne wiedzą o niej wszystko, podobnie jak i nasi szefowie, ale w ustalonej wcześniej procedury ogólnej informacji z góry spływają powoli i nie możemy tego przyspieszyć. Zupełnie, jakbyśmy nie wiedzieli, co jest dla nas dobre.

— Ciekawa rzecz. — Lewis znów przyglądał się ciału. — On jest bardzo muskularny. — Uniósł ramię, zważył je w dłoniach i pomacał mięsień. — Zapewne bardzo dużo ćwiczył albo ostatnio służył w armii. — Podniósł rękę jeszcze wyżej i patrzył na coś z uwagą.

— Co takiego?

— Nasz Abdul ma tatuaż ledwo widoczny we włosach pod pachami. Proszę spojrzeć.

Nie potrafili rozróżnić kształtu, więc patolog ujął nóż z prostym ostrzem i ostrożnie wygolił nim pachę.

— I co pan na to powie, doktoru?

— Wygląda jak koncentryczne koła, pomarańczowe, brązowe i żółte z wyraźnym niebieskim obramowaniem. Może to być jakiś egipski talizman, nie znam się na tym.

— Albo symbol muzułmański — podsunął Latham.

— Jeśli spojrzeć z mojej strony, to nic w tym tajemniczego — stwierdził posterunkowy Bryant stojący na drugim końcu stołu.

Lewis obrócił głowę i stanął z boku.

— Niech mnie kule biją — mruknął.

— Co to jest?

Inspektor patrzył na znak spod zmarszczonych brwi.

— Koci pysk — ocenił Lewis. — Wyjątkowo wrednie uśmiechnięty.

W środę, dwudziestego ósmego lutego, przed południem, dziesięć po dziesiątej czasu wschodnioamerykańskiego, trzynaście godzin po stwierdzeniu zgonu Araba w londyńskim szpitalu, na monitorze ICON kwatery głównej UNACO w nowojorskiej siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych pojawił się zdumiewająco wyrazisty rysunek wytatuowanej kociej mordki. Towarzyszyły mu fotografia zmarłego Araba wraz z protokołem sekcji zwłok i zdjęciami przedmiotów znalezionych przy nieboszczyku. Tom Gilbert, który pełnił dyżur przy komputerze z najświeższymi informacjami, zrobił staranne wydruki i przez następne dwadzieścia minut gromadził dodatkowe dane. Następnie zaniósł to wszystko do gabinetu dyrektora LJNACO.

Ten rano niczym się nie różnił od innych pełnych zajęć poranków w gabinetach i pomieszczeniach służbowych UNACO. LJNACO, działająca pod egidą Rady Bezpieczeństwa Organizacja do Walki z Przestępczością, zajmowała całe piętro budynku dominującego nad East River, siedziby ONZ. Ponad dwustu pracowników, w większości doskonale wyszkolonych specjalistów, działało w tej międzynarodowej organizacji najskuteczniej walczącej z przestępczością. Trzydzieścioro wybitnych agentów, rekrutujących się z policji i wywiadu różnych państw, składało się na dziesięć ekip określanych mianem siły uderzeniowej i, na mocy porozumień międzyrządowych, mogło swobodnie przekraczać granice państw. Ludzie ci nie musieli podporządkowywać się przepisom policyjnym i stosować do umów międzynarodowych, a w razie konieczności mogli nawet łamać prawo. UNACO miała zwalczać przestępczość w skali międzynarodowej w oparciu o personel i fundusze otrzymywane od krajów członkowskich ONZ. Nie była to zatem tajna organizacja, ale nie życzyła sobie rozgłosu. Na drzwiach gabinetów nie umieszczono tabliczek, numery telefonów nie figurowały w książkach telefonicznych, pracownicy zaś nigdy głośno się nie przyznawali do związków z UNACO. Dyrektor UNACO, Malcolm Philpott, odpowiadał wyłącznie przed Przewodniczącym Rady Bezpieczeństwa oraz Sekretarzem Generalnym ONZ.

Kiedy Tom Gilbert wszedł do obszernego gabinetu szefa, Philpott wpatrywał się w list napisany na papierze firmowym CIA.

— Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem. — Gilbert bezszelestnie przeszedł po grubej wykładzinie i położył teczkę na biurku. — To może się okazać ważne.

— I to też. — Philpott postukał palcem w list. — Pamiętasz Tony'ego Prine'a i jego jednoosobową misję w Bolivarze?

— Prine'a? — Gilbert zastanowił się przez chwilę. — Specjalistę od sabotażu przemysłowego? Tego Prine'a?

— We własnej osobie. Wyjątkowo pomysłowy gość. Miał odkryć fabrykę rozpuszczalnika niezbędnego do produkcji kokainy, znajdującą się gdzieś w okolicach Cartageny. Twierdzi, że jeśli to ma jakiś związek z nami, to powinniśmy powiedzieć ludziom na górze, żeby się przygotowali na skargi rządu kolumbijskiego za prowadzenie na ich terenie nie uzgodnionych akcji w zwalczaniu produkcji narkotyków.

— Czyli wygląda na to, że Prine znalazł swój cel.

— Powiadom mnie, kiedy tylko się skontaktuje. Lekkie poklepanie po plecach będzie pożądane.

O tej porze twarz Philpotta była jeszcze nieco nabrzmiąta — uboczny skutek leków nasercowych. Sprawiał jednak wrażenie gotowego do działania i czujnego. Wskazał mały ekspresik do kawy na stoliku przy biurku.

— Poczęstuj się mediolańską mieszanką, Tom. Wypita tak wcześnie może i szkodzi na serce, ale czyni cuda dla ducha.

Gilbert nalał sobie kawy do kubka i usiadł. Philpott przejrzał zdjęcia i zapoznał się ze wstępnymi informacjami. Podniósł wzrok.

— Nie zidentyfikowano tego Araba?

— Jeszcze nie. Niedawno przeszedł operację plastyczną, która zmieniła tak pionowy jak i poziomy układ twarzy.

— Czyli może to być ktoś bardzo poszukiwany. Coś więcej oprócz tego, co mi tu dałeś?

— Kobieta, którą zabił najprawdopodobniej ten właśnie mężczyzna...

— Ta po lewej na zdjęciu znalezionym przy nieboszczyku. Już to przeczytałem i widziałem fotografię.

— Nie poznajesz jej?

Philpott przysunął zdjęcie pod lampkę. Kobieta miała bladą, delikatną twarz o drobnych rysach, otoczoną miękkimi blond lokami. Na zdjęciu stała obok równie ładnej kobiety o zdecydowanym spojrzeniu i gęstych, ciemnych włosach.

— Na pewno ją znasz — upierał się Gilbert.

— Naprawdę? — Philpott pokręcił głową. — Spotygam mnóstwo pięknych kobiet, choć ostatnio nie towarzyszy temu przyjemny dreszczyk. — Westchnął. — O ile mnie wzrok nie myli, ten zakiet pochodzi od Donny Karan, ale osoby nie poznaję.

— To Emily Selby — powiedział Gilbert. Philpott przez chwilę zbierał myśli.

— Zajmowała się analizami politycznymi w najnowszej ekipie Białego Domu, prawda?

Gilbert przytaknął.

— Specjalizowała się przede wszystkim w państwach środkowej oraz południowo-zachodniej Azji.

— Wielki Boże, rzeczywiście niedawno rozmawiałem z nią la jakimś przyjęciu. — Philpott westchnął. — Chyba zaczynam się starzeć. — Ponownie przeczytał szczegóły. — Tak więc, wczoraj po południu przed Lancer Gallery w samym sercu Mayfair Emily zginęła od strzałów w kregosłup oraz tył głowy. Kule pochodziły z pistoletu Glock 17, tego samego, który znaleziono przy martwym Arabie. Co ona robiła w Londynie?

— Wedle biuletynu Reutera przebywała na swoim corocznym urlopie w Europie.

— Wiemy, kim jest jej towarzysza na zdjęciu?

— Tak, znalazłem ją w bazie danych w „FaceBase”.

— Doprawdy? A ile czasu ci to zajęło?

— Trzy minuty.

„FaceBase” był to komputer, który na podstawie zdjęcia przypisywał nazwisko do twarzy jednej z trzech milionów osób, której dane wpisano do jego pamięci.

— To nigdy nie trwa dłużej — dodał Gilbert.

Philpott zmierzył go wzrokiem.

— Czy mi się zdaje, czy słyszę pyszalkowaty ton?

— Cóż, wygląda na to, że urządzenie za każdym razem się sprawdza i rzeczywiście, przyznaję, że ogromnie nalegałem na jego instalację, choć pewne osoby...

— Pewne osoby! Chciałeś powiedzieć: choć wyłącznie ja się temu sprzeciwiałem, twierdząc, że szkoda marnować pieniądze na grata, który tylko będzie zajmował miejsce. — Philpott wzruszył ramionami. — Myliłem się.

— To nadzwyczaj wielkoduszne z twojej strony, że się do tego przyznajesz, szefie.

— Tom, kiedy człowiek ma rację tak często jak ja, to od czasu do czasu musi pobłądzić. Inaczej uznano by go za nieomylnego. A to nigdy nie zdaje egzaminu.

— Druga kobieta nazywa się Erika Stramm — wrócił do tematu Gilbert. — Jest Niemką, pisuje teksty polityczne do różnych tytułów, wykazuje lekkie sympatie proterrorystyczne. Dwukrotnie odmówiono jej wizy amerykańskiej.

— Ale nie potrafimy stwierdzić, co ją łączy z Emily Selby?

— Na razie nie.

Philpott wstał, podszedł do okna i zapatrzył się na niezliczone flagi różnych narodów powiewające przed budynkiem. Biuro mieściło się na dwudziestym drugim piętrze siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych. Z tej wysokości wszystko wyglądało schludnie, napawając człowieka otuchą.

— Czyli — podsumował Philpott — w tym momencie wiemy jedynie, że mężczyzna pochodzący ze Środkowego Wschodu zabił w centrum Londynu pracownicę rządu amerykańskiego. Sądzę, że dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o zabójcy oraz jego motywach, powinniśmy uznać tę sprawę za drugorzędną. Każę ludziom z wywiadu politycznego, żeby poszperali i spróbowali znaleźć jakieś poszlaki. — Odwrócił się od okna i uśmiechnął bez wesołości. — Dzięki, że mnie o tym powiadomiłeś.

Gilbert zrozumiał, że się go wyprasza. Wstał i dopił kawę.

— A co z odciskami palców nieboszczyka?

— Przekazano je przez ICON, szefie. Dostarczyć ci je?

— Nie, daj je Mike'owi Grahamowi wraz z całą dokumentacją. Powiedz mu, że chcę otrzymać szczegółowe opracowanie natychmiast, gdy uda mu się je wypocić. Siedzi w pokoju przesłuchań, stękając nad raportami. Będzie wdzięczny za odmianę.

Po wyjściu Gilberta Philpott podniósł słuchawkę i kazał telefonistce UNACO odszukać numer Miasta Straceńców w Hounsiow w Anglii.

— Sądząc po nazwie miłutka miejscowość — stwierdziła pani Redway.

— Jeśli jej pani nie znajdzie pod tym hasłem, proszę sprawdzić pod prawdziwą nazwą, czyli Ośrodek Treningowy Pilnowania Ładu Publicznego, kod TO 18. Przeprowadza się tam szkolenia, podczas których na symulowanych sytuacjach policjanci mają się nauczyć powstrzymywać rozszalały tłum. Nie wiem, czy do końca popieram tę metodę, lecz faktem pozostaje, że Anglicy opracowali najlepsze sposoby radzenia sobie z tłumem.

— Najprawdopodobniej pierwszy pracownik pojawi się tam nie wcześniej niż za trzy godziny.

— Wiem. Powiedz strażnikowi, który odbierze, żeby Sabrina Carver natychmiast po przyjeździe do Hounsiow skontaktowała się z wujkiem.

W prognozie o szóstej rano zapowiadano, że dzień będzie chłodny, lecz słoneczny. Kiedy Sabrina Carver jechała piffce Chiswick i Brentford, wisiała tam jeszcze mgła, która gęstniała w miarę zbliżania się do Hounsiow. Przyhamowawszy, żeby sobie poradzić na krętych uliczkach miasta, Sabrina włączyła radio, chcąc wysłuchać wiadomości o wpół do dziewiątej.

Prezenter był denerwująco rześki jak na tę porę dnia. Poinformował, że Sinn Fein będzie mogło wziąć udział w rozmowach pokojowych, o ile jego działaczom uda się przekonać IRA do przywrócenia, złamanego niedawno, zawieszenia broni; kobieta zastrzelona na Mayfair to najprawdopodobniej amerykańska turystka, lecz jej tożsamość pozostaje nieznana; pięciu studentów zginęło w wypadku samochodowym w Milton Keynes; sąd hrabstwa York skazał psychopatycznego mordercę, który dokonał licznych zabójstw, na potrójne dożywocie; grupa naukowców pod kierownictwem Anglików właśnie wyjechała do Pizy, gdzie mają podjąć próbę powstrzymania procesu przechylania się słynnej wieży.

I tyle. Żadnych wiadomości ze Stanów. Trzeci czy czwarty raz od przyjazdu do Anglii Sabrina obiecała sobie, że spróbuje złapać Głos Ameryki. Jakies przedziwne urządzenia zakłócające w ośrodku policyjnym, w którym mieszkała, skutecznie uniemożliwiały odbiór na falach krótkich.

Zatrzymała się przed barierką Miasta Straceńców i uśmiechnęła do posterunkowego stojącego na warcie. Pomachał jej jak zwykle, lecz dziś rano wyglądało to jakoś inaczej. Sabrina zdała sobie sprawę, że policjant ją przywołuje. Wysiadła z wozu i wsunęła głowę do małej wartowni.

— Cześć, Terry. Co się stało?



— Masz zadzwonić do wuja — odparł. — Jak najszybciej.

— Aha. Dobra.

Dopiero po chwili dotarło do niej, o co chodzi. Jeszcze dwa tygodnie temu hasłem był kuzyn Malcolm.

— Jak chcesz, możesz skorzystać z tego telefonu.

Sabrina zdawała sobie sprawę, że w ten sposób złamałaby reguły obowiązujące w Mieście Straceńców. Wiedziała też, że Terry bardzo chętnie zrobiłby jej tę uprzejmość, gdyby to oznaczało, że zdobędzie dodatkowe punkty u tej wysportowanej blondynki dorównującej mu wzrostem. Przy herbacie i biszkoptach w kantine zdążył ją już poinformować, że marnuje się jako policjantka; powinna występować w filmach.

— Nie trzeba — podziękowała Sabrina. — Później do niego zadzwonię. Nie chcę się spóźnić. Gdyby wujek jeszcze telefonował, powiedz, że skontaktuję się z nim, kiedy tylko będę mogła.

Terry obiecał przekazać wiadomość. Sabrina wsiadła do samochodu i ruszyła dalej. Dopiero znalazłszy się za budynkiem administracyjnym, zahamowała i wyjęła z torebki telefon komórkowy. Wystukała trzy cyfry. W słuchawce rozległy się trzaski, potem sygnał. Philpott odebrał po trzecim sygnale.

— Właśnie otrzymałam wiadomość, szefie.

— Świetnie. Miło cię słyszeć, moja droga. Przeglądałem raport dowódcy waszej drużyny dotyczący twoich postępów. Oczywiście, sądził, że te notatki będą przeznaczone wyłącznie do informacji jego londyńskiego przełożonego, więc znajdzie się tu parę antyamerykańskich, seksistowskich komentarzy o rozpychających się łokciami jankeskich feministkach oraz ich taktykach, lecz w sumie zrobiłaś na nim wrażenie. Napisał, że... Zaraz, gdzie to było... — Szelest papieru. — ...Na szczególną uwagę zasługuje twoje całkowite opanowanie sytuacji na pierwszym poziomie w GWZ.

— Pierwszy poziom to najtrudniejszy etap treningu zachowywania porządku publicznego. A GWZ to Grupa Wsparcia Zewnętrznego.

— No i co robicie w tej waszej GWZ?

— Najróżniejsze rzeczy związane z panowaniem nad tłumem i utrzymywaniem porządku. Wczorajszy trening polegał na opanowaniu sytuacji po wybuchu koktajlu Mołotowa na makiecie Battersea Street. W pewnym momencie się zapaliła, ale kilku miłych panów inspektorów ugasiło płomienie.

— I kupili twoją przykrywkę?

— Jasne, sądzą, że jestem gliną z Nowego Jorku. W kółko żuję gumę i klnę. To nie taka znowu trudna przykrywka. No, ale jestem pewna, że nie kazałeś mi do siebie dzwonić tylko po to, żebyśmy ucieli sobie miłą pogawędkę.

— Rzeczywiście, nie po to. Mam dla ciebie pewną robótkę, skoro już tam się kręcisz.

Philpott opowiedział pokrótce o zabójstwie Emily Selby oraz możliwości, że sprawą zajmie się UNACO.

— Wiesz, jakie obawy zawsze towarzyszą tego rodzaju sprawom. Abstrahując od możliwości, że Emily Selby była szpiegiem, pozostają inne powody do niepokoju. Zabójca mógł być żądnym odwetu Palestyńczykiem.

— Czy Emily była Żydówką?

— Owszem. Pomyśl o konsekwencjach: Żydówka, pracownica rządu Stanów Zjednoczonych, zabita przez człowieka wyglądającego na Araba.

— Nasuwa się tu wiele scenariuszy.

— Cóż, na razie wystarczy, że będziemy sobie zdawać z nich sprawę — uciął Philpott. — Emily wynajmowała nieduży apartament w hotelu Knightsbridge Lawn i, o ile przez ostatnie dwa lata międzyrządowa procedura nie uległa jakiegóż szaleńczej zmianie, to przez następne

kilka dni pokoje będą zapieczętowane, póki nie zostanie ustalone, kto właściwie ma prawo grzebać w rzeczach nieboszczki.

— Chcesz, żebym ja dokonała wcześniejszej rewizji.

— Gdybyś mogła.

— Jakies sugestie, za czym powinnam się rozejrzeć?

— Może dziennik, jakieś niezrozumiałe notatki albo cokolwiek, co nie pasuje do reszty jej rzeczy. Postaraj się sprawdzić, czy rzeczywiście Emily była tak godną zaufania osobą, jak przypuszczano.

Sabrina zerknęła na zegar wiszący na ścianie głównego budynku. Jeśli chce napić się kawy, zanim ludzie zaczną ciskać w nią kamieniami, to powinna już ruszać.

— Mam to zrobić dziś wieczorem, szefie?

— Nie później.

— W takim razie będę musiała trochę pokombinować.

— A czemuż to?

— Jutro rano odbędzie się dokładna, niemal wojskowa kontrola sprzętu. Wolę nie mówić, w jakim stanie jest mój. Przygotowanie tego zajmie trzy bite godziny.

— Jesteś agentką UNACO, moja droga, co znaczy, że do twoich licznych zalet należy pomysłowość. Nie wątpię, że sobie poradzisz. Jak długo zostajesz w Hounslow?

— Kurs się kończy jutro.

— Wielkie nieba, jak ten czas szybko mija.

— Mam nadzieję, że w sobotę będę już w Nowym Jorku.

— I nie wątpię, że ujrzymy wtedy jeszcze bardziej szykowną, wytrawną i przeszkoloną emisariuszkę sprawiedliwości niż ta, która nas opuszczała.

— Mówisz poważnie, szefie?

— Niekoniecznie — odparł Philpott. — Uważaj na siebie, Sabrino.

— Jak zawsze — obiecała.

Kiedy trzy minuty później wchodziła do kantyny, jak zwykle zapadła cisza. Na ułamek sekundy umilkły wszystkie rozmowy i szczerki sztućców, a obecni w kantynie przerwali swoje czynności, by zerknąć na wchodzącą kobietę.

Sabriny ani to nie żenowało ani nie krępowało. Już jako nastolatka przyciągała spojrzenia; w Hounslow dochodził jeszcze jeden element, zawodowy. Ta blondynka była amerykańską policjantką — tak przynajmniej sądzili wszyscy uczestnicy kursu — a jako że każdy policjant w marzeniach widzi się w roli nowojorskiego gliny, Sabrina stanowiła obiekt powszechnej zawiści.

— Kawa, tak? Czarna, bez cukru?

Pulchny inspektor Lowther zerwał się od stolika niedaleko drzwi, wskazując krzesło stojące naprzeciwko tego, które sam zajmował.

— I tak już miałem iść. Usiądź, za moment ci przyniosę.

— Dzięki.

Kiedy Sabrina wysuwała krzesło, młody policjant przy stoliku obok zawołał:

— Hej, rozstrzygniesz nasz spór? — Pokazał na jej czarny, bawełniany kombinezon. — Szyte na zamówienie, prawda?

— Pudło. — Sabrina pokazała palcem na złoto–granatowy emblemat na ramieniu. — To standardowy ubiór nowojorskiej policji.

— Doprawdy? A wszyli specjalne, głębokie kieszenie na łapówki?

Sabrina uśmiechnęła się do kpiarza.

— Zdaje się, że oglądałeś za dużo kiepskich filmów. Postaraj się częściej obracać w prawdziwym świecie. Przekup dziewczynę, żeby się tam z tobą wybrała.

Poczerwieniał, najwyraźniej dotknięty rechetem kolegów. Odwrócił wzrok i nic już nie powiedział.

— Proszę... — Inspektor Lowther postawił przed nią kawę, po czym usiadł ze swoją herbatą i pączkiem. — Mam nadzieję, że nie ostygła.

— Nie, jest gorąca, dziękuję.

Pocziwina, bardzo starał się ją poderwać, a Sabrinę rozbrajały jego zaloty. Przykleił się do niej od pierwszego dnia szkolenia i pomagał, kiedy początkowo sobie nie radziła, ani razu przy tym nie próbując się do niej dobrać. Oczywiście, Sabrina wyczuwała, że w głębi ducha liczył na coś więcej. Po wyjeździe z Anglii nie będzie tęsknić za Lowtherem, ale też nie będzie go wspominać z niesmakiem.

— Więc — zagaiła, byle coś powiedzieć — dziś wielki finał, co?

Skinał głową.

— Kamienie, butelki, koktajle Mołotowa, płonące budynki, pełen zestaw. Do wyboru, do koloru. Zdenerwowana?

— Strasznie — skłamała. — A ty? Czy kiedykolwiek naprawdę znalazłeś się w takiej sytuacji jak te, które dla nas aranżują? Oko w oko z ludźmi rzucającymi wszystkim, co im wpadnie w rękę, ogarniętymi nienawiścią, zbyt rozwścieczonymi, by słuchać głosu rozsądku?

— Miałem próbkę tego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, kiedy wybuchły zamieszki w związku z wprowadzeniem pogłównego. Wylądowałem na Trafalgar Square, gdzie dopadł mnie facet z nogą od krzesła, zionący nienawiścią do policji. Przeleżałem dziesięć dni w szpitalu.

— Fiu—fiu.

— W Nowym Jorku też pewnie nieraz masz niezłą zabawę.

— Nigdy nie stałam oko w oko z tłumem.

— A musiałaś choć raz użyć broni?

— Nie — ponownie skłamała, myśląc: Nie uwierzyłbyś, ilu ludzi mam na koncie. — Do tej pory byłam przydzielona do drogówki.

— Cóż, przynajmniej pracujesz w interesującym miejscu.

— Tego bym nie powiedziała. Raczej w zwariowanym, to określenie bardziej do niego pasuje.

Wtem, bez żadnego wstępu, bez najmniejszego ostrzeżenia, Lowther nachylił się i spytał:

— Zjadłabyś dziś ze mną kolację, Sabrino?

Ta mina — pomyślała — tęskny uśmiech, oczy, które mówią, że jeśli odmówi, złamie mu serce. To nigdy nie skutkowało, zawsze uważała takie zachowanie za emocjonalny szantaż, jeszcze jeden powód do pogardzania mężczyznami. U tego faceta zaś to po prostu wyglądało żałośnie.

— Dziś wieczorem już jestem zajęta — odparła, równocześnie dostrzegając świetną okazję.

— Aha.

Wzruszył ramionami.

— Ale powiem ci coś... Kończymy jutro w południe, prawda? Miałbyś ochotę na lunch gdzieś na West Endzie? Ja stawiam, żałuję, że kolacja nie wchodzi w grę, ale muszę złapać wieczorny samolot do Nowego Jorku.

Z rozbawieniem obserwowała jego twarz. Wszystkie uczucia było widać jak na dłoni. Liczył na coś więcej. Wykręciła się od kolacji, ale to lepsze niż bezwzględne odrzucenie; nie zaproponowała wieczornego posiłku, tylko jakiś nieromantyczny lunch w środku dnia, no ale przynajmniej nie odrzuciła go ostatecznie...

— Tak, doskonały pomysł — przystał — ale nie mogę się zgodzić, byś ty stawiała.

— Nie ja, nowojorska policja — uspokoiła go Sabrina. — Finansują dwa moje wypadki do miasta, tymczasem ja nie byłam ani razu, więc możemy zahulać. — Posłała mu uśmiech serdecznej przyjaciółki. — Umowa stoi?

Potaknął, całkowicie rozbrojony.

— Och, a przy okazji... Miałam cię o coś spytać. Wiem, że to bezczelne z mojej strony...

— Mów — zachęcił łaskawie. — W czym rzecz?

— Cóż... — Zrobiła stropioną minę. — Jutro rano jest ta przedwyjazdowa kontrola sprzętu. Nie ulega wątpliwości, że bardzo poważnie do tego podchodzą. Nie chciałabym stracić punktów, a mam bardzo mało czasu, bo muszę jeszcze zajrzeć do tej kobiety...

— Chcesz, żebym przygotował twój sprzęt?

— Och, nie, uchowaj Boże! Nawet bym nie śmiała czegoś takiego proponować! Myślałam tylko, że może znajdziesz kogoś, kto zrobiłby to za mnie. Oczywiście za jakimś wynagrodzeniem.

— Ja się tym zajmę.

— Naprawdę?

— Masz to u mnie.

— Ależ to tyle...

— Słuchaj, Sabrino, uznajmy sprawę za zamkniętą. To będzie dla mnie przyjemność.

Pogładziła go po ręce.

— Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

Warto było zobaczyć jego rozanieloną minę.

Kiedy Philpott wszedł do pomieszczenia, skąd dzięki specjalnym zabezpieczeniom można się było komunikować bez obawy podsłuchu, zastał Mike'a Grahama w fotelu, zgarbionego przed sześcioma ekranami komputerowymi, ustawionymi w dwóch rzędach.

— Wiem, że prosiłeś o dodatkową godzinę. — Dźwiękoszczelne ściany i sufit pokoju tłumiły głos Philpotta. — Ta sprawa jednak coraz bardziej mnie nęka.

— Mnie też ona zaczyna śmierdzieć — odparł Mike. — Od dwudziestu minut nie mogę sobie poradzić z jednym przeklętym drobiazgiem. Morduję się, a do niczego nie dochodzę.

Wyprostował się i przeciągnął. Był smukłym, jakby żywcem przeniesionym z reklam telewizyjnych mężczyzną o regularnych rysach twarzy i pociągającym uśmiechu. Philpott, który nie spoczął, póki nie dopatrzył się we wszystkim wady, często powtarzał, że Mike nosi za długie włosy.

— Kiedy będziesz miał jakieś warte przedstawienia konkrety?

— Już mam.

— Świetnie. — Philpott zajął miejsce na obrotowym krześle obok Mike'a. — Możesz się pokusić o wstępną ocenę?

— Cóż, to z całą pewnością sprawa leżąca w obszarach zainteresowań UNACO, ponieważ nieboszczyk miał za sobą przeszłość terrorystyczną. Naprawdę nazywał się Jakub Hisham i, tak jak wszyscy podejrzewali, był Arabem. W londyńskim urzędzie ewidencji ludności figurował pod nazwiskiem Kamul Haidar, dwudziestoseśćioletni Marokańczyk, wynajmujący mieszkanie w Chelsea. W Londynie przebywał od miesiąca, oficjalnie po to, by studiować historię i język angielski w Instytucie Monkfielda.

— Nigdy nie słyszałem o takiej placówce.

— SO 11 ze Scotland Yardu szybko ją sprawdziło. To parę wynajętych pokoi w pobliżu Edgware Road, zarejestrowanych jako szkoła prowadzona przez emerytowanego nauczyciela. Lista studentów instytutu jest długa, lecz jakoś nikt nie ucęszcza na zajęcia.

— Czyli kolejna podejrzana firma — westchnął Philpott. — Co jest takiego w angielskim powietrzu, że wyrasta tam tylu kanciarzy?

— W czasie wolnym od dogłębnych studiów nasz człowiek pracował też na pół etatu jako portier w hotelu Wimcote House na Paddington.

— A mimo to stać go było na zwykone mieszkanko w Chelsea. Podejrzewam, że to wszystko stanowiło tylko przykrywkę.

— Jasne.

Mike nacisnął guzik na konsolce i na trzecim górnym ekranie po prawej stronie pokazała się karta z rejestru podejrzanych Mosadu. Zdjęcie Araba widniało w lewym rogu, jego odciski palców w prawym, pod nimi zaś znajdowały się informacje o jego kryminalnej przeszłości.

— W Scotland Yardzie nie był notowany, w Interpolu też, ale Izraelczycy mają na niego haka. Zdjęcie zrobiono miesiąc po operacji plastycznej. Jego mocodawcy zmienili mu też odciski palców przy użyciu kwasu i pumeksu. Chłopcy z laboratorium Mosadu wrzucili zamazane odciski, które zdobyli w Hebronie, do superurządzenia porównującego linie papilarne i maszynka dała im prawdziwe odciski palców naszego chłopaczka.

Philpott gapił się na tekst na ekranie.

— To po hebrajsku.

— Mam przekład. — Mike podał szefowi kartkę z wydrukiem. — Dzięki uprzejmości Departamentu Kryminalistyki Mosadu.

— Jestem pod wrażeniem. Przy każdym naszym spotkaniu możesz się pochwalić coraz lepszymi znajomościami.

Mike powiódł palcem po kartce.

— Hisham posiadał szesnaście zarejestrowanych wcieleń i działał jako terrorysta już w wieku jedenastu lat. Nim dobił do dwudziestki, opanował, dzięki praktyce, historię, a zwłaszcza dzieje buntów, i anarchię. Stał się jednym z najlepszych agentów libańskiej organizacji terrorystycznej, Jezzine. Wyróżniały go nie tylko energia, doskonałe przygotowanie techniczne i pomysłowość, lecz również, co rzadko spotykane, wyjątkowe zdolności lingwistyczne. Ideologia nie stanowiła jego najmocniejszej strony, ale nadrabiał to nienawiścią do wszystkich Żydów. Mając osiemnaście lat, został honorowym członkiem Bractwa Cywety.

— Przepraszam, czego?

— Cywety. To takie zwierzę, podobne do kota. Członkowie bractwa składają przysięgę, że będą szkodzić Żydom na wszelkie możliwe sposoby, co nie wyróżnia ich jakoś szczególnie od innych, tyle że oni są obrzezani. Poza tym pod prawą pachą mają wytatuowany łeb cywety.

— Codziennie — stwierdził Philpott — człowiek uczy się nowych rzeczy...

— W czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku Izraelczycy zbombardowali poligon Hezbollahu w południowym Libanie i zabili czterdziestu bojowników. Przeżyło sześć osób. W tym Jakub Hisham.

— Należał do Hezbollahu?

— Zdaniem Izraelitów szkolił ich ludzi. Przez jakiś czas po bombardowaniu traktowano go jak męczennika, złożył też publiczne oświadczenie, że podwoi swe wysiłki w walce z Żydami. Trzy tygodnie później urządził zasadzkę na trzech oficerów Szin Betu w dolinie Bekaa i zrobił z nich marmoladę. Od tamtej pory Mosad deptał mu po piętach. Uważano, że zaszył się w Tetuan, w Maroku, a tam Izraelczykowi niełatwo kogokolwiek odszukać. Mosad jest zdumiony, że Hisham zjawił się w Anglii.

— Zaiste. Co robił w Londynie, zabijając urzędniczkę Białego Domu, zajmującą się prognozami politycznymi? Dlaczego właśnie on? Dlaczego doświadczony, nienawidzący Żydów terrorysta ze Środkowego Wschodu?

— Emily Selby była Żydówką.

— Ale przecież nie aż tak ważną, żeby arabski terrorysta specjalnie jechał do Europy, by ją zlikwidować.

— Myślę, że jeśli się dowiemy, co łączyło Emily z tą drugą kobietą ze zdjęcia, Eriką Stramm, od razu znajdziemy się na pewniejszym gruncie.

Philpott zerknął na monitory.

— A co to za rzecz, która tak cię nęka?

— Broń Jakuba. Sprawdziłem numer seryjny w fabryce Deutsch–Wagram. Okazało się, że to jeden z pięćdziesięciu pistoletów, jakie w czerwcu ubiegłego roku zakupiono w Wiedniu z przeznaczeniem na eksport do Stanów Zjednoczonych. Kupcem był niejaki Albert Torrance z Denver w stanie Kolorado, choć okazało się, że taki ktoś nie istnieje. Tymczasem jednak broń przeszła kontrolę celną. Mam numery pozostałych egzemplarzy z tego transportu i sprawdziłem w ICON wszystkie rejestry policyjne, ale nikt nie ma nic na glocka 17.

— Czy dobrze kojarzę, że glock 17 to pistolet, wokół którego kiedyś było tyle szumu? Ten, którego jakoby nie wykrywały bramki na lotniskach?

Mike przytaknął.

— Część konstrukcji jest z plastiku, ale dość tam metalu, żeby wykrywacze go wychwyciły. Entuzjastów tego modelu zachwyca siedemnastostrzałowy magazynek.

Mike postukał w zdjęcie glocka 17, migoczące na jednym z monitorów.

— Zresztą i tak ma mnóstwo zalet. Jest mocny, poręczny, a w razie potrzeby można go ustawić na ogień ciągły. — Mike spojrzął na Philpotta. — Chciałbym się tylko dowiedzieć, w jaki sposób ta broń dotarła ze Stanów Zjednoczonych do Jakuba Hishama.

— Ja zaś chciałbym się dowiedzieć, dlaczego wsadził ją sobie do ust i rozpryskał połowę mózgu, chociaż gonilo go tylko czterech londyńskich policjantów.

— Pewnie bał się aresztowania — odparł Mike. — Na mentalność fanatyka składa się przede wszystkim opętanie jedną ideą i hołdowanie przesądom. Właśnie po tych dwóch cechach można go poznać. Z moich doświadczeń wynika, że silne uleganie przesądom i lęk terrorysty często przyjmują postać obsesyjnego strachu przed schwytaniem, byciem zatrzymanym przez kogokolwiek. Pamiętasz, co się wydarzyło w Rzymie trzy lata temu? Dopadłem porywacza, Libańczyka...

— Szofara — wtrącił Philpott.

— Tak, Szofara. Facetowi pozostało poddać się i pogodzić z losem. Tyle że on był fanatykiem. Nie chciał dać się aresztować, za nic, za żadną cenę. Więc nim zdążyłem się zorientować, co robi, wsadził sobie do ust zegarek i wepchnął go do gardła. Potężny seiko o przekątnej jakieś cztery centymetry, z metalową bransoletką. Nie uwierzyłbyś, jaki skuteczny się okazał. Typek zsiniał i po niecałej minucie już było po nim. A wszystko to dlatego, że ktoś chciał go zatrzymać. — Mike podniósł się ciężko i potarł oczy.

— Dobrze się czujesz?

— Chyba powinienem jak najszybciej się stąd wynieść. Zaczyna mi się podobać ten cichy kącik, robię się senny.

— Więc musisz sobie zrobić przerwę na posiłek, ot co. — Philpott wyjął z kieszeni telefon komórkowy, nacisnął jakiś guzik. — Potem z nowymi siłami zajmiesz się dalszym polowaniem na ten pistolet. Jestem przekonany, że to ważne. — Przyłożył słuchawkę do ucha. — Pani Wellington? Byłaby pani tak miła i przyniosła jakąś przekąskę dla mnie i pana Grahama? Jesteśmy w pokoju komputerowym. Dziękuję.

Pięć minut później, nalewając kawę, Philpott zauważył na kostkach Mike'a Grahama chirurgiczny plaster zastępujący szwy.

— Czyżbyś potraktował coś gorzej niż samego siebie?

Mike poruszył palcami.

— Za ostro wszedłem w zakręt i musiałem błyskawicznie skorygować trasę. Otarłem ręką o wystający kamień.

— Doprawdy, nie powinieneś tak się rozbijać na tym motocyklu.

Takiej uwagi należało oczekiwać, lecz Philpott powiedział to bez szczególnego nacisku, więc Mike mógłby zignorować wyrzut.

— Nie rozbijam się na nim, szefie. Doskonale o tym wiesz.

— Czyżby? Widać zapomniałem.

— Nawet w czasie wyścigu koncentruję się przede wszystkim na jego wymiarze duchowym — oświadczył Mike ze śmiertelną powagą.

— Aha...

— Moim celem jest pełne zjednoczenie z maszyną, tak bym stał się elementem transcendentalnej rzeczywistości jej szybkości.

— Rozumiem.

— To sztuka. Cóż znaczy odrobina zdartej skóry wobec poszukiwań artystycznych? W końcu spójrzmy prawdzie w oczy: jadąc na motorze, wyrażam swe skrywane potrzeby, a równocześnie mój karman ulega pogłębieniu.

— Michaelu, jakimż głupcem byłem, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wybuchnęli śmiechem. Philpott podał Mike'owi kawę. Na ułamek sekundy pojawiło się między nimi pewne skrepowanie. Kiedy rozmawiali towarzysko, chwile ciszy były niezręczne, gdyż choć nie poruszali pewnych tematów, to zawsze czaiły się gdzieś w tle.

— Nadal w weekendy rozkoszujesz się malowniczym Vermontem?

— Z wyjazdu na wyjazd coraz bardziej.

— I nadal robisz to sam?

— Zgadza się. Tylko ja i mój telewizor, jeśli mam ochotę na towarzystwo, pikap, jeśli chcę gdzieś pojechać i motor, jeśli mam ochotę zgłębiać sztukę igrania ze śmiercią.

Przed kilku laty żona i syn Mike'a zginęli z rąk terrorystów. Mike był zdruzgotany, ból po ich stracie prawie całkowicie go zniszczył. Przez dłuższy czas żył pogrążony w żałobie. Kiedy wreszcie ból ustąpił. Mike przeniósł się z Nowego Jorku do Vermontu i tam żył samotnie. Stopniowo odzyskał spokój ducha, choć niektóre kobiety chętnie wyobrażały sobie, że dostrzegają cierpienie w jego ciemnoniebieskich oczach.

Udręka Mike'a po śmierci najbliższych należała dziś do przeszłości, lecz on sam się zmienił, a jednym z elementów tej zmiany było nieustanne podejmowanie ryzyka. W głębi ducha Philpott uważał to za swego rodzaju terapię: każdy był policjant wie, że niebezpieczeństwo pokonuje niepokój, który nie pozwala usiedzieć w miejscu.

— I co twój instynkt ci podpowiada w tej sprawie? — Mike machnął w stronę monitorów.  
— Sądzisz, że zażyjemy trochę ruchu?

— Chyba przy przekładaniu papierów. Dokładne dochodzenie, mnóstwo przesłuchań, a potem długi, szczegółowy raport porządkujący całą historię.

Mike łypnął na niego koso.

— Umiesz podnieść człowieka na duchu.

— Z drugiej jednak strony może się okazać, że z tego zrobi się błyskawiczna, pełna emocji akcja. — Philpott popijał kawę. — Zobaczmy, co wygrzebie Sabrina. Mam dziwne przeczucie, że cała rzecz może się okazać znacznie poważniejsza, niż to nam się teraz wydaje.



Recepcjonistka mogła się poszczycić uśmiechem, który potrafiłby przewyciężyć wszelkie przeszkody.

— Zapewniam panią, *madame* Reverdy, to żaden problem. — Przesunęła po mahoniowym blacie kartę i długopis. — Jeśli pani to łaskawie wypełni, to każę portierowi zanieść pani bagaże.

W rubryce przeznaczonej na imię i nazwisko gościa Sabrina wpisała: Louise Reverdy. Tak nazywała się jej babka po kądzieli. Jako adres podała 28 Rue de la Grand Armée, Paryż 75017, Francja.

Recepcjonistka powróciła z drobnym człowieczkiem w zielonym uniformie, który stanął na straży przy walizce Sabrinie. Skłonił się jej z uśmiechem.

Sabrina oddała wypełnioną kartę i wzięła od recepcjonistki klucz.

— Dziękuję bardzo — powiedziała zadowolona z siebie, ponieważ z powodzeniem naśladowała francuski akcent matki. — I chociaż pani się upiera, że to żaden problem, pozwolę sobie raz jeszcze gorąco podziękować za tak sprawne znalezienie dla mnie pokoju, mimo że nie dokonałam wcześniejszej rezerwacji.

— Nie ma o czym mówić, *madame*. Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona z pobytu w naszym hotelu.

Portier zawiózł Sabrinę windą na trzecie piętro. Poprowadził ją korytarzem wyłożonym ciemnozielonym dywanem wiltona. Okrągłym ruchem wyjął z kieszeni klucz, przekręcił go gładko w zamku i otworzył drzwi.

— *Après vous, madame* — powiedział.

— *Vous-êtes Français, m'sieur?* — Popatrzyła na niego zdziwiona.

— Nie — odparł, wchodząc za nią do pokoju. — Niestety nie, ale byłem dobry z francuskiego w szkole i czasem ulegam pokusie mówienia w tym języku. Zabrzmiało autentycznie, prawda?

— *Absolument!* Na szóstkę.

Rozpromienił się zadowolony. Sabrina podała mu pięcioletni banknot. Ta przyjemność przewyższyła nawet poprzednią. Zdobyć jego sympatii okazało się łatwiejsze, niż sądziła.

— Niech mi pan powie jeszcze jedno — zaczęła, gdy się odwrócił, by wyjść z pokoju. — Wczoraj moja znajoma przejeżdżała tędy taksówką i twierdzi, że widziała policję. Były jakieś kłopoty?

Zawrócił od progu, rysy twarzy ściągnęły się, kiedy pochylił głowę i odezwał się, zniżając głos.

— Jeden z gości. — Tu wskazał do góry. — Amerykanka. Została zastrzelona. Okropna historia.

— To stało się tutaj?! — Sabrina zdołała okazać niepokój bez konieczności uciekania się do przerażonego pisku. — W tym hotelu?

— Och, nie, proszę pani, w Mayfair, ale mieszkała u nas.

— Jakie to okropne. Mam nadzieję, że w nocy nie będzie się tu kręciła policja? Mam taki lekki sen...

— Może pani spać spokojnie — odparł portier. — Zapieczętowali pokój i jak na razie nic się nie dzieje. — Znów się lekko skłonił. — Życzę dobrej nocy.

— Bardzo dziękuję.

Po jego wyjściu zdjęła buty i usiadła na łóżku. Sprawdziła godzinę: dwudziesta druga dwadzieścia osiem. Minibarek wyglądał kusząco, ale postanowiła poczekać z piciem, aż wypełni zadanie.

Miała duże kłopoty z dotarciem na miejsce. Nikt jej nie ostrzegł, że ostatni dzień zajęć w Hounslow może się przeciągnąć do wieczora. Inscenizacja porwania zakładników skończyła się o ósmej i w związku z tym Sabrina dotarła do pokoju w hotelu parę minut przez dziewiątą. Od tej chwili pędziła na złamanie karku. Najpierw musiała się przeistoczyć z rozczochranej i brudnej amerykańskiej policjantki w uosobienie szykownej Francuzki odwiedzającej Londyn. Przy jej obecnym zadaniu przebijanie nie było absolutnie konieczne, ale lubiła zmieniać osobowość i zawsze starała się stosować zasadę Philpotta, którą szef wyłuszczył jej w trakcie suto zakrapianego przyjęcia w ONZ. Brzmiała ona następująco: „Kiedy tylko możesz, stawaj się kimś innym i zawsze kłam, nawet jeśli prawda brzmiałaby lepiej”.

Przebrała się więc dla własnej przyjemności, przejechała przez miasto, zostawiła samochód na całonocnym parkingu strzeżonym, zatrzymała taksówkę i zjawiała się w hotelu, wyglądając tak, jakby najbardziej męczącą rzeczą, jaką robiła w ciągu dnia, było wypisywanie czeków.

Rozejrzała się po pokoju. Przyjemne miejsce. I tak być powinno, skoro opłata za noc wynosiła równowartość tygodniowego komornego za domek w Cotswolds. Zadzwoiła do hotelu przed wyjazdem z Hounslow, tłumacząc, że z powodu opóźnienia lotu zdecydowała się zostać dzień dłużej i recepcjonistka obiecała zatrzymać jedyny wolny pokój, ale tylko do dwudziestej trzeciej. Tak się złożyło, że była to dwójka i nocujący w niej samotny gość nie otrzymywał zniżki. Philpott pewnie znów się będzie pieklił.

Poklepała materac. Z całej duszy marzyła tylko o jednym: przespać osiem godzin bez przerwy, ale przyjechała tu do pracy. Ziewnęła i zmusiła się do wstania z łóżka.

Stojąc przy szafie zdjęła ciemnoniebieski żakiet i spodnie biodrówki, powiesiła ubranie na wieszaku i otworzyła walizkę. W środku miała jedną zmianę bielizny, kombinezon policyjny i trzy ręczniki kąpielowe dołożone dla dodania ciężaru. Włożyła kombinezon i parę czarnych adidasów.

Z wewnętrznej kieszeni walizki wyjęła zgrabnie zwinięty zestaw narzędzi, latarkę, plastikowe pudełko oznaczone z boku „Dorabianie kluczy w terenie”, polaroida i parę cienkich, gumowych rękawiczek. Narzędzia, pudełko i aparat położyła na nocnej szafce, a rękawiczki i latarkę wsunęła do kieszeni. Zamknęła walizkę.

— Dwie godziny dwadzieścia — powiedziała głośno, kładąc się na łóżku. Ułożyła ręce wzdłuż ciała otwartymi dłońmi ku górze. Zamknęła oczy. — Dwie godziny dwadzieścia — powtórzyła i zasnęła niemal od razu.

Budziła się w kilku, następujących jeden po drugim, etapach: najpierw wyplątywała się ze snu, w którym poklepywał ją policjant o lepkich od cukru dłoniach; następnie wolno wynurzyła się na powierzchnię. W końcu zobaczyła różowe światło i zupełnie się ocknęła. Otworzyła oczy i podniosła rękę, patrząc na zegarek. Za pięć pierwsza. Nieźle.

W łazience spryskała twarz wodą, wytarła ręcznikiem i wróciła do pokoju. Schowała narzędzia i pudełko do kieszeni, na przegub wsunęła pętelkę od latarki.

Przed otwarciem drzwi zgasiła światło. Przez dłuższą chwilę stała w progu, nasłuchując. Wszędzie panowała cisza i ciemność. Ten hotel cieszył się wyjątkowo dobrą reputacją, tutaj damy mogły bez obawy mieszkać same. O tej porze wszyscy goście już pewnie spali; Sabrina wchodząc do recepcji, zauważyła, że bar świeci pustkami.

Zamknęła drzwi i bezgłośnie przesunęła się ku schodom na końcu korytarza. Mówiąc o zabitej, portier wskazał do góry; hotel liczył sześć pięter, więc miała do sprawdzenia najwyżej dwa. Widać dziś uśmiechnęło się do niej szczęście. Biorąc pod uwagę zamki w drzwiach, dalej mam farta, stwierdziła w duchu.

Poszukiwany pokój znalazła na szóstym piętrze. Plombowanie wykonano czysto symbolicznie. Górna i dolna szpara w drzwiach zostały zaklejone taśmą w czarno-żółte pasy, na środku przymocowano kartkę z informacją, że każdy, kto otworzy drzwi bez zezwolenia komisarza Policji Stołecznej, popełni przestępstwo.

Sabrina podeszła do kontaktu przy schodach i wyłączyła przyćmione światło w korytarzu. Jeśli ktoś jej przeszkodzi i będzie musiała uciekać, nikt przynajmniej nie zobaczy jej twarzy. Wróciła pod zaplombowany pokój i skierowała wąskie pasmo światła latarki na zamek. Był taki sam jak pozostałe, zwykły yale, a policja nie nałożyła dodatkowych zabezpieczeń.

Rozwinęła na dywanie pokrowiec z narzędziami i wyjęła małe wytrychy i klucz dynamometryczny. Znajdujące się w pudełku przyrządy do dorabiania kluczy mogą się jej przydać, jeśli bagaże zamordowanej kobiety będą miały bardziej skomplikowane zamki.

Sabrina schowała resztę narzędzi do kieszeni i stanęła tuż przy drzwiach. Wsunęła klucz dynamometryczny w dolną część zamka i drugą ręką włożyła wytrych czopem ku górze aż do samego końca. Wyciągała go powoli, żeby sprężyny mocno docisnęły zastawki. Następnie przesunęła klucz odrobinę w prawo i znów wsunęła wytrych w zamek aż do końca, ale tak, by nie dotknął zastawek. Teraz zaczęła go wysuwać, naciskając równomiernie zastawki do góry. Właściwy nacisk powinien być minimalny, tyle by pokonać siłę każdej ze sprężyn. Przesunęła wytrych w stronę najdalszej z pięciu zastawek, mocniej naciskając na klucz, aż zastawka zaskoczyła. Wtedy przesunęła wytrych do kolejnej zastawki i powtórzyła manewr. A potem tak samo zrobiła z trzecią.

W korytarzu rozległ się dźwięk przypominający skrzyp skórzanej podeszwy albo skrzypienie starych, drewnianych drzwi, albo milion innych rzeczy. Sabrina zamarła przy framudze i policzyła do stu, nim się znów poruszyła.

Kiedy nacisnęła kolejną zastawkę, ta nie zaskoczyła. Nic w tym nadzwyczajnego: te szybciej ścierały się od częstego używania. Sabrina utrzymywała stały nacisk na klucz, przesuając wytrych po dwóch pozostałych zastawkach, zawodowcy nazywają to „badaniem”. Kiedy wytrych przesuwał się po zastawkach, stopniowo naciskała czop mocniej. Wtem obie zastawki poszły w górę i zaskoczyły. Przesunęła klucz jeszcze odrobinę i drzwi się otworzyły, a taśma oderwała się z cichym sykem.

Wchodząc do pokoju, Sabrina wyciągnęła narzędzia z zamka i schowała je do kieszeni. Starannie zamknęła za sobą drzwi, zaciągnęła grube zasłony i zapaliła górną lampę.

Jest coś dziwnego w pomieszczeniu, którego mieszkaniec miał zamiar wrócić, ale tego nie zrobił. Na łóżku leżało ubranie, w które Emily miała się przebrać przed kolacją, w łazience czekały buteleczki i słoiki z kosmetykami, buty stały rzędem w otwartej szafce.

Sabrina przyjęła, że policja niczego nie dotykała. Bezpieczniej też było założyć, że wiedzieli, w jakim stanie pozostawiono pokój. Wyjęła aparat i zrobiła ujęcia z różnych punktów. Sfotografowała z bliska przedmioty na toalecie, półce w łazience i w szafie.

Potem ułożyła zdjęcia na krawędzi umywalki, żeby wyschły, wciągnęła rękawiczki i zabrała się do pracy.

Żeby przeszukiwanie przyniosło pożądane rezultaty, musi być absolutnie metodyczne i trzeba brać pod uwagę wszelkie, najdziwniejsze miejsca. Sabrina została przeszkolona w Wydziale Rewizji FBI przez specjalistów tak zręcznych i tak głęboko wyczulonych na odchylenia natury ludzkiej, że nic się przed nimi nie mogło ukryć. Zaczęła od drzwi i posuwała się do przodu wedle wyuczonej na pamięć, trójwymiarowej mapy.

W ciągu godziny wiele się dowiedziała na temat Emily Selby. Przede wszystkim, że cierpiała na łagodną, ale łatwą do zauważenia nerwicę z elementami natręctw. Buty w szafce były nie tylko starannie ustawione, ale noski zostały umieszczone w dokładnie tej samej odległości od tylnej ścianki. Zanim Sabrina to zauważyła, znalazła mały kawałek plastikowej linijki starannie owinięty w bibułkę. Miał dziesięć milimetrów długości, dokładnie tyle, ile wynosiła odległość każdego z wyczyszczonych butów od drewnianej ścianki.

Emily była także zapalonym botanikiem i w notatniku przygotowała szczegółowy plan zwiedzania Kew Gardens, do których miała zamiar pojechać w piątek.

Sabrinę najbardziej zafascynował fakt, że Emily pisała przewodnik turystyczny po Izraelu. W walizce znajdował się dwustustronicowy manuskrypt, notatki i list od wydawcy zachęcający do dalszej pracy.

Przez dziesięć minut błyskawicznie przeglądała tekst, by dowiedzieć się więcej o Emily. Przeczytała sporo ciekawostek o różnych miejscowościach: Aszoda, Gedera, Giv'atajim, Migdal i Nazaret, ale nic z tego nie sugerowało powodów, dla których mól książkowy pracujący dla Białego Domu i cierpiący na nerwicę został zamordowany.

Coś ciągnęło Sabrinę w stronę szafy. Coś tam było nie w porządku, jakiś drobiazg...

Stała patrząc na rząd ubrań: żakiety, spódnice i spodnie posegregowane wedle kolorów wisały idealnie równo, wieszaki znajdowały się w takich samych odległościach od siebie. Podręcznikowy przykład nerwicy. Maniakalnie dokładne, maleńkie arcydzieło symetrii. Wtem zauważyła coś odbiegającego od ustalonego porządku. Wyprasowana bez najmniejszej fałdki beżowa marynarka wisała odrobinę nierówno na wieszaku. Co więcej, gdy Sabrina się pochyliła i spojrzała uważnie, dostrzegła centymetr nitki sterczący z lamówki u dołu, właśnie z tej strony, z której obwisała na wieszaku.

Dotknęła lamówki, namacała w środku coś twardego. Zdjęła żakiet z wieszaka. Klucz. Został wszyty w lamówkę.

Ostrożnie rozpruła ją na tyle, by go wyjąć. Był mosiężny, górną krawędź ucha pokrywała warstwa plastiku, tego rodzaju kluczy zwykle używano do otwierania skrytek bankowych i kasetek depozytowych. Wsunęła go do kieszeni.

O drugiej piętnaście uznała, że zakończyła dokładne przeszukanie pokoju. Stała przy drzwiach i powoli przesuwiała wzrok z lewej ku prawej i z góry na dół. Nie pominęła żadnego miejsca. Jeszcze raz wolno obeszła pokój, zajrzała do szafek, szuflad, szafek w łazience i pod łóżko.

Wtem zamarła na klęczkach i jeszcze raz zajrzała pod łóżko. Coś zobaczyła, kawałek papieru złożony i wsunięty pod płócienny pas utrzymujący materac w nogach łóżka. Spod materiału wystawał tylko rożek, ale wiedziała, że powinna była go zauważyć przy pierwszych oględzinach.

— Za karę dostaniesz jednego drinka zamiast dwóch — powiedziała do siebie i sięgnęła po kartkę.

Był to wydruk z komputera z perforowanymi brzegami złożony na cztery. Otworzyła go i wygładziła, kładąc na dywanie. Lista nazwisk, przy każdym znajdował się adres. Na pierwszy rzut oka wszystkie wyglądały na nazwiska mężczyzn, Niemców. Na dole strony widniało parę linijek napisanych ołówkiem, skreślono je schludnym charakterem pisma, które znała z manuskryptu: „Informacja z dziennika: lista zamknięta 15.02.96, przekazana ES 24.02.96”.

Sabrina jeszcze raz przyjrzała się nazwiskom. Nic jej nie mówiły. Złożyła kartkę i schowała do kieszeni. Jako dodatkową karę za to, że na początku ją przeoczyła, jeszcze raz na czworakach obeszła pokój, szybko, ale dokładnie. Niczego nie znalazła.

Na koniec odłożyła wszystkie przedmioty na ich miejsca, pomagając sobie zdjęciami z polaroida. Zgasiła światło, odłoniła zasłony i wyszła, zamykając drzwi na klucz. W dziesięć minut później znalazła się już u siebie w pokoju, naląła sobie drinka, a potem usiadła wygodnie z listą pod bokiem i z telefonu komórkowego zadzwoniła do Philpotta, korzystając z linii satelitarnej zabezpieczonej przed podsłuchem. W Nowym Jorku było już po dwudziestej drugiej, ale jeszcze tkwił w biurze.

— Zapewne chciałbyś się dowiedzieć, co zrobiłam w sprawie Emily Selby — powiedziała.  
— Dostałam się do jej pokoju i wzięłam parę rzeczy.

— A dokładniej?

— Klucz i listę nazwisk. Sami mężczyźni, moim zdaniem Niemcy.

— Masz ją przed sobą?

— Tak.

— Przeczytaj kilka z nich.

— Nie są w porządku alfabetycznym, ale patrząc na adresy mogę się domyślać, że spis otwierają mężczyźni mieszkający najbliżej Berlina. A więc: Günther Blascher, Walter Hollerer, Johann Boumann, Andreas Wolff, Friedrich Schadow, Albrecht Schroder, Kurt Ditscher, Karl Schinkel...

— Wystarczy. Prześlij faksem na mój tajny numer.

— Czy te nazwiska coś ci mówią?

— Porozmawiamy po twoim powrocie. — W tym momencie w jego biurze rozległ się dzwonek telefonu. — Niedługo do ciebie zadzwonię. A teraz wyślij listę.

— Tak jest, szefie.

Sabrina nacisnęła czerwony guzik i odłożyła telefon. Spojrzała na zegarek. Noc się już właściwie kończyła. Stała przez chwilę, zastanawiając się, co powinna zrobić: iść do wanny czy wskoczyć do łóżka?

Wanna, postanowiła. I żadnego spania. W końcu długa, gorąca kąpiel zastąpi sześć godzin snu. Potem się ubierze, spokojnie przygotuje do dnia, wcześniej zje śniadanie, przeczyta gazety i zdąży wyjść przed wpół do ósmej.

Odkręciła kran i rozbierała się, gdy woda płynęła. Potem weszła do wanny i zanurzyła się po szyję, a ciepło rozkosznie pieściło jej mięśnie. Zamknęła oczy i pozwoliła myślom płynąć swobodnie. Zobaczyła dom: spokojne, wygodne mieszkanie w Nowym Jorku, ulubioną restaurację, do której zaglądała w weekendy...

Wtem przypomniała sobie o lunchu. Dziś. Szeroko otworzyła oczy. Na śmierć o tym zapomniała. Lunch z inspektorem Lowtherem o maślanych oczach.

— *Merde* — jęknęła, wspaniale imitując akcent matki.

W poniedziałek dziesięć po dziewiątej rano C.W. Whitlock wpisał ostatnią informację na temat osób wymienionych na liście, którą otrzymał od Philpotta w piątek rano. Praca okazała się męcząca, frustrująca i żmudna. Na dodatek, zajęła cały weekend, co zaostrzyło sytuację w domu. Ponieważ nagle i pozornie bez ważnego powodu odwołał sobotnie przyjęcie, żona przestała się do niego odzywać.

Właśnie po raz czwarty tego ranka bezskutecznie próbował się do niej dodzwonić, ale znów nie podniosła słuchawki. Ujrzał, jak na monitorze komputera pojawiają się ostatnie linijki tekstu. Wyciągnął się w fotelu i ziewnął. Pomyślał, że tempo starzenia się człowieka zależy od tego, jak szybko umiera nadzieja. Od dwudziestu czterech godzin czuł się przygnębiony i przybity, ponieważ zakończenie konfliktów w domu nie wydawało się bliskie. Po postawieniu ostatniej kropki odczuł jednak ulgę, a ta zaowocowała cieniem nadziei: może uda mu się w pokojowy sposób dogadać z Carmen?

— A za chwilę nad gmachem ONZ przeleci stado świń — powiedział do siebie głośno.

Whitlock należał do ludzi budzących sympatię od pierwszego wejrzenia; z pochodzenia Kenijczyk, o skórze, której barwę pewna dziewczyna nazwała jasną umbrą i złotobrazowych oczach, zdaniem jego matki wymarzonych do łamania serc. Kolor skóry stanowił dziedzictwo po dziadku, białym oficerze armii brytyjskiej, jego geny także ponosiły odpowiedzialność za mocne szczęki i stanowcze usta, których wyraz zmiękczały cienkie wąsiki.

C.W. pochylił się do przodu, nacisnął przycisk z poleceniem „drukuj” i spojrzął na zegar. Znów wyścig z czasem. Stanowczo zbyt rzadko trafiały mu się zadania pozwalające na chwilę oddechu. Podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego i wybrał numer trzy.

— Calvin? Czy pan Philpott już jest?

— Pięć minut temu podpisał listę obecności.

— Dzięki.

— Przykro mi, że sprawiłem ci zawód.

— Nie ma sprawy, Calvin. Postawię ci lunch, jeśli kiedyś się spóźni. — Odłożył słuchawkę. — To nie jest odpowiednie miejsce dla tak wrażliwego chłopca jak ja — zauważył na głos.

Skończył Oxford, zdobył doświadczenie jako oficer w Kenijskiej Służbie Wywiadowczej. Został zwerbowany do UNACO osobiście przez Philpotta i najdłużej służył w Trzeciej Grupie Uderzeniowej. Szef dwukrotnie przyznał publicznie, że jest najbardziej wszechstronnym i najlepiej poinformowanym z jego czynnych agentów, a zdaniem samego Whitlocka takie wyróżnienie aż się prosiło o przytyki.

Kiedy drukarka zakończyła pracę, Whitlock połączył się z krajowym biurem Interpolu w Berlinie. Podziękował oficerowi pełniącemu dyżur w dziale informacji za pomoc i obiecał, że postara się zrewanżować w przyszłości.

W dwie minuty później wszedł do łazienki, trzymając pod pachą teczkę z raportem. Nad umywalką stał Mike Graham, pochylając się do przodu, by dobrze widzieć swe odbicie w lustrze. Skinął głową Whitlockowi, który się uśmiechnął.

— Cześć C.W. Miło widzieć faceta, który potrafi z uśmiechem rozpocząć tydzień.

Whitlock odłożył teczkę i podwinął rękawy koszuli. Umył ręce i twarz, poprawił krawat i wsunął czubki półbutów do elektrycznego czyścibuta. Znów podszedł do umywalki i pochyliwszy się nad nią, najpierw podniósł jedną powiekę, a potem drugą.

— Nie mogę się zdecydować, czy to objawy anemii czy raczej dopadła mnie chroniczna depresja.

— Słyszałem, że pracowałeś przez cały weekend.

— Sprawa Selby. Zbierałem informacje na temat Niemców, większość trudna do zdobycia. Żaden z nich nie był notowany przez policję, więc musiałem włamywać się do archiwów wielu praworządnych instytucji.

— Jesteś w tym najlepszy.

— No, dalej — westchnął Whitlock — jeszcze parę komplementów, a zaraz pęknę z dumy. Mike w drodze do drzwi wkładał marynarkę.

— Odprawa za pięć minut — rzucił przez ramię. — Nie spóźnij się.

— Lecę na złamanie karku.

Trzy ściany sali konferencyjnej UNACO były wyłożone lśniąca boazerią z ciemnego drewna, czwartą, od sufitu do podłogi, zajmowało okno wychodzące na East River. Pośrodku pokoju umieszczono długi stół, przy którego dłuższych bokach stały po trzy krzesła i jedno, u szczytu, od strony okna. Na blacie umieszczono notatniki, ołówki, szklanki i dwa dzbanki z wodą. Przy ścianie, na prawo od wejścia, na długim kontuarze czekała metalowa taca z kawą, herbatą i termosem pełnym zimnej coli.

Kiedy Mike Graham i C.W. Whitlock weszli do środka, Philpott już tam był. Stał przy oknie, czytając faks. U końcu stołu, bliżej wejścia, siedziała Lucy Dow. Była to wysoka, młoda kobieta o poważnej twarzy, specjalistka od krajów arabskich, spędziła trzy lata w Libanie jako agent terenowy. Sabrina nalewała kawę.

— Witaj w domu — przywitał ją Mike. — Jak było w Anglii?

— Ciężko.

— Pamiętałaś o moich „Bath Olivers” — zapytał Whitlock. — Czy porwał cię nurt wydarzeń i wyleciały ci z głowy?

Sabrina wskazała zieloną reklamówkę znanego londyńskiego sklepu „Fortnum and Mason” leżącą na kontuarze.

— Sześć paczek. Chyba wystarczy, żebyś wył z tęsknoty na cały głos.

— Stokrotne dzięki. — Musnął ją w policzek. — Gdy wspominam okres studiów, to najbardziej brak mi właśnie tych krakersów.

— Jednym słowem w tamtych czasach żyłeś na całego — rzucił Mike. — I coś ty z nimi robił? Kruszyłeś do naparstka i smażyłeś nad płomieniem zapalniczki?

— W porządku — Philpott podniósł wzrok znad faksu i wskazał na stół — siadajcie. Mam przed sobą mnóstwo zajęć, więc zebranie będzie krótkie.

Whitlock i Mike przynieśli filiżanki z kawą i jak zwykle zajęli miejsca naprzeciwko siebie. Sabrina za każdym razem sadowiła się gdzie indziej. Robiła tak na wszelki wypadek, żeby ktoś nie pomyślał, że pozycja zajmowana przez jedyną kobietę wobec współpracowników i szefa ma jakiegokolwiek znaczenie. Tym razem wybrała krzesło po tej samej stronie stołu co Whitlock, obok Philpotta.

— Wszyscy znacie ogólne informacje dotyczące zastrzelenia Emily Selby — zaczął Philpott, otwierając leżącą przed nim teczkę. — Zaprosiłem Lucy, żeby przybliżyła nam tło, może to okazać się pomocne w stworzeniu przynajmniej zarysu planu działania. Dodam jeszcze tylko, że rano w sobotę zadzwonił do ONZ pułkownik Wolrich z Ambasady Amerykańskiej w Londynie. Omówił tę sprawę z zastępcą Sekretarza Generalnego Rady Bezpieczeństwa. Po ich rozmowie przekazano nam prowadzenie śledztwa w sprawie zabójstwa Selby.

— Czyli mój weekend nie poszedł zupełnie na marne — zauważył Whitlock.

— Dlaczego przekazali je wprost w ręce UNACO? — spytała Lucy.

— Cóż, są niezbite dowody, że zamachu dokonał zawodowy morderca, a do tego dobrze znany. Wiadomo, że przyjechał na Zachód, by zabić Amerykankę, która, tak się składa, była Żydówką, a na dodatek pracującą w Białym Domu. Już gołe fakty czynią z tej sprawy klasyczny przypadek dla nas. Wszystko wskazuje na powiązanie z międzynarodowymi

kołami przestępczymi, które nie spoczną, póki nie wykonają całej akcji, więc sytuacja aż się prosi o interwencję UNACO.

— Mogę potwierdzić, że morderca był powszechnie znany — powiedziała Lucy, zakładając nogę na nogę. — W Libanie Jakub Hisham cieszył się wielkim szacunkiem.

— Czy kiedykolwiek go spotkałaś? — spytała Sabrina.

— Nie był zbyt towarzyski, ale kiedyś w ramach tajnej akcji znalazłam się w tym samym, wielkim namiocie co on i jeszcze pięćdziesięciu Arabów. Nie wyróżniał się niczym szczególnym wśród terrorystów, tyle że miał więcej szczęścia albo mniej rozumu od innych. Zanim Izraelczycy zaczęli się nim interesować, rzeczywiście wykonywał większość zamachów. Nazywali go Pogromcą Żydów. Kiedy zrobiło się gorąco i Mosad deptał mu po piętach, jeden z najlepszych arabskich chirurgów plastycznych zaproponował, że przerobi mu twarz. Fucha za darmo, wykonana w doskonale wyposażonym szpitalu w Egipcie.

— Czy po operacji Jakub wrócił do starej roboty? — spytał Philpott.

— Mosad zdobył zdjęcie jego nowej twarzy. — Lucy pokręciła przecząco głową. — Z punktu widzenia Jakuba okazało się to czystą stratą czasu. Twarz, z którą wyszedł ze szpitala, mniej mu się podobała od własnej, a w końcu okazało się, że równie dobrze mógł pozostać przy starej. Dalej musiał się ukrywać. Dlatego wyjechał do Maroka. Izraelczykom, którzy chcą wyrównać rachunki, trudniej tam działać.

— Powiedz, co odkryłeś. — Philpott spojrzał na Mike'a.

Mike streścił informacje na temat pobytu Araba w Londynie — żył cicho i spokojnie aż do chwili, gdy zabił Emily Selby i popełnił samobójstwo.

— Lucy pewnie może nam więcej powiedzieć o metodach zamachowców, ale w tym momencie najbardziej nam zależy na odkryciu powodów tego morderstwa oraz dowiedzeniu się, skąd wziął broń. Jak dotąd te dwie rzeczy pozostają tajemnicą.

— Sabrina?

Dziewczyna opowiedziała, jak dostała się do pokoju hotelowego Amerykanki i co znalazła w trakcie przeszukiwania go.

— Emily miała ze sobą mnóstwo rzeczy jak na turystkę, ale tylko klucz i lista nazwisk okazały się niezwykle. Klucz zaś nawet w połowie nie byłby tak interesujący, gdyby nie został wszyty w lamówkę żakietu.

— Co sądzisz o tej kobiecie? — zapytał Philpott.

— Schludna, dobrze zorganizowana, porządek w pokoju sugeruje nerwicę z elementami natręctw. — Sabrina opowiedziała o znalezionym w szafie kawałku linijki, ubraniach pogrupowanych kolorami, butelkach w łazience ustawionych wedle wielkości. — Ubrania wskazywałyby na to, że miała dobry gust, ale była powściągliwa, a może skromna, bo nie znalazłam nic ekstrawaganckiego. Nałożyła sobie wiele ograniczeń i hamulców, wprawdzie była obdarzona smakiem, ale na tyle konserwatywna, żeby powstrzymać się od szaleństw podczas zakupów.

— Jak ją oceniasz? — naciskał Philpott.

— Inteligentna, utalentowana i dociekliwa, ale dotknęła ją jakaś tragedia i potężnie ją naznaczyła, o czym świadczy nerwica — wyjaśniła Sabrina. — Zachowania obsesyjne, zwłaszcza u ludzi inteligentnych, biorą się stąd, że uciekają się do sztywnych i skomplikowanych rytuałów, aby uniknąć myślenia o bólu.

C.W. potakująco skinął głową. Zawtórowała mu Lucy.

— Historia życia Emily Selby potwierdza tę interpretację — ciągnęła Sabrina. — Dziś rano, zaraz po przyjeździe do biura, przejrzałam jej teczkę personalną: owdowiała trzy lata temu. Przeżyła podwójną tragedię, bo równocześnie z mężem zginął jej ojciec.

Philpott postukał palcem w fotokopię leżącą przed nim na stole.



— Jezioro Cayuga, Ithaca w stanie Nowy Jork — powiedział. — Wypadek w trakcie łowienia ryb. Obaj utonęli. Zajmiemy się później szczegółami. A teraz, Sabrino, czy znalazłaś coś, co by łączyło Emily Selby z Eriką Stramm, kobietą, która figuruje na tym zdjęciu?

— Założyłam, że inicjały E.S. napisane ołówkiem na dole listy oznaczają właśnie Erikę Stramm. Ale to wszystko. Nadal nad tym pracuję.

— Powiedz, czego dokonałeś w związku z listą. — Philpott popatrzył z kolei na Whitlocka.

Zapytany otworzył teczkę i rozłożył przed sobą kartki z informacjami.

— Znajduje się na niej trzydzieści niemieckich nazwisk z adresami, są to wyłącznie nazwiska mężczyzn — zaczął. — Przede wszystkim zajrzałem do akt policji, ale żaden nie był przez nich notowany. Mamy więc do czynienia z praworządymi obywatelami. Wtedy za pośrednictwem Interpolu ruszyłem okreśną drogą. Wszyscy mi chętnie pomagali i w końcu przy każdym z nazwisk na liście zanotowałem dodatkowe informacje, które udało się zdobyć.

— Co ich łączy? — spytał Mike.

— Nic szczególnego. Na pierwszy rzut oka nie są spowinowaceni ani nie prowadzą wspólnych interesów. Wszystkim dobrze się powodzi, wprawdzie w różnych dziedzinach, i żyją bez ostentacji, ale chyba tylko to ich łączy. No, może poza jedną rzeczą. Piętnastu mężczyzn z listy zostało adoptowanych. Byli sierotami wojennymi.

— A reszta? — spytał Philpott.

— Brak dokumentów dotyczących dzieciństwa. Podczas bombardowań Drezna, Berlina i wielu innych miast miliony oficjalnych dokumentów uległy zniszczeniu. Powstały zarazem znakomite warunki do tworzenia fikcji — C.W. bezradnie rozłożył ręce. — Z punktu widzenia prowadzących dochodzenia nie można wierzyć w przynajmniej dwie trzecie akt mieszkańców Niemiec sporządzonych w latach powojennych.

— Czym się zajmują ci mężczyźni? — spytała Sabrina.

— Wszystkim, od introligatorstwa i produkcji wykładzin podłogowych do medycyny i prawa. Jest dwóch prawników i lekarzy, reszta to przedstawiciele najróżniejszych zawodów. Interpol próbował sprawdzić, czy nie są skoligaceni przez żony, ale nie znalazł na to dowodów.

Mike spytał, czy są rówieśnikami.

— Pochodzą z tego samego pokolenia, bo mają od pięćdziesięciu dziewięciu do sześćdziesięciu pięciu lat.

— Moim zdaniem nie bez znaczenia jest fakt, że tak wielu to sieroty — stwierdziła Sabrina. Zobaczyła, że Mike z powątpiewaniem kręci głową. — Wzięłabym to pod uwagę — podkreśliła z naciskiem.

— Na razie nie starałbym się w ciemno zgadywać, jakie znaczenie ma ta lista — oświadczył Philpott. — Chociaż... — Przesunął kartkę na środek stołu, stukając palcem w punkt znajdujący się niemal na samej górze. — Martwi mnie, że znalazło się na niej to nazwisko.

Zebrani popatrzyli na wskazane miejsce.

— To Andreas Wolff. Jest austriackim informatykiem, twórcą programów komputerowych.

— Wiem, jak wygląda — wtrącił Mike. Wszyscy spojrzeli na niego.

— W średnim wieku, ale o młodzieńczym wyglądzie, krótkie włosy przyprószone siwizną, metalowe okulary i szeroki uśmiech.

— Co chcesz nam przez to powiedzieć, Mike? — spytał Philpott, wolno kiwając głową.

— Jego zdjęcie znajduje się na pudełkach najdroższych gier komputerowych. Wszędzie je można dostać.

— Mike spędza dużo czasu w sklepach z zabawkami — wyjaśniła Sabrina.

— Ten facet to król popularnych gier komputerowych. Jego specjalność to hybrydy: połączenie labiryntów ze smokami, sprawności koniecznej do zabawy jednorekimi bandytami i dedukcji jak przy czytaniu kryminałów. Widać trafił w dziesiątkę, bo chociaż jego gry są drogie, sprzedają się jak świeże bułeczki.

— Andreas Wolff jest oczywiście świetnie znany jako twórca gier dla rozrywki — rzucił sucho Philpott. — Cieszy się też szacunkiem w kręgach bardzo poważnych ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo i praworządność. To on stworzył program, który chroni wszystkie informacje gromadzone w ICON.

ICON, czyli International Criminal Observation Network — był główną pomocą policji i wywiadu na Zachodzie. Tu przechowywano i przekazywano akta przestępców, odciski palców, opisy sposobów działania, wszelkie informacje oraz dane na temat bieżących i przyszłych operacji sił służących prawu. Osoba posiadająca dostęp do komputera, podstawowe umiejętności jego obsługi i kody mogła w sekundę uzyskać informacje na temat każdego przestępstwa, przestępcy czy akcji policji.

— Czy mężczyzna na liście to na pewno ten sam Andreas Wolff? — spytała Sabrina.

— Adres się zgadza — odparł Philpott. — Informacja w raporcie C.W. świadczy, że wiekiem pasuje do tej grupy. Wolff ma pięćdziesiąt osiem lat. Powtarzam, nie chcę w ciemno zgadywać, jakie znaczenie w tej sprawie ma lista, ale martwi mnie, że nazwisko Wolffa pojawia się właśnie teraz w tak tajemniczym kontekście. — Dlaczego „właśnie teraz”? — naciskała Sabrina.

— Hm, jak wiecie, w ostatnim roku ICON stał się znacznie bardziej skomplikowany. Jeszcze nie wiecie, że gdy więcej organizacji czuwających nad praworządnością wprowadziło swoje dane do systemu, Andreas Wolff stał się niezastąpiony. Dalsze istnienie systemu opiera się na jego wiedzy.

— Czy to oznacza, że policja połowy świata i organizacje czuwające nad bezpieczeństwem narodów są na tyle głupi, że postawili wszystkie pieniądze na jednego konia? Jakim cudem? — zapytał Mike.

— Sytuacji daleko do ideału, wymknęła się spod kontroli — przyznał Philpott. — Wolff ma bliskie powiązania z systemem i decyduje o jego charakterze, ponieważ wyprzedza wszystkich innych specjalistów. Nikt poza nim nie potrafi zrozumieć jego metod programowania czy systemów zabezpieczających.

— Tak więc jeśli cokolwiek stanie się Wolffowi, to bezpieczeństwo danych stanęłoby pod znakiem zapytania, a dostęp do nich byłby znacznie ułatwiony? — spytał Whitlock.

— To właśnie mam na myśli. Haker, który włamałby się do ICON-u, miałby wielkie pole do popisu. Na samą myśl o tym ciarki przechodzą mi po plecach. Z bólem muszę przyznać, że wiele z popełnianych przestępstw komputerowych bierze się z chęci dostania się do ICON-u.

— Czy hakerzy mają dużą szansę? — zapytała Lucy.

— O tak, i ciągle z niej korzystają. System zabezpieczający ICON został złamany — odparł Philpott.

Lucy popatrzyła na niego ze zgrozą. Sabrina też nie kryła przerażenia.

— Dwa razy w ciągu ostatnich trzech tygodni — dodał Philpott. — Za każdym razem trwało to ułamek sekundy i włączały się alternatywne systemy blokujące, ale to poważne ostrzeżenie. Ta generacja zabezpieczeń jest już niewystarczająca, a co gorsza, nie mamy jej czym zastąpić.

— Kto to robi? — zapytała Lucy.

— Bóg jeden wie. Nie przypuszczam, żeby to była jedna grupa. Każda organizacja przestępcza na świecie z radością wybiłaby dziurę w murze postawionym przez instytucje strzegące prawa. Hakerzy próbują cały czas, a ich wysiłki są dobrze opłacane.

— Jak się temu przeciwdziała? — spytał Mike.

— Na razie Andreas Wolff zapewnia awaryjne zabezpieczenie ICON-u i co dwanaście godzin zmienia blokady. Będzie to robił aż do chwili, gdy zostanie przetestowany i zainstalowany system samozabezpieczenia nowej generacji jego projektu.

— Czyli gdyby z jakiegoś powodu odsunąć Wolff a, to cały ICON się zawali? — chciała wiedzieć Sabrina.

— Posuwasz się zbyt daleko — stwierdził Philpott. — W ostateczności możemy czasowo zamknąć ICON, ale takie posunięcie wywoła katastrofalne skutki. Byłoby to równie złe, jak samo włamanie do systemu. Nowe zabezpieczenia wszystko zmieniają. ICON sam się będzie strzegł. Do tego czasu wisi nad nami poważna groźba. Bez pomocy Wolffa nasze dane i metody działania mogą zostać odkryte w takim stopniu, że bezpieczeństwo całej organizacji stanie pod znakiem zapytania — przerwał i zerknął nerwowo na zegarek. — No cóż, muszę już iść. — Philpott podniósł się za stołu. — Wymieńcie się notatkami. Niech każdy z was wie wszystko o tej sprawie. Na razie fakty układają się w zadziwiającą łamigłówkę, ale przynajmniej teoretycznie droga prowadząca do rozwiązania jest prosta. Gdy odkryjemy, co łączy nazwiska na liście, trafimy na trop i rozwikłamy tajemnicę śmierci Emily Selby. Kiedy tego się dowiedziecie, będziecie wiedzieli, przeciw komu walczyć. Lucy, dziękujemy za informacje.

Philpott zatrzymał się w połowie drogi do drzwi.

— Może później zmienię zdanie, ale na razie uważam, że Sabrina powinna wygrzebać wszystkie informacje dotyczące Emily Selby, ze szczególnym uwzględnieniem jej powiązań z Eriką Stramm.

— A może ktoś powinien już teraz ją przesłuchać? — zaproponował Whitlock.

— Nie, wolę, żebyśmy się dowiedzieli czegoś o ich związku, zanim ona poda nam swoją wersję. Mike, ty zajmij się kluczem znalezionym przez Sabrinę. C.W., dalej szukaj powiązań między osobami na liście.

Philpott podszedł do drzwi i je otworzył.

— Żeby posuwać się dalej, potrzebujemy wyraźnego obrazu, czegoś, co ma kształty i cechy, które potrafimy odróżnić. Przyłóżcie się do tej sprawy, proszę, zróbcie to dla mnie.

Mike i C.W. nieartykułowanymi pomrukami wyrazili zgodę, Sabrina tylko pokiwała głową.

— W końcu przecież należy mi się chociaż tyle — zakończył Philpott i wyszedł.

— A teraz powiedz mi szczerze, co o tym sądzisz? Wynudziłaś się setnie? A może zwiedzanie spodobało ci się, jak zapewniałaś naszego przewodnika?

Karl Sonnemann, który za tydzień miał skończyć sześćdziesiąt cztery lata, stał na ulicy przed domem, w którym urodził się Goethe. Dłonie oparł na ramionach Charlotte Gustl, szczupłej, zgrabnej dziewczyny z Münster o włosach płowych jak len. Charlotte miała dwadzieścia dwa lata i była jedną ze studentek Karla na Wydziale Literatury Uniwersytetu imienia Johanna Wolfganga von Goethego. A od ubiegłej nocy również jego kochanką.

— Och, naprawdę ogromnie mi się tu podobało — zapewniła. — Na pewno mi się przyśni.

— Przypuszczałem, że wizyta w domu, w którym się urodził, zrobi na tobie wrażenie — stwierdził Karl.

— Ten maleńki pokój, w którym śnił... — Charlotte oparła brodę na splecionych dłoniach. — Czulałam, a może mi się tylko wydawało, że odbieram tę siłę, która dała mu moc. Dzięki temu inaczej spojrzalam na Goethego, panie profesorze.

— Karl. — Uśmiechnął się do niej szeroko. — Powiedziałem, żebyś mówiła mi po imieniu.

— Dobrze. — Lekko się zarumieniła, kiedy wziął ją pod ramię. — Wydaje mi się, jakbym w ciągu tych dwudziestu czterech godzin bardzo się zmieniła.

Kiedy szli w stronę postoju taksówek, uściśnął jej rękę, myśląc: jakie one są do siebie podobne, te dziewczęta, które wybiera, żeby przez semestr czy dwa były jego ulubienicami. Podobne w wyglądzie, zachowaniu, sposobie, w jaki oddawały mu się o każdej porze roku...

Nigdy mu się jednak nie nudziły i każda była tak interesująca, że aż mu zapierało dech w piersiach. Podczas pięćdziesiątych urodzin jeden z kolegów puścił do niego oko i spytał, jak długo jeszcze zdoła wypierać się swego wieku i kiedy wreszcie porzuci nieszkodliwe hobby. Karl odparł wtedy, że nigdy nie przestanie, taki pozostanie aż do śmierci, a mówił szczerze, z głębi serca. Teraz czuł, że spełniły się jego marzenia, i nigdy się nie zmieni. Mijał czas, a dziewczęta nie stawiały większego oporu, nadal potrafił je oczarować, a co ważniejsze umiał wyłuskać tę jedną, którą najbardziej oczarował, i wykorzystać ten fakt.

— Pomyślałem, że zjemy spokojnie lunch „U Aleksandra” — powiedział. — Potem wrócimy na uniwersytet, gdzie, o ile mnie pamięć nie myli, mam dziś zajęcia tylko z panną Charlotte Gustl.

Zaśmiała się. Był to gardłowy dźwięk przypominający ten, który wydała w jego ramionach, gdy w nocy leżeli w wykrochmalonej pościeli hotelu Excelsior. Na moment Karla oszołomiło podobieństwo tych dźwięków i oładnęło nim ostre, niemal fizyczne wspomnienie jej ciepła i bliskości.

— Znów ten młody facet — powiedziała Charlotte.

— Który?

— Już ci mówiłam, ten, który obserwował cię w muzeum.

Karl się odwrócił. Młody mężczyzna wpatrywał się w wystawę sklepową, stojąc o parę metrów od nich. Karl zauważył go, kiedy wchodzili do domu Goethego. Wtedy czekał na krawężniku bez celu albo tylko udawał. Przez chwilę Karl Zastanawiał się, czy ten jasnowłosy, niebieskooki pocziwina nie jest aby detektywem. A jeśli Ursula po tylu latach zaczęła Cóż podejrzewać i wysłała szpicla, żeby zdobyć dowody?

Karl uśmiechnął się na myśl o wybrykach swojej wyobraźni.

— Moim zdaniem spodobał ci się ten młodzieniec. Wyraźnie śledzisz jego kroki.

— Och! To nieprawda! — obruszyła się Charlotte. — Jak mogłeś coś takiego pomyśleć?

Zatrzymała się raptownie i w napięciu popatrzyła ponad ramieniem Karla. Młodzieniec niespiesznie zbliżał się do nich. Na jego twarzy malował się poważny, zdecydowany wyraz. Zerknął na postój taksówek znajdujący się za nimi, a potem przeniósł wzrok na Karla.

— Pan jest profesorem Sonnemannem, prawda?

— Dlaczego pan pyta? — rzucił chłodno Karl.

— Właściwie to jestem pewny — powiedział młodzieniec, mrugając powiekami i wykonując ruch dłonią, drugą trzymał w kieszeni marynarki. — Ale po odejściu od kasy reklamacje nie będą uwzględniane, tak przynajmniej piszą w sklepach.

— Czego pan od nas chce?

— Pan jest profesorem Sonnemannem? Profesor Karl Sonnemann?

— Tak, tak — warknął Karl. — I co z tego?

— Mam dla pana wiadomość — odparł.

Jego twarz stała się śmiertelnie poważna. Wyciągnął rękę z kieszeni. Miał w niej długą, prostą igłę rzeźniczą do zszywania drobiu.

— To za Icchaka Brennera.

Wepchnął igłę głęboko w szyję Karla. Charlotte wrzasnęła na cały głos. Karl nie poczuł bólu, tylko nagle stracił panowanie nad ciałem. Charlotte wyrwała dłoń spod ramienia Karla i pobięła w stronę postoju taksówek.

Młodzieniec nie poszedł za jej przykładem. Stał patrząc w zdumioną twarz Karla. Jego oczy już robiły się szkliste. Drżał na całym ciele, gdy krew uciekała tętnicą, a z nią umykało jego życie. Oddech się rwał, na usta wystąpiła piana, krew płynęła z szyi na płaszcz z drogiej, cienkiej wełny.

Charlotte na postoju ze szlochem błagała o pomoc. Karl osunął się na kolana i kasłał krwią. Jego twarz przypominała woskową maskę.

Dwóch taksówkarzy pędziło w ich stronę. Młodzieniec otarł palce w rękaw płaszcza Karla. Odwrócił się i zaczął biec, przyciskając łokcie do boków. Minał róg ulicy i zniknął w tłumie przechodniów.

Jeden z taksówkarzy pognał za nim. Drugi przykleknął na chodniku obok Karla, który leżał nieruchomo na plecach, a z gardła sterczała mu długa igła.

Następnego ranka Sabrina Carver poleciała pierwszym samolotem do Waszyngtonu. Zamierzała pociągnąć za język przyjaciół i współpracowników Emily Selby, by dowiedzieć się o niej tego, czego nie było w raportach. UNACO załatwiło przepustkę do Białego Domu i Sabrina, która miała tam się pojawić w charakterze policjantki prowadzącej śledztwo, liczyła, że porozmawia z kolegami zmarłej. Laminowany identyfikator w stonowanych barwach głosił, że jest ona urzędniczką Centralnego Biura Narodowego Międzynarodowej Organizacji Policji Kryminalnych, co w napszonym, biurokratycznym języku oznaczało agentkę Interpolu.

W recepcji Białego Domu przyjęła ją młoda, energiczna kobieta i zaprowadziła do poczekalni dla gości. Tam, po kilku minutach, zjawił się Kevin Riley, prawa ręka szefa biura Białego Domu. Był to stanowczy człowiek, doskonale obeznany z obowiązującymi tu procedurami.

— Zgodnie z przepisami dotyczącymi gości Białego Domu — zwrócił się do Sabriny — nie wolno pani samowolnie opuszczać tego pomieszczenia, a gdyby już pani z jakichś względów musiała to uczynić, to tylko w towarzystwie pracownika ochrony. Oczywiście postaramy się, o ile nie będzie to wbrew naszemu regulaminowi, udzielić pani wszelkiej możliwej pomocy.

— Dziękuję.

— Ponieważ pani zwierzchnicy podkreślali, że nie prowadzi pani oficjalnego dochodzenia, pozwoliliśmy naszym ludziom, by sami zdecydowali, czy zechcą się poddać przesłuchaniu. Trzy osoby wykazały chęć porozmawiania z panią. Pierwsza powinna przyjść tu lada chwila. Naturalnie, chcemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by oczyścić imię Emily nawet z cienia podejrzenia.

Jako pierwsza zjawiała się Janice Cleary, niska, otyła kobieta po czterdziestce. Janice musiała zlewać się obficie perfumami, ponieważ spowijała ją gęsta, duszna woń. Sapiąc, zajęła miejsce i poprawiła luźne ubranie.

— Byłam chyba najbliższą przyjaciółką Emily, przynajmniej tu w pracy — odezwała się piskliwym, nieco dziecinnyim głosem. — Cztery lata temu wspólnie zajmowałyśmy się Projektem Herzoga. Myślę, że właśnie w tym okresie nasza przyjaźń się umocniła i utrwaliła.

— Co to za Projekt Herzoga?

— Nazwaliśmy go tak od nazwiska ówczesnego prezydenta Izraela, Chaima Herzoga. Szukał on mocnych podwalin pod arabsko-izraelski traktat pokojowy i wszyscy tutaj uważaliśmy, że przydałaby mu się odrobina wsparcia ze strony Stanów Zjednoczonych, choć oficjalne stosunki między oboma krajami w tamtym okresie nie były przesadnie przyjacielskie. Razem z Emily starałyśmy się znaleźć jakiś silny, pozapolityczny grunt dla ocieplenia tych kontaktów.

— A jak właściwie panie do tego dążyły?

— Wykorzystywałyśmy prasę i radio do nagłaśniania programów wymiany kulturalnej między Stanami Zjednoczonymi a Izraelem; wydałyśmy też informator, w którym udowadniałyśmy, jak bardzo podobne są marzenia oraz oczekiwania przeciętnego Amerykanina i Izraelczyka. Wszystko to miało służyć przekazaniu obu narodom przesłania, że mimo różnic politycznych, tak naprawdę to są one sobie bliskie i winny się ze sobą przyjaźnić. Emily ogromnie się zaangażowała w ten program i, jak już wspominałam, bardzo się wtedy zaprzyjaźniłyśmy.

— Proszę mi powiedzieć coś o Emily. Czy bardzo udzielała się towarzysko? Chodziła na przyjęcia, koncerty, do teatru?

— Po śmierci Desmonda to wszystko się urwało — odparła Janice. — Ale i przedtem chyba niezbyt chętnie. Tak mi się przynajmniej wydaje...

— Bardzo przeżyła śmierć męża, prawda?

— A jak pani myśli?

— Długo trwało, nim się z tego otrząsnęła?

— Nigdy się nie otrząsnęła.

— Wspominała pani o tym?

— Nie musiała. Zmieniła się. Zamknęła w sobie. Uciekała przed ludźmi. Nabrała zwyczaju pracowania w pojedynkę. Zresztą, o to dość łatwo w naszym zawodzie. Właśnie tak człowiek staje się specjalistą, a Emily była najlepszą z najlepszych. Zawsze pierwsza.

Sabrina nie wątpiła już, że Janice nigdy nie znała Emily Selby tak dobrze, jak jej się wydawało; osoby bez obycia uprzejmość często biorą za przyjaźń. Porozmawiały jeszcze chwilę i Sabrina upewniła się, że niezależnie od tego, jakie życie towarzyskie wiodła Emily, Janice Cleary nie miała o nim pojęcia. Podziękowała kobiecie i przeprosiła, że oderwała ją od pracy.

W minutę po odejściu Janice zjawił się młody mężczyzna. Był wysoki, miał wąskie usta, które wyglądały, jakby nigdy nie rozciągnął ich uśmiech. Bacznie przyjrzał się Sabine spod bladych, opuchniętych powiek. Nazywał się Joe Dexter. Wyjaśnił, że pracuje od pięciu lat jako asystent odpowiedzialny za zbieranie materiałów dla trzech specjalistów biura analiz politycznych, w tym właśnie Emily Selby.

Przez dziesięć minut mówił o Emily bez zachęty czy pytań ze strony Sabriny. Opisywał sposób pracy zwierzchniczki, jej talent organizacyjny, cierpliwość wobec kolegów, ogromne oddanie pracy. Darzył ją niezwykłym szacunkiem, podkreślił.

Słuchając jego tyrady, Sabrina zdała sobie sprawę, że tu nie chodzi wyłącznie o podziw dla profesjonalizmu Emily. A choć wyglądało na to, że Emily widziała w nim wyłącznie cennego pracownika, on wyraźnie był nią zafascynowany. Jednak nigdy głośno się do tego nie przyznał, nigdy nie wyjawiał Emily uczuć, jakie względem niej żywił.

Dokładnie tak samo jak między mną a Mike'em, pomyślała Sabrina. Nie po raz pierwszy uderzyła ją ta głęboko skrywana prawda, jednak jak zwykle starała się przed nią umknąć. Pochyliła się nad notesem i na moment przymknęła oczy.

Dokładnie tak samo jak między mną a Mike'em.

Żadne z nich do niczego głośno się nie przyznało, nie okazało drugiej stronie uczucia. Co więcej, najczęściej zachowywali się, jakby byli wrogami. Uważali się za rywali, w każdej sprawie mieli odmienne zdanie. Czasami narastała między nimi taka antypatia, że nieomal się nienawidzili — przynajmniej tak to odbierała Sabrina. Równocześnie jednak zdawała sobie sprawę, że tłumy w sobie głębokie uczucie, nie pozwalając mu się ujawnić. Przymuszała, a nie musiała tego głębiej analizować, że i Mike coś do niej czuje.

Joe Dexter umilkł. Sabrina podziękowała mu za czas, jaki jej poświęcił. Wyszedł bez słowa.

Wpatrywała się w notatki. I od niego nie dowiedziała się niczego, co rzuciłoby światło na osobę Emily Selby. Pogodziła się, że wróci do Nowego Jorku z pustymi rękami. Najlepiej już teraz oswoić się z tą myślą i wypracować sobie linię obrony, kiedy będzie musiała stawić czoło niezadowolonemu Philpottowi. W tej samej chwili zadzwieczał telefon. Jakaś kobieta przedstawiła się jako Dilys Craig, była koleżanka Emily, i zapewniła, że bardzo chętnie porozmawiałaby o niej z Sabriną, ale w tej chwili nie może się wyrwać.

— Dostałam nagle zlecenie, po prostu nie mogę tego teraz rzucić — wyjaśniła. — Może spotkałybyśmy się później gdzieś na mieście? Powiedzmy na kawie?

— Z przyjemnością — odparła Sabrina. — Oczywiście, o ile nie sprawi to pani kłopotu. Gdzie się umówimy?

— „U Harveya i Hannah” — zaproponowała Dilys. — Musi pani iść Pennsylvania Avenue aż do hotelu Willarda. Tam niech się pani rozejrzy za „Occidental Grill”, naszą kafejkę znajdzie pani zaraz za nim. Wpół do piątej. Odpowiada pani ta godzina?

— Jak najbardziej — przytaknęła Sabrina.

Dwie po wpół do piątej Dilys Craig, doskonale prezentująca się w markowym żakiecie w kratkę i szarej, wąskiej spódnicy wkroczyła do kafejki. Skierowała się prosto do stolika, przy którym siedziała Sabrina. Dilys była wysoką kobietą o dużych, piwnych oczach i gładkiej, wypielegnowanej cerze. Krótkie włosy farbowała na rudo, odcień pośredni między kasztanowym a mahoniem. Młodość już miała za sobą — w kącikach starannie umalowanych oczu i ust dawało się dostrzec maleńkie zmarszczki. Sprawiała wrażenie osoby energicznej, a równocześnie bardzo zrównoważonej.

— Zamówiłam dla pani kawę — odezwała się Sabrina, wskazując drugą filiżankę. — Kelnerka najwyraźniej wiedziała, co pani lubi.

— Kochane z niej dziecko — powiedziała Dilys, siadając i zakładając nogę na nogę. — Miło mi panią poznać, Sabrino. — Spróbowała kawy. — Przejdziemy od razu do rzeczy?

— Oczywiście.

— Cóż, zacznijmy od tego, że jeśli można było o kimś powiedzieć, że przyjaźnił się z Emily, to właśnie o mnie. Co nie znaczy, że byliśmy sobie ogromnie bliskie. Emily potrafiła trzymać ludzi na dystans. — Dilys wyjęła czarną, matową cygarniczkę. — Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli zapalę?

— Ależ skąd, tylko sądziłam...

— Że tu nie wolno palić? Zgadza się, i tym większą przyjemność mi to sprawia. Pozwalają mi na dymka, o ile nie ma innych gości. — Zapaliła papierosa i westchnęła. — To się wydaje tak nierzeczywiste, ciągle jeszcze nie mieści mi się w głowie, że ona nie żyje. Oczywiście w miarę możliwości chciałabym pani pomóc w dochodzeniu.

— Staram się poznać pozazawodowe życie Emily — odparła Sabrina. — Czy kiedykolwiek spotkała się z nią pani na gruncie towarzyskim?

— O, tak, bardzo często. Oczywiście jeszcze w czasach gdy żył Desmond. Mieszkał w Ithaca, gdzie wykładał w Cornell, ale na weekendy przyjeżdżał do Waszyngtonu. Albo Emily jechała do niego. Tak czy owak, oboje pojawiali się na różnych galach w Waszyngtonie, ja zresztą też z którymś z kolejnych moich przyjaciół, tak że dość regularnie widywałyśmy się poza pracą.

— Czy znała pani jej przyjaciół z kręgów pozazawodowych?

— Nie. — Dilys pokręciła głową. — Nie sądzę, żeby mieli jakichś przyjaciół, to znaczy bliskich znajomych, z którymi regularnie by się widywali. Nie utrzymywali z nikim kontaktów. Ona i Desmond w zupełności sobie wystarczali. No i oczywiście był jeszcze ojciec Emily, który mieszkał z Desmondem. Wiem, że Emily głęboko kochała ojca.

— Czy kiedykolwiek wspominała o kobiecie imieniem Erika?

— Chodzi o Erikę Stramm? — Dilys uśmiechnęła się, widząc zaskoczenie na twarzy Sabriny. — To jej rodzina.

— Rodzina?

— Tak, daleka krewna.

Sabrina nie pojmowała, jakim cudem źródłom UNACO nie udało się ustalić, że obie kobiety łączyły więzy krwi.

— Ojciec Emily właściwie nazywał się Johannes Stramm — wyjaśniła Dilys — ale w obozie koncentracyjnym, w którym spędził trzy lata wojny, zmienił nazwisko. Przyjmując nową tożsamość, chciał ocalić swoją rodzinę. Po przyjeździe do Ameryki nie wrócił do dawnego nazwiska. Znano go tu jako Johannesusa Lustiga, dlatego też panieńskie nazwisko Emily brzmiało Lustig. Erika jest córką jego kuzyna. Oczywiście wiedziałam o Ericie. Zresztą,



podobnie jak część administracji Białego Domu. Posiadanie dość kontrowersyjnej kuzynki o zapędach lewicowo–anarchistycznych nie zamyka już drzwi Białego Domu przed nikim, a z pewnością nie przed osobą tak powszechnie szanowaną i o takim autorytecie jak Emily. Zresztą przestało się umieszczać tego rodzaju informacje w aktach personalnych. Nie w modzie teraz oskarżanie o sympatie komunistyczne, prawda?

Sabrina z ciekawością odnotowała, że Erikę Stramm powszechnie uważa się za lewicową aktywistkę, która nie wzdraga się przed działaniami terrorystycznymi.

— Czy wie pani o nowych znajomych Emily, poznanych już po śmierci męża?

Dilys lekko wzruszyła ramionami.

— Nic o tym nie wspominała. Mam wrażenie, że jej krąg znajomych skurczył się prawie do zera. Tak się dzieje z wieloma wdowami.

— Tak, rzeczywiście. Proszę mi powiedzieć coś więcej o niej jako osobie prywatnej.

Dilys zaciągnęła się papierosem i spojrzała na maleńki zegarek od Gucciego, który miała na ręku.

— Jedno, co charakteryzowało Emily, to brak egoizmu. Któż z nas nie pragnąłby się szczyścić mianem altruisty? Tymczasem Emily była jedyną znaną mi osobą, która rzeczywiście posiadała tę cechę. Jeśli dochodziło do konfliktu interesów dwóch osób, zawsze to ona się usuwała.

— Odnoszę wrażenie, że to chodząca święta.

— Ależ skąd. — Dilys się skrzywiła. — Kto pani powiedział, że Emily była święta?

— Nikt. Ale z tego, co o niej do tej pory słyszałam, stworzyłam sobie obraz człowieka o wyjątkowej dobroci.

— Rzeczywiście, była dobra, ale nie miała tej obrzydliwej cikliwej dobroci, która kazałaby ją uznać za świętą. Moim zdaniem bardziej przypominała harcerkę. Była skryta, ale nie koncentrowała się wyłącznie na sobie. Zawsze służyła pomocą, rzeczywiście potrafiła nadstawiać karku za innych. Równocześnie była też nieśmiała, ale nigdy nie przybierała pozy tajemniczości. Rozumie pani, co mam na myśli?

— Chyba tak.

Sabrina obserwowała kobietę za kontuarem, która przygotowywała cappuccino z górą śmietany wysoką prawie na trzy centymetry. Sabrina z zazdrością pomyślała, że jej nigdy ta sztuka się nie powiodła. Dziwnym trafem, pianka zawsze była smaczna, nie warzyła się, ale i tak rozpływała się, przypominając naleśnik.

— Dilys, czy ma pani jakieś podejrzenia, dlaczego zastrzelono właśnie Emily?

— O to samo chciałam panią podpytać.

— Wiemy tylko, jak ją zabito, ale nie mamy pojęcia dlaczego.

— Cóż... Biorąc pod uwagę, jaką była osobą: dobrą, szlachetną, a równocześnie dość zamkniętą w sobie... — Dilys ponownie wzruszyła ramionami. — Powiedziałabym, że albo morderca się pomylił, albo że to wszystko musi się wiązać z kuzynką Emily.

— Erikę Stramm.

— Zgadza się.

— Nie wie pani, czy często się widywały?

— Ostatnio bardzo dużo do siebie pisywały. I sprawa musiała być poważna.

— A jakiego rodzaju to była sprawa?

— Nie wiem. Joe Dexter — rozmawiała z nim pani, prawda? — pełnił rolę skrzynki kontaktowej.

— Jak to?

— Joe wie dość spokojny żywot. Mieszka sam, za mało wie o ludzkiej naturze, by się z nią zmagać, więc realizuje się jako OS–a.

— Chyba powinnam wiedzieć, co to znaczy...

— Operator systemu — wytłumaczyła Dilys — w centrali telefonicznego biuletynu informacyjnego. Większość wieczorów spędza w centrali. Centrala to po prostu komputer, do którego ludzie mogą się zwracać po informacje lub je tam pozostawiać. Użytkownicy biuletynu mogą prowadzić ze sobą dyskusje na piśmie. OS-a kieruje funkcjonowaniem biuletynu.

— A w jaki sposób można się skontaktować z centralą?

— Telefonicznie albo przez modem. Dowcip polega na tym, że Joe via Internet może w swojej centrali odbierać pocztę elektroniczną z całego świata. Tak więc odbierał listy Eriki do Emily, Emily zaś przysyłała przez niego elektroniczną pocztę pod komputerowy adres Eriki, niezależnie od tego, gdzie ta się znajdowała.

— Mówiła pani o tym?

— Nie, a ja nie pytałam — odparła Dilys. — Jeśli człowiek chce wypatrzeć jakieś zmiany w utartym schemacie, wystarczy tylko uważnie się przyjrzeć, zgadza się? Jakies pół roku temu, może więcej, zaczęłam podejrzewać, że Joe robi dla Emily coś więcej poza wyszukiwaniem materiałów. Dlatego ich obserwowałam. Nie ulegało wątpliwości, że łączyły ich częstsze i zupełnie nowe kontakty. To właśnie była ta zmiana w utartym schemacie.

— I co pani zrobiła?

— Dopadłam Joego i przesłuchałam. Przyznał, że przekazywał pocztę obu adresatkom, ale nie miał pojęcia, co ona zawiera. Informacje były kodowane, a on nawet nie próbował złamać szyfru.

— W to akurat wierzę.

— Oczywiście. Za bardzo szanował Emily, by się ważyć na coś takiego. Przypuszczam, że się w niej kochał.

— Sądzi pani, że zdawał sobie sprawę, iż uczestniczy w czymś podejrzanym?

— Nie, wcale. Uważał, że jego zajęcie to sprawa zupełnie osobista i prywatna. Nawet mu nie przyszło na myśl, że w sposobie, w jaki przekazywał wiadomości, kryje się coś podejrzanego. Z jego punktu widzenia po prostu zachowywał dyskrecję. Dilys dopiła kawę i wstała.

— Sabrino — odezwała się, ruchem głowy wskazując dwójkę gości, którzy zajęli pobliski stolik — zamówię dla nas jeszcze kawę, ale nie pogniewa się pani, jeśli się przeniesiemy na taras i tam ją wypijemy?

— Musi pani zapalić?

— Niech się pani zlituje. Jestem nałogowcem.

— Nie ma sprawy.

Zabrały filiżanki ze świeżą kawą i przeniosły się na taras. Usiadły na samym końcu. Barwny materiał przyczepiony do dwóch słupków osłaniał gości przed wiatrem.

— Kiedy się nad tym zastanowić — podjęła Dilys — to człowieka ogarnia pusty śmiech.

Zacisnęła dłonie na zapalniczce i kilkakrotnie się zaciągnęła, póki papieros się nie zapalił. Odchyliła się w krzesło, rozkoszując się jego smakiem.

— Cóż za ironia. A im starszy się człowiek staje, tym więcej takich rzeczy dostrzega. Gromadzi się to jak bagaż. Nie ma dnia, żebym czegoś takiego nie zrobiła. Wychodzę na świeże powietrze, by móc napełnić płuca dymem.

Sabrina popijała kawę, czekając, aż Dilys samą dorzuci to, co ma jeszcze do powiedzenia o Emily Selby.

— Czy ma pani za sobą małżeństwo, Sabrino?

— Nie, nigdy nie wyszłam za mąż.

— Ja tak. Dwukrotnie. I tyleż razy się rozwiodłam. Każde zerwanie kosztowało mnie mnóstwo zdrowia, choć za pierwszym razem byłam bliska znieawidzenia faceta, a za drugim razem nim gardziłam. A jednak zarówno po pierwszym, jak i po drugim rozwodzie długo trwało, nim się pozbierałam. Przypominałam to sobie, kiedy próbowałam zrozumieć, co

przechodzi Emily, która została wdową, nie rozwódką, a przy tym kochała męża jak nikogo na świecie. Boże...

— No i jeszcze ojca.

— Rozmawiała ze mną o tym.

— O ojcu?

— O śmierci obu bliskich jej mężczyzn. — Dilys zaciągnęła się, po czym wypuściła dym, który zasnuł cały taras. — Prosiła, żebym nikomu tego nie powtarzała. — Kobieta spojrzała Sabine prosto w oczy. — Może teraz powinnam o tym powiedzieć. Sabrina czekała.

— Przypuszczam, że wspomniała mi o tym, ponieważ zwyczajnie musiała się przed kimś wygadać. Tragedia Emily wydawała się sprawą zupełnie oczywistą. Jej mąż, Desmond, i ojciec wybrali się łowić ryby na jeziorze Cayuga znajdującym się na terenie kampusu w Cornell. Zresztą jest ono widoczne z okien domu, w którym mieszkali. Emily przyjechała wtedy do Cornell na tygodniowy urlop. Tego popołudnia, gdy doszło do nieszczęścia, wróciła z uniwersyteckiej biblioteki z plikiem notatek do książki, nad którą wówczas pracowała, i z okien salonu zobaczyła pustą łódź kołyszącą się na wodzie. W pierwszym momencie pomyślała, że może cuma się urwała i fale zaniósły łódkę na środek jeziora. Uznała, że Des i ojciec poszli do pobliskiego baru na parę głębszych — jak to często robili o tej porze dnia. Po chwili uświadomiła sobie, że w domu nie dostrzegła żadnych śladów ich powrotu z ryb. Przeszukała całe mieszkanie. W końcu przerażona, pełna najgorszych przeczuć, zadzwoniła na policję. Natychmiast zarządzono poszukiwania i o zachodzie słońca znaleziono ciała obu mężczyzn.

— To się zdarza — skomentowała Sabrina. — Mój szkolny kolega zginął w taki sam sposób.

— Ja z kolei miałam kuzyna, który też się utopił. Wybrał się na ryby, łódź się przewróciła, a ponieważ był grubo ubrany, nie zdołał dopłynąć do brzegu.

— Emily nie prosiła pani o zachowanie dyskrecji w sprawie wypadku, prawda?

— Rzeczywiście. — Dilys zgasiła papierosa i zapaliła następnego. — Po śmierci Desmonda i ojca wszyscy: sąsiedzi, koledzy, znajomi, wykładowcy z Cornell i policja, powtarzali to samo. Dokładnie to, co pani przed chwilą powiedziała: że tego rodzaju wypadki dość często się zdarzają. Tymczasem Emily wcale nie wierzyła, by to był wypadek.

— Miała jakieś podstawy?

— Patolog, który robił sekcję zwłok, znalazł pewne ślady. W trakcie dochodzenia ustalającego przyczynę zgonu nikt nie zwrócił uwagi na jego raport. Były jakieś naciski, sprawa wydawała się oczywista, tak że przesłuchanie stanowiło tylko czystą formalność. Stwierdzono, że przyczyną zgonu było utonięcie. Nie przedstawiono żadnych dowodów, że mogło to być coś innego niż tylko nieszczęśliwy wypadek. Patolog próbował oponować, miał jakieś podejrzenia, chciał o nich powiedzieć. Gdzież tam. Nie dopuszczono go do głosu. Emily usłyszała, jak skarżył się jakiemuś policjantowi, że sprawę chciano zatuszować, i poszła z nim porozmawiać. Dilys przerwała i wskazała swoją filiżankę.

— Przepraszam, wiem, że to okropne, ale jestem też uzależniona od kofeiny. Cóż, jestem za stara, żeby się zmienić. Gdyby zechciała pani chwilę poczekać...

Już chciała wstać, ale Sabrina oświadczyła, że teraz jej kolej. Weszła do kawiarni i zamówiła jeszcze dwie kawy. Przed powrotem na taras zaszła się w damskiej toalecie i z telefonu komórkowego zadzwoniła do UNACO. Odebrała sekretarka Philpotta. Sabrina podała jej nazwiska i przypuszczalną datę wypadku, prosząc o zdobycie kopii wyników sekcji.

Wróciła, ostrożnie niosąc dwie filiżanki kawy, i usiadła naprzeciwko Dilys.

— Już jestem. Może pani relacjonować dalej.

Dilys powiedziała, jak to Emily udała się do szpitala, w którym patolog pracował jako konsultant. Początkowo nie chciał z nią rozmawiać, gdyż jako zaprzysiężony koroner stanu

Nowy Jork łamałby etykę zawodową, przedstawiając osobie zainteresowanej wersję inną od oficjalnej.

— Emily bez trudu rozwiązała jego skrupuły. Jeszcze się gotował ze złości, że tak go zlekceważono, gdy próbował zwrócić uwagę na pewne fakty. Zraniono jego poczucie sprawiedliwości, no i godność. Dlatego w końcu podzielił się z Emily swoimi podejrzeniami.

Potwierdził, że bez cienia wątpliwości przyczyną śmierci ojca i męża Emily było utonięcie. Wcale jednak nie uważał, że łódź rzeczywiście się wywróciła i obaj mężczyźni po prostu wypadli do wody. Na obu ciałach widać było ślady walki — ciągnęła Dilys. — Jakieś zadrapania na szyi, guz na czole Desmonda i głowie starszego mężczyzny. Skaleczenia i siniaki wokół oczu, a u Desmonda nawet zwichnięcie stawu biodrowego. Zdaniem patologa, tego rodzaju obrażenia nie towarzyszą zwykłemu wypadnięciu z łodzi. Wyglądało to raczej na walkę z przeciwnikiem.

— I co Emily na to?

— Mówiła mi, że starała się o ponowne rozpatrzenie sprawy, ale została zlekceważona. Przez pewien czas patolog jej pomagał. Zwrócił się na policję. Przygotował długie oświadczenie, w którym wyjaśnił, że oprócz niezwykłych w takiej sytuacji zranień zewnętrznych, znalazł u obu mężczyzn dziwne obrażenia wewnętrzne, zupełnie nie pasujące do pierwotnego ustalenia przyczyny śmierci. Znowu go, podobnie jak Emily, zlekceważono, a w miesiąc po tym, jak zaczął wspierać Emily, wykryto u niego jakiegoś raka. Chłoniaka ziarnkowego, czy coś w tym stylu.

— Chłoniak nieziarniczny — poprawiła Sabrina.

— Jak go zwał, tak go zwał, grunt, że patolog wkrótce zmarł i w ten sposób Emily straciła jedynego poplecznika. Czuła się skrzywdzona, ale więcej już niczego od niej nie wyciągnęłam. Zdaje się, że po śmierci patologa zrezygnowała z dalszej walki o ponowne rozpatrzenie sprawy w sądzie.

— Sądzi pani, że Emily знаła powód, dla którego ktoś mógłby zabić jej ojca i męża?

— Jestem pewna, że coś podejrzewała — odparła Dilys. — W końcu z łatwością uwierzyła, że ktoś maczał palce w całej sprawie, prawda? Zwierzyła mi się — uważała, że jej mąż zginął dlatego, że stanął na drodze człowiekowi lub ludziom wysłanym, by zabić jej ojca.

— Tak powiedziała?

— Tylko raz. Potem najwyraźniej żałowała, że w ogóle o tym wspomniała, i więcej nie wracała do sprawy.

Chwilę siedziały w milczeniu, popijając kawę. W końcu Dilys zerknęła na zegarek i oświadczyła, że na nią już czas.

— Umówiłam się na randkę, a osoba w moim wieku podchodzi do takich spraw bardzo poważnie. Nawet pani nie wie, ile mnie wysiłku kosztuje, by jako tako wyglądać. Doszłam do etapu, gdy samo przygotowanie zajmuje mi godzinę.

— Niechże pani nie mówi o sobie takich rzeczy. Wygląda pani świetnie — zapewniła Sabrina.

— Gdybym wyglądała choć w jednej dziesiątej tak dobrze jak pani, kochanie, gwizdałabym na kosmetyki.

Wyszły z kawiarni. Przy drzwiach Sabrina wyciągnęła rękę.

— Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić tyle czasu, Dilys.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Przydałam się pani chociaż na coś?

— Ogromnie się pani przydała. Trochę lepiej poznałam Emily i wskazała mi pani nowe punkty zaczepienia.

— Hm, to już coś, prawda?

— Znacznie więcej, niż się spodziewałam — przyznała Sabrina.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Sabrina opuszczała Biały Dom, Peter Leder kończył kolację w restauracji „U Alfonsa” na Blisse Strasse w Wilmersdorf, dzielnicy Berlina. Dochodziło dwadzieścia po dziesiątej wieczorem, a Leder zawsze starał się być w łóżku o jedenastej. Uznał, że dość już zjadł deseru i odłożył łyżeczkę.

— Doskonale — oznajmił. — To jedyna znana mi restauracja, w której dodają wanilii do *zabaglione*.

W 1969 roku, jako trzydziestoczteroletni mężczyzna, Peter na skutek pęknięcia wrzodu dwunastnicy przeszedł operację resekcji żołądka. Omal się nie wykrwawił na śmierć, lecz operacja się powiodła i po długiej rekonwalescencji wrócił do zdrowia.

Po operacji żołądek Petera przybrał rozmiary piłeczki do tenisa. Mężczyzna po kres swoich dni został skazany na maleńkie posiłki. Szybko się przekonał, jak boleśnie odczuwa skutki przejedzenia, a w wieku czterdziestu lat nauczył się nie brać do ust ani jednego kęsa, ani jednej kropelki więcej, kiedy nacisk we wnętrzościach mówił, że zjadł już dość.

— Nie znaczy to, że nie mogę smakować jedzenia ani trunków — mówił teraz, wyjaśnwszy swemu towarzyszkowi kolacji, dlaczego brał takie małe porcje i czemu tak długo je przeżuwał. — Po prostu muszę uważać i liczyć na niewyczerpaną cierpliwość nieszczęśników skazanych na spożywanie ze mną posiłku.

Jego gość, Stefan Fliegel, zapewnił, że nie zauważył niczego nienormalnego. Kłamał jak najęty, gdyż nie sposób było nie zwrócić uwagi, jak gospodarz dławi się, krztusi i czka przez całą kolację. Fliegel jednak wiedział, że Peter Leder przepada za wazeliniarstwem. To dzięki temu kolacja tak się udała i Fliegel nie widział powodów, by ni z tego, ni z owego zmieniać taktykę.

— Żałuję tylko — ciągnął Leder — że mój stan przyczynił się do mej przedwczesnej starości. Lekarze tłumaczą to niedożywieniem, niezdolnością organizmu do przyjmowania pożywienia w tempie niezbędnym do właściwego funkcjonowania. Małe porcje jedzenia, choć podtrzymują mnie przy życiu, spowodowały przedwczesne starzenie tkanek.

— Wcale nie wygląda pan staro — zaprzeczył bez zmrużenia oka Fliegel. — Tak się składa, że wiem, ile pan ma lat. Sześćdziesiąt jeden, czyli o rok mniej niż ja.

— No i sam pan widzi! — zawołał Leder, machając serwetką. — Wystarczy spojrzeć na nas obu.

— Właśnie chciałem powiedzieć, Herr Leder, że nie zauważyłem, byśmy zewnętrznie szczególnie się różnili.

Prawda tymczasem przedstawiała się tak, że Stefana Fliegla można by wziąć za syna Petera. Leder wyglądał na dwadzieścia lat starszego, niż wskazywała jego metryka, podczas gdy Flieglowi, który co roku opalał się nad włoskimi jeziorami, dałoby się najwyżej pięćdziesiątkę. Poza tym Fliegel był przystojnym mężczyzną o wysportowanej sylwetce. Leder zaś garbił się, miał brzuszek, niezdrową, pomarszczoną cerę, a zęby mu poczerniały od regularnego przyjmowania związków żelaza.

Leder chrząknął i wytarł usta serwetką, w ten sposób sygnalizując zmianę tematu.

— Chyba nie powinienem już dłużej trzymać pana w niepewności: postanowiłem przyjąć pańską prośbę o przyznanie funduszy.

— Och...

— Jak już pana ostrzegałem, fakt, że zaprosiłem pana na kolację, nie oznaczał, że pozytywnie rozpatrzyłem pańską prośbę.

— Doskonale to rozumiem, Herr Leder — rozpromienił się Fliegel.

— Wielokrotnie zapraszałem na kolację panów, których wnioski musiałem odrzucić. Po prostu uważam, że wspólna kolacja to doskonała okazja do obgadania sprawy bez względu na to, jak się ona zakończy.

— Jestem niezmiernie wdzięczny, że uznał pan, iż warto wspierać naszą fundację.

— No cóż, każda właściwie prowadzona organizacja mająca na celu poprawienie warunków bytowania oraz szans na lepszą przyszłość młodych Niemców, którzy borykają się z trudną sytuacją życiową, może liczyć na wsparcie zarówno z mojej strony, jak i ze strony moich współpracowników z zarządu.

— To dzięki dalekowzroczności i hojności ludzi takich jak pan możemy kontynuować nasze dzieło.

Fliegla rozsadzała duma, że udało mu się dostroić do pompatycznego sposobu wysławiania Ledera. Kiedy Peter się nachylał i on się pochylał, gdy tamten zaplatał ramiona, on robił to samo. Już dawno się przekonał, że naśladowanie czynności rozmówcy osłabia jego czujność.

— Lista pańskich osiągnięć jest imponująca — podjął Leder. — Moją uwagę zwróciło zwłaszcza to, ile czasu oraz własnego majątku wkłada pan w dzieło.

— To prawda — potaknął Fliegel, spuszczać wzrok z udaną skromnością. — Nasze dzieło w znacznym stopniu traktujemy jak powołanie. Uważałbym, że zmarnowałem tydzień, gdybym przynajmniej dziesięciu godzin nie poświęcił na pracę w fundacji.

Kelner kręcił się w pobliżu stolika, a zobaczywszy, że Fliegel się prostuje i sięga po kieliszek wina, podszedł do gości. Był to inny kelner niż ten, który wcześniej ich obsługiwał, wyższy. Na jego twarzy malowała się powaga, przywodząca Fliegelowi na myśl oblicza aniołów, jakie widuje się na pomnikach cmentarnych. Fliegelowi spodobała się również jego smukła, zgrabna sylwetka. Właśnie taki młodzieniec, gdyby tylko dano mu szansę, potrafiłby złamać Fliegelowi serce. Uśmiechnął się do chłopaka.

— Smakował panu posiłek?

Fliegel potaknął. Kelner patrzył, jak mężczyzna wypija jeszcze łyk wina i odstawia kieliszek.

— Życzy pan sobie jeszcze czegoś?

— Właściwie...

Fliegel chętnie napiłby się koniaku, ale w tej chwili coś go zaniepokoiło. Po pierwsze, Leder był najwyraźniej dotknięty, że kelner go ignoruje; po drugie, przełożony kelnerów stał na środku sali, ze zmarszczonymi brwiami patrząc w ich kierunku, jakby coś mu się nie zgadzało. Fliegel uświadomił sobie, że chłopak nie zachowuje się jak przeciętny kelner. Brakowało mu uniżoności, poza tym patrzył klientowi prosto w oczy.

— To znaczy że nie życzy pan już sobie niczego? — Spojrzenie błękitnych oczu bez przerwy było utkwione w Fliegla, budząc w nim coraz większy niepokój. — W takim razie chyba pora uregulować rachunek.

To już zupełnie się Fliegelowi nie spodobało.

— Słucham?

Kierownik sali szedł w ich stronę, zręcznie lawirując między stolikami. Kelner obejrzał się przez ramię, zauważył zwierzchnika i z uśmiechem skinął głową.

— *Oberkellner* — mruknął, ponownie kiwając głową. Przełożony mierzył go lodowatym wzrokiem. Dalej kierował się w ich stronę, potracił jakąś klientkę, zatrzymał się, by przeprosić.

— Tak, chyba już pora uregulować rachunek — powtórzył kelner, ponownie spoglądając na Fliegla.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Kelner sięgnął pod marynarkę i wyciągnął pistolet. Fliegelowi świat nagle się rozplątał przed oczami. To nie może się przytrafić właśnie jemu. To jakiś zły sen albo ponosi go wyobraźnia, albo...

Słyszał tętno dudniące mu w uszach, czuł, jak wstaje z krzesła, kiedy kelner podnosi broń na wysokość jego twarzy. Fliegel miał wrażenie, że posiada władzę nad pistoletem i jakąś dziwną siłą zmusza lufę, by naśladowała jego ruchy. Stopą zahaczył o nogę od krzesła i przytrzymał się stołu.

— Rachunek za Natana Barasza — powiedział kelner. Fliegel usłyszał cichy, metaliczny trzask broni, a potem była już tylko czerwień i huk, jakby zwały się puste pudła — i nicość.

W chwili wystrzału jakiś mężczyzna dwa stoliki dalej przeczesywał włosy. Teraz, oszołomiony przez huk i piski przerażonych kobiet, spojrzął na rękę, na której wylądowało coś ciepłego i lepkiego. Nie rozumiejącym spojrzeniem wpatrywał się w papkę z krwi i mózgu, która kleiła mu się do palców.

— Zatrzymać tego człowieka! — wrzeszczał główny kelner.

Peter Leder patrzył na martwego Stefana Fliegla, pozbawionego oka i połowy czoła. W uszach nadal rozbrzmiewał mu huk wystrzału, ale usłyszał trzask pękającego szkła i podniósł wzrok. Nie wypuszczając pistoletu z dłoni, kelner wyskoczył przez witrynę. Popędził przez ulicę, jak najdalej od restauracji, aż rozpląnął się w mroku.

Mike spędził rano w technicznej bibliotece UNACO, sprawdzając rejestry kluczy i zamków. Po dwóch godzinach bezowocnych poszukiwań zajrzał do listy dziesięciu tysięcy zamków szyfrowych wykorzystywanych przez amerykańskie banki oraz instytucje wysokiego ryzyka. Notkę, której szukał, znalazł na trzeciej stronie od końca.

**Zamki serii BL 921773 do BL 921872  
Sanders Lowe Inc. dla Luckham Depositories**

Sto kluczy i zamków tej samej serii, wszystkie najprawdopodobniej w jednym miejscu. Na kluczu Emily Selby widniał numer BL 921786. Był to wolframowy klucz, wykonany bardzo precyzyjnie, zgodnie z najnowszą technologią, i istniał tylko jeden jego egzemplarz. Taki klucz musiał kosztować tyle samo co solidny sejf. Mike uznał, że pasującego do niego zamka najlepiej poszukać w rejestrze najpilniej strzeżonych depozytów Luckhama.

Aby go znaleźć, musiał przejść do pokoju komputerowego nazywanego Dziupłą, uruchomić komputer i podać hasło. Jego hasło brzmiało *licet*, co po łacinie oznacza „wolno”. Po sekundzie na ekranie pojawiło się menu. Kliknął myszą obok zbioru CSC.

W wyposażeniu UNACO znajdowały się urządzenia, które nie liczyły się z prawem. Należał do nich CSC — prześwietlacz firm. Program ten zawierał liczne dane, które łamały wiele podstawowych przepisów i regulaminów firm zakładających ochronę prywatności oraz praw grup lub jednostek. Co więcej, znaczną część danych uzyskano w nielegalny sposób.

CSC stanowił bezcenną broń. Bez niego poszukiwanie zamka pasującego do klucza Emily Selby potrwałoby wiele dni i kosztowało setki dolarów łapówek; dzięki CSC Mike znalazł zamek w ciągu ośmiu minut.

Zaczął od wywołania pełnej listy depozytów złożonych w Luckham, następnie rozpoczął poszukiwania najpilniej strzeżonych kasetek. Znalazł listę wszystkich numerów zamków skrytek, a nawet najnowszą, uaktualnioną listę właścicieli depozytów. Numery zamków nie należały do serii BL, więc przeszedł do kolejnych na liście skrytek, tańszych o czterysta dolarów miesięcznie, i trafił na to, czego szukał.

Zamki Sanders Lowe, numery od BL 921773 do BL 921872, wbudowane w ognioodporne, tytanowe skrzynki, środek utwardzany, pięciomilimetrowa warstwa stali hartowanej. Kasetki w rzędach po dziesięć, dziesięć warstw, strzeżone poza godzinami urzędowania przez osiem alarmów laseroptycznych.

Depozyt znajdował się na ósmym piętrze budynku Okasaki Bank mieszczącego się w Waszyngtonie przy Mount Vernon. Mike zapisał adres, wystukał numer wewnętrzny i przez pięć minut rozmawiał przez telefon z C.W. Whitlockiem, tłumacząc mu, co zamierza zrobić, następnie wyłączył komputer i skierował się prosto do magazynu z odzieżą.

— Muszę prezentować się godnie i zamożnie — wyjaśnił odpowiadającej za garderobę Teresie, która zmierzyla go nieprzychylnym spojrzeniem.

— Czyli?

— Ciemny, wzorzysty krawat od Diora — podsunął. — Niebieska, bawełniana koszula Turnbull and Asser. I co byś powiedziała na niebieski, opalizujący garnitur od Armaniego?

— Ten, na który wylałeś *gazpacho*? — Głos Teresy brzmiał lodowato.

Niewinnie zatrzepotał rękami.

— Ja? Jesteś tego pewna?

— Mam świadków.



— No, proszę, proszę, jak to człowiek szybko zapomina. I co, jest z nim jakiś problem?

— Wywabienie plam po *gazpacho* to zawsze problem. Wywabisz plamę chemicznie, będzie ślad po czyszczeniu. Wywabisz plamę niechemicznie, zapach czosnku zostanie. I co człowiek ma robić w takiej sytuacji?

— Słuchaj, Tereso, naprawdę się spieszę. Dasz mi ten garnitur czy nie?

— Jeśli chodzi o garnitury od Armaniego, możesz sobie wybrać granatowy albo jasnoszary. Niebieski opalizujący jest chwilowo skreślony.

Wziął granatowy. W czasie gdy prasowano ubranie, zdjął dżinsy i podkoszulek, po czym włożył szlafrok. Wychodząc z przebieralni, zderzył się z chudym monterem w kombinezonie i wełnianej czapce. Robotnik uśmiechnął się do Mike'a i skinął mu głową.

— Cześć — odparł obojętnie Mike, odwracając się w drugą stronę.

— Nie poznałeś mnie — stwierdził mężczyzna. — Nieżli są ci charakteryzatorzy, co?

Mike obrócił się i jeszcze raz mu się przyjrzał.

— Słucham?

— Niecały miesiąc temu, kiedy trochę przeholowałem z trunkami na pożegnalnej imprezie Nancy Blair, odstawiłeś mnie do domu i położyłeś do łóżka. Postąpiłeś jak prawdziwy kumpel. A dziś mijasz mnie z obojętnym „cześć”. Naprawdę mnie nie poznałeś czy przypadkiem nadepnąłem ci na odcisk i nie masz ochoty ze mną rozmawiać?

Tym razem Mike bacznie mu się przyjrzał.

— Jackie Lloyd?

— We własnej osobie.

— Świetnie się przy tobie spisali. Ten sztuczny nos całkiem nieźle się prezentuje, choć chyba trochę przesadzili.

— Cha, cha, też mi dowcip. — Lloyd podważył palcami przyklepione worki na policzkach.

— Pomyślałem, że na jakiś czas zachowam te wory i zaczerwienione oczy i zaprezentuję je mojej byłej. Udowodnię, że te alimenty mnie wykańczają.

— Naprawdę cię nie poznałem — powiedział Mike. — Mamy dość oryginalny sposób zarabiania na życie, Jackie.

— Ach, daj spokój, to nie gorsze niż utrzymywanie się z nielegalnych dochodów. — Lloyd kiwnął głową w kierunku, z którego dobiegał syk pary. — Będę się musiał wytłumaczyć z tłustych plam na butach i kombinezonie. Teresa urwie mi głowę. Do zobaczenia, Mike.

— Trzymaj się, Jackie.

Mike przeszedł do pomieszczenia obok, kierując się do królestwa Imogeny Kelly.

— Proszę, proszę, pan Graham. — Imogena odpowiadała za uczesanie i makijaż. Uśmiechnęła się szeroko do Mike'a. — Wygląda na to, że zjawiałeś się tu w samą porę. W pierwszej chwili myślałam, że to jakiś kudłacz.

Imogena zaczęła pracować w ONZ jako urzędniczka roznosząca pocztę, lecz została porwana przez UNACO, kiedy rozeszła się wieść o jej wrodzonym talencie do czesania i makijażu. Przyjaciele i byli współpracownicy sądzili, że Imogena kieruje małym działem zajmującym się specjalistyczną pocztą, tymczasem dziewczyna prowadziła doskonale wyposażony salon, gdzie całymi dniami naprawiała, poprawiała lub zmieniała wygląd agentów UNACO.

— Muszę wyglądać jak biznesmen, gruba ryba. Raczej ze wschodniego wybrzeża niż z zachodniego. I muszę się w niego wcielić jak najszybciej.

Imogena kazała mu usiąść w fotelu fryzjerskim przypominającym fotel lotniczy. Zapaliła parę lamp nad głową, likwidując cienie wokół głowy agenta.

— Trzymaj. — Rzuciła mu na kolana katalog. — Wybierz sobie któregoś z tych adonisów, a ja ci powiem, czy to się da zrobić, czy tylko woda sodowa uderzyła ci do głowy.

Mike przerzucał lśniące strony, w końcu wybrał młodego mężczyznę z półdługimi, falującymi włosami, zaczesanymi gładko, rozdzielonymi przedziałkiem na środku głowy.

— Da się zrobić coś takiego, ale tak, żeby przy byle podmuchu wiatru nie zrobiła mi się z tego szopa?

— Jasne. — Imogena zarzuciła na niego białą pelerynkę. — Skoryguję długość i linię, dopiero potem umyję. Później, przed wysuszeniem włosów, zaaplikuję ci ten nowy żel. — Wyciągnęła plastikową butlę. — To osłona przed gorącem. Mogę ci szybko wymodelować włosy i uczesać cię na sztywno, tak że nawet bomba nie ruszy ci fryzurki.

Wszystko zajęło kwadrans, a na końcu fryzura Mike'a bardzo przypominała uczesanie mężczyzny z fotografii.

— Doskonale — zachwycał się, obracając głowę i przeglądając się w lustrze. — Nie spodziewałem się, że uda ci się to zrobić w takim tempie.

— Jest tylko jeden skutek uboczny, o którym zapomniałam wspomnieć — powiedziała Imogena. Zdjęła pelerynę i przyczesła Mike'owi włosy na karku. — Po trzech dniach włosy wypadają co do jednego. Cóż, w końcu coś za coś, prawda? Tak że ciesz się, póki możesz.

Pięć minut po trzeciej Mike zapinał pas. Wyglądał niczym prawdziwa gruba ryba z Wall Street z czarną aktówką od Gucciego, usadowiony obok pilota awionetki ONZ. W chwili startu padało, lecz pilot zapewniał, że lecą w obszar lepszej pogody.

— Kamień mi spadł z serca — przekrzyczał huk wirnika Mike. — Jeśli choć odrobinę zaplamie ten garnitur, to mogę się tu już nie pokazywać z powrotem.

Było słonecznie i wiał lekki wiatr, kiedy na godzinę przed zamknięciem Mike stanął przed wejściem do Okasaki Bank na Mount Vernon w Waszyngtonie. Poklepał się po kieszeni, w której spoczywał portfel, rozkoszując się imponującą, nową tożsamością, po czym wkroczył przez przeszklone drzwi. Winda zawiozła go na ósme piętro.

Pierwszą przeszkodę, na jaką się natknął, stanowiła ściana ze szklanych tafli osadzonych w chromowanej ramie. Tkwił przed nią, rozglądając się za drzwiami. Gdzieś nad jego głową rozległ się głos.

— Dzień dobry panu. Czym możemy służyć?

— Chciałbym porozmawiać o założeniu skrzynki depozytowej.

— Oczywiście. Niech pan wejdzie i spocznie. Konstrukcja się odsunęła i Mike wszedł do sali, której ściany pokrywała ciemnozielona materia o mięsistej fakturze. Na końcu pomieszczenia znajdowało się długie, wąskie okno, obok niego ustawiono dwa skórzane fotele i niski stolik. Ledwo Mike zajął miejsce, drzwi się zamknęły, za to otworzyły się inne. Pojawił się w nich mężczyzna w średnim wieku, ubrany w garnitur prawie tak samo markowy jak Mike'a. Miał starannie przystrzyżone, szpakowate włosy. Uśmiechnął się zdawkowo, podchodząc do stolika.

— Nazywam się Dan Conway. — Wyciągnął rękę do Mike'a, który wstał na powitanie. — Mam nadzieję, że będziemy mogli panu pomóc, panie...

— Lewis. Brett Lewis.

Conway położył na stoliku skórzaną teczkę na dokumenty i usiadł. Otworzył teczkę i Mike zobaczył w środku formularz, czyli rzecz, której chciał uniknąć. Pisemne formularze oznaczają wydłużenie procedury.

— Mógłby mi pan przynajmniej ogólnikowo zasugerować, jakiego rodzaju depozyt chciałby pan u nas złożyć, panie Lewis? Dzięki temu zaoszczędzimy czas, bo może się okazać, że lepiej by było, gdyby pan się zwrócił do innego oddziału naszej firmy.

Tu pojawił się kolejny element ryzyka. Mike musiał się okazać odpowiednim klientem dla tego właśnie oddziału.

— Pewne dokumenty — odparł — a także kilka kosztownych drobiazgów.

— Nie przekraczające formatu trzydzieści pięć na dwadzieścia siedem centymetrów, wysokość do osiemnastu centymetrów?

— Zgadza się. To wręcz idealny rozmiar. Mam dokumenty dotyczące bardzo drażliwego zakupu, który może przynieść ogromne zyski, a który musi jeszcze przez pewien czas pozostać ściśle tajny. Dokumenty są spisane ręcznie, nie posiadamy żadnych kopii, tak że muszę je złożyć w takim miejscu, żebym miał pewność, iż absolutnie nic im się nie stanie.

— Cóż, zacznijmy od tego — powiedział Conway — że przedstawię panu naszą ofertę.

Firma gwarantuje całkowitą dyskrecję, zapewnił, na co Mike omal nie wybuchnął śmiechem. W siedzibie UNACO mieli nazwiska wszystkich właścicieli depozytów każdego oddziału Luckhama. Firma zapewnia też pełne bezpieczeństwo, wyjaśnił Conway, po pierwsze, dzięki niezrównanej trwałości i odporności na ogień skrytek, po drugie, z powodu niezawodnego systemu zamykania pomieszczeń, po trzecie, na skutek licznych alarmów laseroptycznych, podłączonych do automatycznej blokady drzwi i trzech posterunków policji. Firma jest również bardzo wysoko ubezpieczona.

— Od pana, panie Lewis, potrzebujemy poręczenia z banku, że stać pana na uiszczenie miesięcznej opłaty w wysokości siedmiuset dolarów. Potrzebujemy także trzech dobrych referencji od ludzi interesu, jak również pańskiej zgody na sprawdzenie, czy nie był pan karany oraz czy nie ma pan powiązań ze światem przestępczym. Zrozumie pan chyba, że ostatnie to formalność, której wymagają od nas nasi ubezpieczyciele.

— Cóż, wszystko to świetnie, tyle że mamy pewien problem — stwierdził Mike i zauważył, że wzrok Conwaya na moment stwardniał. — Ja muszę złożyć te dokumenty w skrytce już teraz, jeszcze dziś. Wieczorem wylatuję w podróż służbową do Azji i chcę wiedzieć, że pod moją nieobecność im — poklepał aktówkę — zupełnie nic nie grozi.

Conway lekko odchrząknął.

— Przyznanie panu skrytki już dziś wymagałoby nadzwyczajnej procedury, panie Lewis.

— Ale to możliwe?

— Szczerze mówiąc, zbytnio bym na to nie liczył.

— Czy nie dałoby się sprawy rozwiązać z korzyścią dla obu stron? — spytał Mike. — O ile mi wiadomo, posiadają państwo stale aktualizowaną listę bezpiecznych klientów, prawda? Poufny wykaz dwustu biznesmenów i kobiet interesu, którym można bez wahania zaufać. Nie mylę się?

Stał na grząskim gruncie. Niewykluczone, że Conway zaprzeczy istnieniu takiej listy, jeśli kładzie nacisk na utrzymanie w ścisłej tajemnicy poufnych informacji.

— No, cóż... — Conway ponownie odchrząknął. — Lista, o której pan wspomina, zasadniczo stanowi swego rodzaju spis gwarantów i poręczycieli, których poręczenia przyjmujemy bez wahania. Czyżby chciał się pan powołać na osobę z tego wykazu?

— Owszem, ale chcę też zwrócić uwagę, że ja sam znajduję się na tej liście. A przynajmniej tak mi się wydaje.

— Doprawdy, panie Lewis, nie wiem, jakim cudem mógłby pan posiadać takie informacje.

— Proszę mi uwierzyć, że nikt nie powiedział mi tego w naumyślnie — uspokoił go Mike.

— W interesach, przynajmniej na tym szczeblu, na którym ja je prowadzę, zdarza się, że przez zupełny przypadek wpadają mi w ucho ważne tajemnice.

Conway podniósł się z fotela.

— Pozwoli pan, że go opuszczę na kilka minut, panie Lewis... — Już ruszał w stronę drzwi, kiedy o czymś sobie przypomniał. — Czy mógłby mi pan wymienić nazwisko drugiej osoby, tej, którą chciał pan podać jako swego poręczyciela?

— Kenneth Ross.

Conway zanotował nazwisko i zniknął. Mike czekał, wyobrażając sobie, co się teraz dzieje. Conway zapewne poszedł do komputera. Otworzy zbiór, zawierający dwieście nazwisk, zacznie szukać i oto pod nazwiskiem Brett Lewisa zobaczy fotografię Mike'a. Zdjęciu będzie towarzyszyć imponująca historia przebiegu jego kariery. Pojawią się też stosowne referencje, które jednogłośnie potwierdzą, że jest to osoba absolutnie wiarygodna.

Poszukiwanie Kennetha Rossa zakończy się znalezieniem zdjęcia Alana Flinta, aktora charakterystycznego, z którego talentu do zmiany twarzy UNACO nieustannie korzystała. Fikcyjny Ross, podobnie jak Lewis, będzie miał za sobą błyskotliwą karierę w świecie interesów, skompilowaną z licznych prawdziwych życiorysów. Kiedy Mike opuszczał siedzibę ONZ, praca nad tym jeszcze trwała.

A gdy pan Conway wykręci numer podany w tajnym zbiorze, by sprawdzić wiarygodność Bretta Lewisa — czysta formalność, lecz Mike założyłby się, że urzędnik i tak to zrobi — do telefonu podejdzie Kenneth Ross, czyli w tym wypadku C.W. Whitlock we własnej osobie, który potrafiłby oczarować samego strażnika więziennego, tak że ten dałby mu klucze do celi.

Conway wrócił po pięciu minutach. W jego pełnym szacunku zachowaniu pojawił się teraz element uniżoności.

— Panie Lewis — przemówił z rewerencją — przepraszam, że kazałem panu tak długo czekać. Z prawdziwą przyjemnością zapewniam, że firma Luckham robi, co w jej mocy, by pana usatysfakcjonować.

Nie minęło dziesięć minut, a Mike stał w niewielkim, klimatyzowanym pomieszczeniu. Przed nim znajdowało się sto skrytek w rzędach po dziesięć. Wynajęto mu kasetkę numer osiem, wystarczyło, że nabazgrał swój podpis na formularzu, na którym zobowiązywał się do wynajęcia jej na okres przynajmniej jednego miesiąca. Conway zapewnił go, że w pomieszczeniu będzie miał zapewnioną całkowitą prywatność i Mike mu wierzył.

Ledwo drzwi się za nim zatrzasnęły, wyjął z kieszeni małą latarkę i oświetlając każdą blaszkę na zamku sprawdzał numer serii.

Numer z klucza Emily Selby znajdował się na skrytce numer 29. Wyjął kasetkę ze skrytki, położył ją na stole i otworzył. Wolno uchylił wieko, jakby coś miało na niego wyskoczyć ze środka.

Nie wyobrażał sobie, co właściwie tam znajdzie, ale było tego mniej, niż się spodziewał. Co więcej, wyglądało to jak rzeczy, które wkłada się do pudełka po butach i umieszcza na najwyższej półce w szafie, a nie w pilnie strzeżonej skrytce depozytowej. Jakieś stare zdjęcia wakacyjne Emily i jej męża, zdjęcie jej rodziców z młodości, z ich imionami wygrawerowanymi na złożonych ramkach, sporo dzieciennych książek, wszystkie podpisane „Emily Lustig”, poza tym akt urodzenia, akt ślubu, jedna czy dwie nieaktualne polisy ubezpieczeniowe i zaklejona biała koperta. Mike ją otworzył.

W środku znajdowała się fotografia dziesięciu osób, mężczyzn i kobiet, którzy sztywno usadowieni w dwóch rzędach, z uroczystymi minami wpatrywali się w obiektyw. Nad nimi widniał transparent z inicjałami JZ, a pod tym napis „Gründed 1994”. Oprócz tego w kopercie był tylko jeszcze tani notes z jedną nabazgraną notatką „17a Scharweber Strasse, Berlin”.

Mike zabrał większość rzeczy, z wyjątkiem oprawionej fotografii i dzieciennych książeczek i schował to wszystko do teczki. Notes wraz ze zdjęciem grupowym wsunął do kieszeni marynarki. Zrobił to z obowiązku, choć wiedział, że jedynymi ważnymi rzeczami było zdjęcie i adres w notesie.

Zamknął kasetkę Emily i z powrotem wsunął ją do skrytki. Potem wyjął swoją kasetkę, otworzył ją i włożył jakieś gazety. Kupił je, żeby wypchać aktówkę, tak by przy wejściu i wyjściu wyglądała dokładnie tak samo i by nikt nie podejrzewał, że człowiek pokroju Bretta Lewisa oddaje się jakiejś podejrzanym działalności.

Kiedy wychodził z pomieszczeń Luckhama, zza szklanej ściany wynurzył się pan Conway i odprowadził cennego klienta do windy.

— Mam nadzieję, że jeszcze skorzysta pan z naszych usług, panie Lewis.

Mike uśmiechnął się i potaknął.

— Chyba z całą odpowiedzialnością mogę zapewnić — rozpromienił się Conway — że pańska własność nie może być w pewniejszych rękach.

— Wielkie dzięki za pomoc — odezwał się Mike, gdy rozsunęły się drzwi windy. — Do widzenia, panie Conway.

Jadąc w dół windą, pomyślał, że jedyne miejsce bezpieczniejsze od skrytek Luckhama, jakie mu przychodzi na myśl, to jego szafka w UNACO. O ile się orientował, nikt nie upoważniony nie ważyłby się jej tknąć i jedynie on znał jej zawartość, chociaż trzymał tam tylko drobiazgi bez znaczenia.

Philpott zostawił wiadomość dla Sabriny, Mike'a i C.W., by przyszli na odprawę o trzeciej po południu. O czternastej pięćdziesiąt pięć wszyscy zebrali się już w sali konferencyjnej UNACO. C.W. i Mike usiedli naprzeciw siebie. Sabrina znów zajęła miejsce w pobliżu szefa, ale tym razem po przeciwnej stronie stołu. Philpott stał oparty o framugę okna i przeglądał plik wydruków z komputera.

— No, to zaczynamy — powiedział, zajmując swoje miejsce. — Wokół tej sprawy robi się gorąco, ale o tym za chwilę. Najpierw omówmy najnowsze zdobycze. Sabrina, powiedz nam, co znalazłaś na temat Emily Selby.

Sabrina streściła wszystko, czego dowiedziała się z rozmów z trójką byłych współpracowników zamordowanej, a zwłaszcza z Dilys Craig.

— Mąż i ojciec Emily utonęli w jeziorze dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, a ponieważ stanowili całą jej najbliższą rodzinę, więc ich śmierć bardzo mocno ją naznaczyła. Miała powody, by podejrzewać, że obaj zginęli w podejrzanych okolicznościach. — Sabrina odczytała fragment raportu z sekcji zwłok opisujący obrażenia na ciałach mężczyzn. — Zostawmy to chwilowo na boku, bo odkryłam, co łączyło Emily Selby z Eriką Stramm.

Wyjaśniła, że kobiety były spokrewnione i w ostatnich czasach prowadziły regularną korespondencję.

— Co wiadomo o mężu Emily? — spytał Philpott.

— Szukając informacji, przekopałam archiwa prasowe i słowniki biograficzne naukowców — odparła Sabrina, biorąc kolejną kartkę. — Nie znalazłam niczego szczególnego na temat Desmonda Selby'ego. Miał czterdzieści trzy lata, był docentem na Wydziale Sławistyki w Cornell. Poznał Emily w Bagdadzie, kiedy przyjechali tam oddzielnie, by prowadzić badania. Selby był Żydem, ale w odróżnieniu od żony, nic nie wiadomo o jego związkach z organizacjami żydowskimi w kraju czy za granicą. Wszyscy znajomi zgodnie potwierdzają, że Desmond Selby był zdolnym naukowcem i wzorem cnót obywatelskich. Emily, zdaje się, uważała, że został zabity, ponieważ przypadkiem znalazł się w tym samym miejscu, co jej ojciec w chwili, gdy zjawił się zabójca czy może raczej zabójcy.

— A staruszek? — zapytał Philpott. Sabrina znalazła stosowne notatki.

— Urodził się w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku w Monachium jako Johannes Georg Hofmannsthal Stramm — powiedziała. — W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, gdy miał osiemnaście lat, wraz z innymi studentami, został usunięty przez nazistów z uniwersytetu, gdzie studiował. Nie mógł pracować i kilkakrotnie, bez powodzenia, próbował opuścić Niemcy. Schwytano go podczas łapanki i w czterdziestym drugim roku zawieziono do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Przyjął nazwisko zmarłego współwłaściciela, Johannes Lustiga, i chwytając się najróżniejszych sposobów, zdołał przeżyć. Po wyzwoleniu obozu złożył podanie o wyjazd do Stanów i otrzymał zgodę. Z czasem dostał obywatelstwo amerykańskie i zrobił karierę naukową.

Popierał syjonizm i był obecny, gdy Dawid Ben-Gurion obwieszczał narodziny państwa Izrael w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku. Doktoryzował się z hebraistyki, drugi doktorat zrobił z filozofii, był profesorem historii Europy w Cornell, napisał cztery książki na temat pogromów Żydów w Rosji i liczne broszury o Holocauście.

— Czy był agitorem?

— Nie znalazłam na to żadnych dowodów — odparła Sabrina. — Od czasu do czasu pisał gniewne listy do prasy, a w jednej z broszur ostro krytykował, jego zdaniem faszystowskie, tendencje pojawiające się w niektórych aspektach amerykańskiej polityki wewnętrznej. Ale nic poza tym.

Wszyscy obecni skrupulatnie notowali.

— Twoja kolej, Mike — powiedział Philpott.

Mike streścił im rezultaty włamania do skrzynki depozytowej.

— Emily umieściła tam zwykłe rzeczy — wyjaśnił. — Kasetkę wypełniały przedmioty pozbawione wartości materialnej. Muszę przyznać, że się trochę wzruszyłem — podał Sabine i C.W. kopię wpisu w notesie oraz zdjęcia grupowego.

— Adres został sprawdzony — powiedział Philpott. — Dom znajduje się w dzielnicy Kreuzberg w Berlinie, która jest miejscem tarć na tle rasowym, sporo tam przestępstw i panuje niemiły klimat charakterystyczny dla slumsów. To adres silnie zabezpieczonego lokalu; znacie takie miejsca, bez okien, drzwi obite metalem, alarmy i parę kamer pilnuje wejścia. Należy do „Herschella i Grosza”, dużej firmy wynajmującej i budującej nieruchomości. Nie chcą powiedzieć, kto go wynajmuje.

— Kto się założy, że to Erika Stramm? — rzucił C.W.

— Hmm, nie ma adresu domowego, znamy jedynie jej adres dla poczty elektronicznej — przyznał Philpott.

Znów wszyscy zanotowali informacje, a potem Sabrina, Mike i C.W. wpatrywali się w szefa, który wyraźnie miał coś ważnego do powiedzenia. W ciągu ostatnich paru minut poprawił krawat i spinki przy mankietach koszuli. Typowy sygnał, że za chwilę usłyszą kluczową informację.

— Oto szczegóły dwóch morderstw niedawno popełnionych w Niemczech. — Podał im kartki papieru. — Karl Sonnemann, lat sześćdziesiąt trzy, profesor uniwersytetu, zabity we Frankfurcie. Stefan Fliegel, lat sześćdziesiąt dwa, biznesmen, zginął w Berlinie. Nazwiska ich obu znajdują się na liście, którą Sabrina znalazła w pokoju hotelowym Emily Selby. Tak więc, chociaż ten dokument może wskazywać na inne powiązania, jest także spisem ofiar, a zabójstwa już się zaczęły.

— Czy mamy jakieś informacje na temat zabójcy lub zabójców? — spytał Mike.

— W obu wypadkach mordercę opisano jako młodego mężczyznę, lat najwyżej dwadzieścia pięć, około metra osiemdziesięciu pięciu wzrostu, jasne włosy, niebieskie oczy...

— Znalezienie go to pestka — stwierdził Mike. — W Niemczech taki facet rzeczywiście rzuca się w oczy.

— Może nie być Niemcem — zauważył Philpott. — Dziewczyna, która towarzyszyła profesorowi Sonnemannowi, twierdzi, że młody człowiek mówił po niemiecku z akcentem, ale nie umiała go bliżej określić.

— Co zrobiono, żeby osłonić Andreasa Wolffa? — zagadnął Whitlock. — Chyba się nie mylę, sądząc, że przede wszystkim zadbać o jego bezpieczeństwo?

— Przydzielono mu uzbrojonego ochroniarza — odparł Philpott. — Mieszkanie w Tiergarten jest pod stałą obserwacją.

Sabrina zapytała, czy podjęto jakieś działania, żeby osłonić pozostałych mężczyzn z listy.

— Na razie nic. Decyzję, by jeszcze ich nie informować o niebezpieczeństwie, pewnie uważacie za wyraz bezduszności — przyznał Philpott. — Podstawowa sprawa to odkrycie, co ich łączy. Gdybyśmy się z nimi skontaktowali, moglibyśmy przekreślić szansę na znalezienie odpowiedzi na to pytanie.

Sabrina już się więcej nie wtrącała. Przecież nie płacą jej tutaj za kłótnie z przełożonym.

— Jeszcze nie znamy wszystkich zakulisowych powiązań w tej sprawie, dlatego chcę, Sabrino, żebyś pojechała do Maroka — ciągnął Philpott. — Dowiedz się wszystkiego o zabójcy Emily Selby, wydostań, choćby spod ziemi, wszelkie informacje. Jest duże prawdopodobieństwo, że nie działał na własną rękę, więc jeśli wykonywał zlecenie, to chcę wiedzieć, od kogo je dostał.

— Czy na pewno przyjechał z Maroka? — zapytała Sabrina.

— Miejscowi agenci Mosadu w Rabacie sprawdzili jego ruchy i są pewni, że mieszkał w Tetuan. Przed wyjazdem dostaniesz pełne informacje wraz ze szczegółami na temat mieszkańców tych okolic i mapą.

— Świetnie.

Philpott zwrócił się do Mike'a.

— Chcę, żebyś się dostał do tego strzeżonego lokalu w Berlinie i odkrył, co knuje Erika Stramm.

— A może powinniśmy się zamienić? Ja pojechałbym do Maroka, a Sabrina do Niemiec? — zapytał.

— Czyżby obudził się w tobie szlachetny rycerz? — zażartował Philpott.

— W Maroku łatwo wpaść w tarapaty, mam już pewne doświadczenie i...

— Mike, dziękuję za troskę, ale myślę, że sobie poradzę — przerwała dziewczyna.

— Moja decyzja wysłania Sabriny do Maroka opiera się na założeniu, że jako kobieta nie wzbudzi w tym środowisku podejrzeń — wyjaśnił Philpott. — Muszę dodać, że tym gorzej dla jej przeciwników. Ponieważ z punktu nie natrafi na trudności, wobec których stanąłby mężczyzna, będzie bardziej efektywna, będzie miała większe szanse, by odnieść sukces.

Mike wzruszył ramionami.

— A poza tym nie jedzie sama — ciągnął szef. — Lucy Dow też tam będzie, gotowa posłużyć jako przewodnik, stworzyć zasłonę dymną albo odwrócić uwagę.

— Dlaczego akurat one dwie? — dopytywał się Mike.

— Lucy i tak tam jest, ponieważ ma na oku Sendero Lumionoso, małą grupę, która oderwała się od największej bandy grasującej w tamtych okolicach. Lucy zna teren i miejscowe obyczaje, pomoże Sabrinie, pokieruje jej krokami. Może się przydać w trudnej sytuacji. — Philpott zamilkł na chwilę, po czym spytał: — Nadal coś ci się nie podoba, Mike?

— Nie — warknął zapytany.

— O siedemnastej trzydzieści zjawisz się w dziale delegacji służbowych — zwrócił się do Sabriny. — Dadzą ci wszystko, czego będziesz potrzebować. Chcę, żebyś poleciała do Maroka z małym bagażem, masz wyglądać na typową turystkę.

Wstał, wziął ze stołu plik papierów i złożył je równo.

— Koniec na dziś. Czas się rozejść i zabrać ostro do roboty. Będę czekał na wasze raporty. Pamiętajcie, akcja trwa. Musicie podjąć konieczne kroki, żeby ocenić wagę problemu, rozpoznać go i zneutralizować.

— Łatwo ci mówić — mruknął Mike, wstając od stołu. Za drzwiami poczekał na Sabrinę.

— Nie złość się już — powiedział do niej, kiedy wyszła. — Pomyślałem tylko, że ta robota w Berlinie jest bardziej w twoim stylu.

— Zawsze robię to, co mi przydzielają — odparła. — Takie już mam podejście.

— Dobrze o tym wiem, tylko chciałem ci pomóc.

— Nie ma takiej potrzeby. Wiesz co, byłoby mi miło, gdybyś panował nad tą chęcią, kiedy cię dopada — mówiąc to, ruszyła korytarzem.

— Dlaczego to powiedziałaś? — Mike poszedł za nią.

— Bo niektóre propozycje pomocy działają na mnie jak słowa krytyki.

Gdy przyspieszyła kroku, Mike zauważył rumieńce na jej policzkach. Oznaczały, że się gniewa. Często budził w niej to uczucie. Wysoce przygnębiająca umiejętność, pomyślał.

W sali odpraw Philpott rozmawiał z C.W. na temat dwóch zamordowanych mężczyzn. Mimo intensywnego śledztwa prowadzonego przez niemiecką policję nie udało się znaleźć cienia związku między ofiarami.

— Zdaje się, że łączy ich tylko osoba zabójcy oraz fakt, że znaleźli się na liście.

Philpott podczas lat przepracowanych w Scotland Yardzie przyswoił sobie starą policyjną zasadę, zgodnie z którą za brak dowodów w danej sprawie należało winić prowadzących śledztwo, dopóki nie odkryto innej przyczyny.



— Dwaj mężczyźni z tajemniczej listy zostają zabici. Coś musi ich łączyć i jeśli szybko tego nie odkryjemy, to spadną nam na głowę następni martwi Niemcy.

— Napływają kolejne informacje — przyznał Whitlock. — Niebezpieczeństwo polega na tym, że teraz zaczniemy widzieć pozorne związki. Już wiemy, że w ciągu ostatnich piętnastu lat dziewięciu mężczyzn z tej listy wyjechało na wakacje do Ameryki Południowej. Jedenastu ma konta w bankach szwajcarskich. Poza tym wielu z nich jest sierotami wojennymi i na dodatek część z nich została adoptowana. Sprawy nie ułatwiają braki i przekłamania w niemieckich archiwach, ale robię wszystko, co w mojej mocy. Możesz na mnie liczyć.

— Właśnie to robię.

Whitlock wiedział, że Philpott spodziewa się po nim dopatrzenia się związku tam, gdzie inni go przeoczyli. Szef wierzył, że C.W. ma wyjątkowo analityczny umysł, świetnie pasujący do takich zadań. Zdaniem Whitlocka Philpott się mylił. Wcale nie był wyjątkowo utalentowanym analitykiem, ale człowiekiem obdarzonym niesłychaną wręcz cierpliwością, do tego stopnia, że w potrzebie potrafił całymi dniami zastanawiać się nad problemem, oglądać go z wielu punktów widzenia, rozkładać na czynniki pierwsze, aż dzięki temu rozwiązanie leżało jak na dłoni. Dzięki cierpliwości wiele osób w przeszłości odniosło sukces w najróżniejszych dziedzinach, ale współcześnie nie stanowiła już narzędzia, z którego chętnie korzystano. Zdaniem Whitlocka tym gorzej dla ludzi.

— Co wiadomo o ofiarach? — zapytał Philpotta.

— Nic nadzwyczajnego. Sonnemann, ten profesor, miał za sobą długą, świetną karierę naukową. Jedyne słabość to młode kobiety, w dzisiejszych czasach na takiej podstawie można gościa kanonizować. Ten drugi, Fliegel, był niemal równie szacownym obywatelem, tyle że wolał mężczyzn. Żaden z nich nigdy nie złamał prawa. Mieszkali w innych częściach Niemiec i nie ma powodu, by sądzić, że się znali czy choćby kiedykolwiek spotkali.

— Czy otrzymam kopie raportów policji?

— Powinieneś je mieć za godzinę.

— Kiedy tylko je dostanę, wyciągnę karty do tarota i zobaczę, co się pokaże.

Pożegnali się i Philpott udał się na spotkanie, na którym omawiano spadek wiarygodności Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości. Whitlock przeszedł korytarzem do centrum dowodzenia UNACO i zajrzał do biura informacji bieżących. Nikogo tam nie zastał. Przez chwilę patrzył, jak na monitorach pojawiają się najświeższe wiadomości napływające ze wszystkich stron świata, potem stwierdził w duchu, że powinien okazać się mężczyzną i przynajmniej stanąć twarzą w twarz ze źródłem swego ostatniego lęku.

Podniósł słuchawkę, wybrał numer telefonu komórkowego żony. Carmen odezwała się natychmiast.

— To ja — powiedział.

— O co chodzi?

— O wczorajszy wieczór i o przedwczorajszy...

— Przepraszasz?

— Gdy próbowałem to zrobić, obracałaś kota ogonem...

— Słuchaj, C.W., właśnie pracuję, po co dzwonisz? Ciekawe, czy tak samo odnosi się do swoich kolegów, pomyślał. Carmen była lekarzem pediatrą, miała dobrą, prywatną praktykę i dla uspokojenia sumienia przez dziesięć godzin w tygodniu pracowała w miejskim pogotowiu. W najuboższej dzielnicy, podkreślał zawsze C.W. w rozmowach z przyjaciółmi, dumny z pracy Carmen wśród najbiedniejszych, zaniedbanych dzieci.

— Czego chcesz? — zapytała.

— Chyba powiedzieć, że bardzo przepraszam.

— Samo mówienie niczego nie załatwia.

— To co w takim razie mam zrobić?

— Jakie to ma znaczenie, jeśli zrobisz coś, bo ja ci kazałam? Przyszło mu do głowy, że może była równie nieustępliwa wobec pacjentów. Biedne dzieciaki.

— Carmen, chcę, żebyś mi odpowiedziała na jedno pytanie.

— Cóż takiego?

— Czy zmięknieś, nim będę tak stary, że pogodzenie się z tobą nie sprawi mi przyjemności?

— Teraz jesteś nonszalancki.

— Tak, masz rację. — Poczuł, że ogarnia go złość. — I cóż z ciebie za kobieta, że dzielisz życie z kimś tak nonszalanckim i powierzchownym jak ja? — Rzucił słuchawkę.

— Kłopoty? — rozległ się głos tuż za nim.

Odwrócił się i zobaczył Caroline, która tego popołudnia pełniła dyżur przy monitorach.

— Zwykle włączę prosto na sterczące ostrza — rzucił C.W. — A potem próbuję zwalić winę za swoje niedopatrzenia na te właśnie noże. Załapałaś, o co mi chodzi?

— Jasne. — Postawiła na stole filiżankę z kawą. — Niezbyt to oryginalne, typowa logika matolów.

Przejechała kartą magnetyczną przez szczelinę w szufladzie pod klawiaturą komputera. Szuflada się otworzyła, dziewczyna wyjęła z niej dużą brązową kopertę.

— Dotarło jakieś dziesięć minut temu — powiedziała, podając ją Whitlockowi.

C.W. wziął kopertę od Caroline i zajrzał do środka. Raporty ze wstępnego dochodzenia w sprawach zabójstw Karla Sonnemanna i Stefana Fliegla wysłane przez niemiecką policję.

— Praca — rzucił zadowolony ze zmiany tematu.

— Praca jest jedynym pocieszeniem wobec faktu narodzin, powiedział pewien wielki człowiek. O ile dobrze pamiętam, Miguel de Unamuno — oznajmiła Caroline.

— Dziękuję, zrobiłaś wiele, by rozjaśnić mroki mej ignorancji. — Wsunął kopertę pod pachę i wyszedł.

Idąc korytarzem, powtarzał w myśli cytat „Praca jest jedynym pocieszeniem wobec faktu narodzin”.

Bywały sytuacje, jak na przykład obecna, do których świetnie pasowała taka sentencja.

Kiedy Sabrina wysiadła z samolotu w Tangerze, odniosła wrażenie, że oddycha parą wodną. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce, ale dziesięć minut temu padało i woda parowała z wielkich kałuż na asfalcie. Powietrze było ciężkie od wilgoci.

Specjalnie na tę wyprawę zrezygnowała z makijażu i ubrała się skromnie w bluzkę w brązową kratę, spodnie z brązowej, miękkiej bawełny i mokasyny na płaskim obcasie. Włosy związała z tyłu ciemnozłotą wstążką. Mimo to wzbudziła zainteresowanie biznesmena o czerwonej twarzy, który stanął za nią w kolejce do urzędnika imigracyjnego. Czuła, że czubkami palców lekko dotyka jej bioder.

— Nie wiem, czy już tu kiedyś byłeś — odezwał się — ale ci faceci skorzystają z byle pretekstu, żeby cię poddać rewizji osobistej. Wierz mi na słowo, to prymitywy. Uważaj, jak odpowiadasz na ich pytania.

Urzędnik imigracyjny zrobił na Sabrinie wrażenie zupełnie zwyczajnego mężczyzny. Prymitywa przywodził na myśl jedynie facet, który dyszał za jej plecami. W wilgotnym powietrzu rozchodziła się woń whisky. Miał świńskie oczka, popsute zęby i przypominał jej aresztanta, który seksualnie wykorzystywał dzieci. Może była zbyt surowa — upał i lekki ból głowy mogły trochę wypaczyć jej umiejętność bezstronnej oceny, pomyślała.

— Będę uważać — powiedziała mężczyźnie.

— Oni wcale nie chcą upokorzyć kobiet — ciągnął, mrugając do niej znacząco. — Zarabiają takie nędzne grosze, że łapią się każdej dodatkowej możliwości, jaka tylko się może trafić, na przykład zajmowania się Amerykanką.

— Słyszałam, co pan powiedział.

— W interesach, co? — Znalazł się teraz obok niej, chociaż znak na drzwiach nakazywał, by pasażerowie czekali w kolejce. — Jakoś mi nie wyglądasz na osobę szukającą tutaj okazji do zabawienia się.

— Tak, w interesach — rzuciła, nie patrząc na niego.

— Nazywam się Harvey Bristow.

— Aha.

— A ty?

Sabrina spostrzegła, że przed jednym z biurk zwolniło się miejsce i urzędnik skinął na nią. Ruszyła po podłodze wyłożonej terakotą i podała paszport, czując, że Bristow sunie za nią.

— Pamiętaj, co ci mówiłem — wymamrotał jej prosto w ucho.

Urzędnik imigracyjny uśmiechnął się do Sabriny. Był wysoki, wyglądał schludnie w mundurze z cienkiej bawełny. Otworzył paszport, popatrzył uważnie na jej twarz, znów się uśmiechnął i przybił pieczęć na pustej stronie. Nadal uśmiechnięty zwrócił jej dokument.

Sabrina podziękowała i ruszyła w głąb sali przylotów, szukając karuzeli z bagażami. Nagle, w tym samym momencie, usłyszała za sobą kroki natręta i znajomy głos dobiegający z prawej strony.

— *Kagatasha o karitai no desu ga* — odezwał się ktoś po japońsku przy kontuarze Hertza.

Odwróciła się i zobaczyła Nata Takahashi z Rady Ekonomicznej i Społecznej ONZ. Był niskim, szczupłym, bardzo energicznym mężczyzną pod czterdziestkę. Mimo upału miał na sobie ciemny garnitur z wełny, białą koszulę — niemal swój znak firmowy — i ciemnoniebieski krawat. Ucieszył się, widząc, że urzędniczka rozumie, co mówi po japońsku.

— *Isshuukan karitai no desu ga...*

Sabrina wprawdzie słabo знаła ten język, ale pojęła, że chce wynająć mały samochód na tydzień.

— Karuzele z bagażami są tam — powiedział Bristow zadyszany, bo właśnie ją dogonił. Tym razem położył jej rękę na ramieniu. — Chodź ze mną, pomogę ci przy walizkach.

— Nat! — zawołała Sabrina.

Takahashi odwrócił się, marszcząc brwi i rozglądając za osobą, która go wołała. Na widok znajomej cały się rozpromienił.

— Hej! Sabrina! Śledzisz mnie czy co?

Skrzywiła się i wzrokiem wskazała spoconego osobnika trzymającego dłoń na jej ramieniu.

— Poczekaj tu na mnie. — Nat błyskawicznie pojął, o co chodzi. — Zaraz skończę to załatwiać.

— Ten facet to twój znajomy? — Bristow z niechęcią popatrzył na Japończyka.

— Jasne.

Razem obserwowali, jak Nat odbiera kartę kredytową, dokumenty wynajętego wozu i kluczyki. Schował to wszystko starannie do kieszeni i odwróciwszy się, podszedł do Sabriny. Już się nie uśmiechał, na jego twarzy malowała się wyraźna niechęć, wbił wzrok w Bristowa.

— Czy ten pan zawraca ci głowę?

— Ależ nie — Bristow zaśmiał się nerwowo — tylko uciałem sobie z tą panią pogawędkę...

— Spadaj.

Bristowa zamurowało. Przełknął ślinę.

— Po cóż od razu taki ostry ton...

— Ogłuchłeś czy jak? — Nat mówił w drapieźnym, nowojorskim slangu, który kontrastował z orientalnym wyglądem i konserwatywnym strojem. Bristow mógł go równie dobrze uznać za japońskiego gangstera. — Ta dama nie życzy sobie twojego zainteresowania, kapujesz?

— Rany, w co ja się wpakowałem!

— Zmiataj i na przyszłość pilnuj własnego nosa — polecił Nat. — Inaczej wrócisz do bazy z tchawicą w kieszeni.

Bristow, czerwony jak burak, chwycił bagaż ręczny i wziął nogi za pas. Sabrina patrzyła na Nata szeroko otwartymi oczami.

— Ależ ja tylko szukałam pretekstu, żeby go spławić.

— No cóż — Nat wzruszył ramionami — jak coś robić, to porządnie, prawda? — Wziął ją pod rękę i poprowadził w kierunku karuzeli. — Wiem, że nie na sensu pytać, po co tu przyleciałaś, bo tylko zamydlisz mi oczy kłamstwami, ale może chociaż się przyznasz, czy to twoja pierwsza wizyta w Tangerze?

— Nie, ale wybieram się do Tetuan.

— Dobrze, jadę do miasteczka nazywającego się Martil, które leży o parę kilometrów od celu twojej podróży. Weźmy bagaże, podrzucę cię do hotelu.

— Świetnie.

— Nie bądź tego taka pewna. Uwielbiam się popisywać znajomością tych okolic i nawet ziewanie od ucha do ucha nie ostudzi mego zapału. Nim dotrzemy do Tetuan, może pożałujesz, że nie zostałam z tym obleśnym typem.

Nat Takahashi prowadził małego, czerwonego peugeota z brawurą, którą Sabrina widziała tylko raz, w Sajgonie, gdzie kierowcy jeździli w sposób, który wymagał całkowitego polegania na opatrności. Co kilka metrów Nat naciskał klakson i ludzie pierzchali na boki.

— Osoby cywilizowane, które muszą jeździć samochodem w tych stronach, nazywają klakson arabskim hamulcem — wyjaśnił. — Kiedy człowiek już się tego nauczy, odkrywa w tym specyficzny urok.

Aby pokazać Sabinie Tanger, Nat jechał przez miasto okrężną drogą wzdłuż ulic, na których pełno było restauracji, barów i klubów nocnych.

— To kiedyś było naprawdę kosmopolityczne miasto. Ciekawe, niebezpieczne. Pełne przemytników, szpiegów, najróżniejszych emigrantów. Kipiało życiem.

— Bywałeś tu w tych czasach?

— Nie było mnie wtedy na świecie, ale weterani opowiadali mi różne historie. Jeśli chcesz zakosztować egzotycznego uroku typowego dla lat trzydziestych, to posiedź na Starym Mieście. To labirynt wąskich uliczek, zaułków i zapuszczonych bram. Czasem to robię. Fascynujące.

Sabrina próbowała sobie wyobrazić, jak reagowali Arabowie na widok Japończyka w wytwornym garniturze kręcącego się po ich terenie.

— Co cię tu sprowadza, Nat? — zapytała.

— To co zawsze — odparł krótko, ponieważ musiał się skupić na prowadzeniu, skręcając z Place de France na długą Rue de la Liberté. — Muszę zaplanować, jak w Maroku inicjować akcje ONZ, działania związane z rozwojem, handlem, pobudzaniem ekonomii, optymalnym wykorzystywaniem zasobów mineralnych, nawet kontrolą narodzin. Właściwie wszystko, co mieści się w ramach zadań, które realizujemy zgodnie z zaleceniami Zgromadzenia Ogólnego.

— Zrobiłeś na mnie wrażenie.

— Zajmuję się tym już od tak dawna, że czasem wydaje mi się, jakbym się właściwie tylko objął. Już od lat nie stanąłem wobec prawdziwego wyzwania. Powinienem być przejść do UNACO, przynajmniej widziałbym efekty pracy.

Podobnie jak większość pracowników i działaczy ONZ, Nat wiedział o istnieniu UNACO oraz o jej celach, ale nie potrafił powiedzieć, kto jest agentem, a kto pracuje w administracji. Również nie zdawał sobie sprawy, do jakiego typu zadań bywają wysyłani agenci. Czasem ginęli w okolicznościach, które nigdy nie zostały do końca wyjaśnione, i wtedy przez jakiś czas reszta ludzi zatrudnionych w ONZ pamiętała, że są wśród nich osoby wykonujące niesłychanie niebezpieczne obowiązki służbowe.

— W końcu znudziłaby ci się każda praca, poszperaj wśród przodków, na pewno znajdziesz wojowników — stwierdziła Sabrina, żeby uciec od tematu UNACO. — Samuraje. Tacy ludzie, że zwykłe życie nie przynosi wystarczająco ciekawych wyzwań.

— Jestem potomkiem rodu księgowych — odparł Nat. — Żadnych wojowników. Nawet w trakcie wojny mój dziadek był w Kobe urzędnikiem zatrudnianym przez armię. — Pochylił się do przodu tak mocno, że głową niemal dotknął szyby. — O właśnie, Sabrino, popatrz tam. To Grand Socco, wielki targ.

Za straganami, które skupiły się w długich rzędach, uwijały się wyłącznie kobiety; Nat wyjaśnił, że są to żony wieśniaków, które w kapeluszach o szerokich rondach ozdobionych pomponami sprzedawały wszelkiego rodzaju jarzyny.

— Cudowne! — zawołała zachwycona Sabrina. — Po prostu cudowne.

Gwar głosów i mieszanina intensywnych aromatów wypełniająca samochód uderzyła jej do głowy jak alkohol. W każdym nowym miejscu starała się przede wszystkim uchwycić to, co uznałaby za jego istotę, smakować i wręcz wchłonać ją w siebie, aż czuła, że staje się częścią otoczenia, a nie tylko obserwatorem. Zawsze, już od dzieciństwa, tak się zachowywała w trakcie podróży i teraz, ostro, niemal do bólu poczuła, że dosięgał ją duch Maroka. Nigdy nie przyznałaby się głośno do czegoś tak dziwnego, ale wiedziała, że to prawda. Zauważyła, że Nat ją obserwuje i zwrócił uwagę na fascynację malującą się na jej twarzy.

— Podoba mi się tutaj — powiedziała.

— Taką miałem nadzieję. Uwielbiam to miasto.

Zwolnił, żeby mogła zerknąć na starego artystę, który używając tylko kamienia i młotka owiniętego szmatami nadawał zgrabny kształt mosiężnemu naczyniu. W tym momencie przez okienko od strony Nata do samochodu wsunęła głowę dziewczynka i uśmiechnęła się do kierowcy. Odpowiedział jej tym samym.

— Czarujące — stwierdziła Sabrina.

— Tak — Nat pogładził małą po głowie i ruszył do przodu — ale powinnaś uważać, żeby cię to za bardzo nie wciągnęło. Wchodzi człowiekowi w krew. — Popatrzył na nią poważnie. — Coś ci wyznam. Nie potrafiłbym ciągnąć swojej roboty, gdybym nie dostawał regularnych dawek Maroka — zaśmiał się. — Wyduśłem to z siebie. Mój narkotyk, największa tajemnica. Teraz możesz mnie szantażować, oddam ci wszystko, co mam.

Wyjechali z Tangeru szeroką, zakurzoną drogą i ruszyli na południowy wschód do Tetuan, położonego w odległości pięćdziesięciu siedmiu kilometrów. Nat zakręcił szyby, chroniąc wnętrze wozu przed kurzem, i nacisnął pedał gazu.

— Obiecuję, że nie będę wtykał nosa do twoich spraw — zaczął — ale powiedz mi jedno. Czy w Tetuan masz zamiar kontaktować się z ludźmi, których można podejrzewać o związki z grupą... hm... niezbyt praworządnych obywateli?

— Bardzo prawdopodobne. — Sabrina skinęła głową.

— W takim razie złożę drugą obietnicę: nie zamierzam podawać w wątpliwość twojej umiejętności dbania o własne bezpieczeństwo. Bądź jednak ostrożna. Chociaż dawniej nikt tutaj nie zdołał przejąć kontroli nad środowiskiem przestępczym, to jednak rządziło się własnymi, surowymi prawami. Teraz wszystko się zmieniło.

— Co masz na myśli, mówiąc „teraz”?

— Mniej więcej od ostatniego roku.

— Możesz mi to wyjaśnić?

— Wszystko przez nową zarazę. Kiedyś ekstremiści łamali komuś rękę, żeby mu ukraść pięć dolarów. Obecnie zabijają tylu ludzi, ilu się da, nie dlatego, że chcą coś od ciebie, ani dlatego, że chcą ciebie właśnie skrzywdzić, tylko dlatego, że jedynie morderstwo zwraca uwagę innych na ich poglądy polityczne.

— Wspomniałeś o zarazie.

— Tak. Polityka zaraziła grupy przestępcze. A skutki są katastrofalne. Tak zwane „cele polityczne” przyciągają ludzi brutalnych z natury. Dzięki tanim politycznym ideom mają gdzie wyładować swą agresję, do której dorabiają szlachetne motywacje. Odpalenie bomby na głównej ulicy miasta pełnej niewinnych ludzi jest teraz nazywane aktem politycznego ekstremizmu, gdy tymczasem świetnie wiemy, że to tylko występki dokonany przez moralnych karłów kierowanych psychopatycznymi impulsami.

— Dlaczego uważasz, że mnie to może dotyczyć? — spytała Sabrina, chociaż czuła, że i tak wie już więcej niż Nat.

— Wszystko jest dozwolone. Dwa lata temu za węszenie w niewłaściwych miejscach w Tetuan dostałabyś po nosie. Dziś równie dobrze mogą cię zabić. Nie ma ograniczeń. Winę ponosi polityczna zaraza.

— Będę się pilnować.

— To za mało — stwierdził Nat. Znów oderwał wzrok od drogi, by spojrzeć na dziewczynę. — Nie pozwól, żeby okoliczności cię przerosły, nawet w sytuacji z pozoru zupełnie niewinnej czy nieważnej. Ciągłe zerkaj przez ramię. Tam może być ktoś, kto ci wpakuje nóż w plecy. Tutejsze grupy przestrzegają tylko jednej zasady: najpierw strzelaj, potem zadawaj pytania. Życie jest tanie i zbyt wielu ludzi o tym wie.

Kiedy dotarli do Tetuan, Nat pojechał prosto do dzielnicy Bab Ceuta. Wysiedli z samochodu i ponad muzułmańskim cmentarzem popatrzyli na niegdyś żydowską część miasta.

— Jakie to piękne! — zawołała Sabrina.

— Rzeczywiście, to najlepszy moment na podziwianie tej części miasta. Patrz, wchłaniaj jej urok i staraj się dobrze zapamiętać, że dla ludzi naszego pokroju tutaj aż kłębi się od niebezpieczeństw. Niech uroda tego miejsca nigdy nie uśpi twej czujności.

Gdyby Philpott kiedykolwiek podał się do dymisji, nie mógłby im się trafić lepszy szef niż Nat Takahashi, pomyślała Sabrina. Potrafił jak rzep ucześć się jednego tematu i drążyć go uporczywie, a poza tym wiedział, jak wbić człowiekowi do głowy ostrzeżenie. Sabrina zastanawiała się, czy naprawdę uważa ją za zdolną zadbać o własne bezpieczeństwo. Zdaje się, że niewielu mężczyzn ufa, że sobie poradzi.

— Gdzie się zatrzymasz? — zapytał.

— W National, ma jedną gwiazdkę. Znasz to miejsce?

— Jasne. Jest po drodze — machnął dłonią w lewo. — Na Rue Mohammed Ben Larbi Torres. To stary hotel, cichy, z czarującym wewnętrznym dziedzińcem.

— Czy jest bezpieczny?

— W zasadzie tak, ale żadnego miejsca tutaj nie uważaj za bezpieczne. — Dotknął jej ramienia. — Chodźmy już, zawiozę cię do hotelu.

— Zasmuciły mnie te wieści, Wiktorze.

Rosły Amerykanin podkreślił swą boleść, przykładając dłoń do tłustego torsu, gdzieś w okolicach serca. Drugą ręką przesunął na tył głowy szary, kowbojski kapelusz. Westchnął ciężko.

— Stefan Fliegel i Karl Sonnemann byli dobrymi ludźmi. Pozostawili po sobie ogromną lukę.

Wiktor na moment zacisnął wargi.

— Zostaną podjęte stosowne kroki odwetowe zmierzające do naprawienia szkód.

— Ale nie wiadomo, kto to zrobił?

— Znajdziemy go. W każdym razie, choć nie znamy jeszcze samego napastnika, wiemy, kto za nim stoi.

Amerykanin nazywał się Harold Gibson, pochodził z Waxahachie w Teksasie i właśnie wylądował na berlińskim lotnisku Tegel. Jego towarzyszem był Wiktor Kretzer, niemiecki architekt, całkowicie łysy, który dla zatuszowania łysiny nosił ciemną perukę, jeszcze bardziej podkreślając przez to brak naturalnych włosów na głowie. Kretzer przyjechał odebrać Gibsona z lotniska i przekazać wiadomość o dwóch tragicznych zgonach. Siedzieli teraz w kawiarni na lotnisku, popijając kawę i ponurym wzrokiem odprowadzając podróżnych zmierzających do odprawy.

— Oczywiście JZ? — spytał Gibson.

— Poprzysięgli sobie, że nas zlikwidują co do jednego i właśnie się do tego zabrali. Jednego zdążyliśmy się nauczyć o Żydach: że swe groźby traktują równie poważnie jak pieniądze.

— Czy inni znają sytuację? Nikt nie pozostaje nieświadomy, nie przygotowany?

— Wszystkich ostrzeżono i każdy przedsięwziął środki ostrożności. Potrzebujemy jeszcze czegoś więcej. — Kretzer pogładził się po peruce. — Bierność to niewłaściwa taktyka w obliczu bezpośredniego ataku. Musimy odpowiedzieć uderzeniem.

— Cóż, jak ci wiadomo, już podjęliśmy stosowne kroki. Uderzyliśmy ich mocno, w samo serce...

— To nic nie dało. W świetle tego, co się wydarzyło, to tylko próżny gest.

— Och, nie gadaj, moim zdaniem to coś więcej niż próżny gest.

— Śmierć Selby miała nie dopuścić do niepożądanego śledztwa, a także osłabić morale członków JZ. Selby zginęła przed Stefanem i Karlem. Czyli z tego punktu widzenia akcja zakończyła się fiaskiem. Co więcej, jeśli zasłyszane przeze mnie pogłoski okażą się prawdziwe, niewiele brakuje, a cała rzecz obróci się przeciwko nam. Nawet nie próbowano zlikwidować tej drugiej kobiety, znacznie bardziej niebezpiecznej. Wasz człowiek zabił się, nie wykonawszy drugiej części zadania. — Kretzer mówił z rozdrażnieniem i dopiero w tej chwili zdał sobie z tego sprawę. — Przepraszam, Haroldzie. Ciężko to zniósłem.

— Nic dziwnego, stary druho. — Gibson bawił się srebrną, ozdobną klamrą na swojej aktówce. — Masz już plany odwetu czy za wcześnie o to pytać?

— Potrzebny nam cel, który od czasu do czasu przestaje się ruszać.

— Cóż, jeśli tylko możemy wam w jakikolwiek sposób pomóc, wystarczy jedno wasze słowo. Tę sprawę trzeba wyjaśnić.

— Przypuszczam, że pomoc, którą nam proponujesz, w pewnym stopniu przyczyni się do znalezienia rozwiązania. Cały ten interes likwidowania spacerowiczów przez Morze Czerwone zawsze był kosztowny. Twoje wsparcie moralne i finansowe, co nieustannie podkreślam, liczy się podwójnie. Bez niego nigdy nie zdołalibyśmy osiągnąć tak wiele. Teraz



jednak musimy zmienić kierunek działania, a wszystkie środki oraz wysiłki skupić na całkowitym, ostatecznym zlikwidowaniu JZ.

— Nawet mi przez myśl nie przeszło — westchnął Gibson — kiedy organizowaliśmy pewien nieszczęśliwy wypadek przy połowie ryb, że córka odkryje istnienie Jugend, a ta druga...

— Nic dziwnego, że mnie to gnębi — powiedział Kretzer. — Pomyśl o życiu, jakie wiemy, wiecznej grze, niemożności otwartego przyznawania się, że się znamy, nieustannej konieczności komunikowania się tak okreśną drogą, że najbardziej wytrawnemu lisowi zakręciłoby się w głowie. To wszystko odbija się na nas. I oto teraz, kiedy wreszcie powinniśmy odczuć pewne zadowolenie z naszych osiągnięć, lękamy się o swoje życie, gdyż każdy z nas po kolei staje się obiektem...

— Ciii...

— Przepraszam, przyjacielu. Jestem załamany. Nie powinienem w ogóle się odzywać.

— Myśl o tym, co dobre — pocieszał Gibson. — Przez pięćdziesiąt lat swego życia wykonywałeś dzieło powierzone przez Führera. Bądź z siebie dumny. Niech ci, którzy na to zasługują, ulegają defetyzmowi.

— Święte słowa — zgodził się Kretzer. — Nie wolno nam się czuć winnymi.

— I nie zapominaj, że JZ są mali i słabi. Nic nie znaczą. Po prostu im się poszczęściło, to wszystko. — Gibson poklepał przyjaciela po ręce. — No, na mnie już pora, muszę być w banku punktualnie o jedenastej. Wszystko pewnie przygotowane, czeka tylko na mój podpis. Gdzie się spotkamy?

Kretzer uśmiechnął się słabo.

— Pomyślałem, że dziś możemy się spotkać w Międzynarodowym Centrum Kongresowym.

— Chyba wiem, gdzie to jest.

— Między Messedamm i S-Bahn. Możesz tam dojechać autostradą Avus, znajdziesz mnóstwo wolnych miejsc na parkingu.

— O ile pamiętam, to ogromny kompleks, Wiktorze.

— Tak, dlatego wybrałem konkretne miejsce, w którym się spotkamy. Powiedzmy o wpół do pierwszej?

— Gdzie?

— Przed Ośrodkiem Żydowskim. To podwójna ironia, Haroldzie. Ośrodek zaprojektowali architekci, których wyjątkowo nie znoszę.

Wstali, Kretzer podał Gibsonowi kluczyki do mercedesa.

— Stoi w zachodnim skrzydle parkingu. Jedź ostrożnie.

Rozstali się w drzwiach prowadzących na zewnątrz. Gibson ruszył od razu w stronę parkingu i zręcznie lawirując pomiędzy ścieżkami, trafił wprost do jego zachodniej części, gdzie zatrzymał się przy pierwszym rzędzie wozów. Nacisnął guzik alarmu. Gdzieś w połowie drugiego rzędu błysnęły światła niebieskiego mercedesa.

Wciągnąwszy brzuch, przecisnął się między dwoma samochodami, dotarł do wozu i wrzucił walizkę do bagażnika. Wsiadł, uruchomił silnik i zaczął grzebać w kieszeni, szukając kasety. Wreszcie ją znalazł i włożył do odtwarzacza.

Kiedy wyjeżdżał z lotniska, Andy Williams śpiewał piosenkę „Home Lovin’ Man”. To był jego ulubiony album, płyta wszechczasów i nigdzie się bez niej nie ruszał. Do znudzenia powtarzał swojej żonie, co myśli o tych współczesnych wyjcach, których nie daje się słuchać. To przynajmniej była porządna ballada, śpiewana przez faceta, a nie kastrata, opowiadająca o uczuciach prawdziwego mężczyzny. A do tego miała prawdziwą melodię.

Przed bankiem zjawił się za trzy jedenasta. Kierownik sali natychmiast go rozpoznał i zaprosił do pokoju. Bez słowa usadzono Gibsona przy stoliku i dano mu długopis. Podpisał trzy identyczne dokumenty, potwierdzając wybranie pieniędzy z konta, nie przyjął filiżanki

kawy i ponownie wstał, biorąc do ręki czarny, skórzany neseser, który z pomieszczeń na tyłach banku przyniósł kierownik sali.

— To dla nas przyjemność obsługiwać takich klientów, Herr Gibson — powiedział.

— Miło było pana znów widzieć.

Gibson poklepał drobnego człowieczka po ramieniu i wyszedł.

Samochód stał zaparkowany naprzeciwko banku. Gibson przebiegł przez ulicę i sapiąc z wysiłku, wszedł do środka. Zapinając pas bezpieczeństwa, zauważył na rogu jakiegoś młodego chłopaka, który go obserwował.

A przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

Gibson przez chwilę siedział bez ruchu. Młody człowiek zniknął, rozplynął się za rogiem, ale Gibson nie miał już cienia wątpliwości. Może następnym razem powinien inaczej zorganizować odbiór gotówki.

Amerikanin włożył kluczyk do stacyjki. Nie zauważył, że na desce rozdzielczej pojawił się mały, metalowy włącznik wielkości guzika od koszuli.

Przekręcił kluczyk. Uruchomienie silnika przesłało impuls przez małe urządzenie na desce rozdzielczej, ono z kolei przekazało sygnał na odległość dziewięćdziesięciu centymetrów do odbiornika umieszczonego w plastikowej butelce pod siedzeniem obok kierowcy. W odpowiedzi na sygnał odbiornik wytworzył iskrę. Iskra zapaliła dwa litry paliwa lotniczego, również znajdującego się w butelce. Ciąg wydarzeń — od przesłania sygnału do zapalenia paliwa — trwał dwie setne sekundy.

Samochód eksplodował. Wszystkie witryny i szklane drzwi w pobliżu potrzaskały. Płonące szczątki przeniosły języki ognia na dwa pobliskie sklepy i budkę telefoniczną. Przez pięć minut żar był tak straszny, że nie można się było nawet zbliżyć do samochodu.

Kiedy strażakom w końcu udało się do niego dostać i oblać wrak pianą, ich oczom ukazało się zwęglone ciało w fotelu kierowcy. Obok leżały poczerwiałe szczątki skózanego nesesera.

Sabrinie poradzono, żeby skorzystała z usług biura turystycznego mieszczącego się przy alei Mohammeda V, gdzie za parę dolarów wynajmie przewodnika, który oprowadzi ją po Starym Mieście.

— Sama pani się zgubi — ostrzegał recepcjonista w hotelu. Był to wysoki, przygarbiony Hindus, na którego twarzy bez przerwy gościł niezmierny smutek, jakby wyrządzono mu straszliwą krzywdę. Kiedy Sabrina odchodziła od kontuaru, podniósł palec.

— A nawet jeśli się pani nie zgubi — ciągnął — to zobaczy pani zaledwie cząstkę tego, co mógłby jej pokazać przewodnik.

Mówił to tak grobowym tonem, jakby miało dojść do prawdziwej tragedii.

Sabrina zapewniła go, że doskonale sobie poradzi sama, i wyszła z hotelu. Na końcu drogi zatrzymała poobijaną kopię nowojorskiej, żółtej taksówki i pokazała kierowcy nabazgrany adres Lucy Dow. Mężczyzna z wysiłkiem wpatrywał się w kartkę, jakby patrzenie sprawiało mu ból.

— Trudno tam dotrzeć — oznajmił, podnosząc ręce i przysuwając je do siebie. — Zawiozę panią tak blisko, jak się tylko uda.

— Niech się pan postara.

Po dwudziestu minutach jazdy po coraz węższych uliczkach w końcu znaleźli się na drodze zaledwie o parę metrów szerszej od samochodu. Taksówkarz stanął i pokazał Sabrinie szczelinę między dwoma budynkami.

— Tam — oświadczył i wyciągnął rękę po pieniądze. Kiedy odjechał, Sabrina wolno ruszyła we wskazaną stronę.

Spodziewała się ludnego miejsca, tymczasem wokół panowała zupełna pustka. Ta cisza i bezruch były podejrzane. Sabrina w duchu widziała tuzin oprychów wstrzymujących dech. Okoliczne budynki wyglądały na opustoszałe, ale ona wyobrażała sobie ludzi, którzy czają się w cieniu.

— Zachowuję się tak paranoidalnie, bo cały świat się sprzysiągł, żeby mnie dorwać... — mruknęła pod nosem.

Zanim zapuściła się w wąski zaułek, zatrzymała się i ponownie zerknęła na skrawek papieru. Nad adresem widniało słowo KABILA. Podniosła wzrok i dostrzegła je, wymalowane na kawałku drewna ze strzałką wskazującą miejsce w głębi uliczki.

Weszła w ponury zaułek. Unosił się tam zapach wilgoci i kotów. Dziesięć metrów dalej, po prawej stronie, znajdowały się samotne drzwi. Sabrina otworzyła je i znalazła się na klatce schodowej. Z góry padały pojedyncze promienie słońca, oświetlając rozsypujące się schody.

— Milutkie mieszkanko, Lucy, nie ma co.

Wspięła się na górę, czując, jak przy każdym kroku stopnie się pod nią uginają. Na podeście znajdował się pokój bez drzwi. Wejście zasłaniała gruba kotara. Sabrina odsunęła materiał. Przed sobą zobaczyła czyste, jasne wnętrze. Na środku lśniącej posadzki leżał dywan. I była tam Lucy, siedziała twarzą do okna w ratanowym fotelu.

— Niespodzianka!

Sabrina weszła do środka, mając świadomość, że coś tu się nie zgadza. Lucy dalej wyglądała przez okno. Żadna żywa istota nie mogłaby trwać w takim bezruchu.

— O Boże, Boże, moja biedna Lucy...

Nie znały się zbyt dobrze, ale się lubiły. Sympatia była na tyle mocna, że serce Sabrinę przeszył ból. Podeszła do fotela. Lucy miała ręce związane przed sobą. Gardło poderżnięte. Muchy obsiadły krawędzie rany i zakrzepłą krew na kolanach trupa.

Sabrina rozejrzała się po pokoju. Jeśli nawet znajdowały się tu jakieś rzeczy Lucy, to już zniknęły. Mordercy zostawili tylko martwe ciało.

Agentka popatrzyła na zamglone, półprzymknięte oczy Lucy. Zabito ją parę godzin temu. Opalenizna już zaczęła ciemnieć przy linii włosów; w powietrzu unosił się słodkawy zapach rozkładającego się ciała. Sabrina lekko musnęła ramię koleżanki, jakby się z nią w ten sposób żegnała, i wymknęła się z pomieszczenia. Jeśli ten, kto to zrobił, zamierza tu jeszcze wrócić, lepiej, żeby jej nie zastał.

Sabrina szybko wróciła na ulicę. Poszła do jej końca, tam znalazła spokojny kąt. Wyciągnęła telefon komórkowy i wystukała trzycyfrowy numer. Zgłosił się C.W. Whitlock. Spokojnym głosem, nie dając poznać po sobie kłębiących się w niej uczuć, opisała sytuację.

— Wracaj do hotelu i wypij parę głębszych — poradził. — Zawiadomimy stosowne władze. Już oni się tym zajmą.

— Sądzisz, że to może mieć jakiś związek z Jakubem Hishamem i moim śledztwem? Stanowiłoby to dość wyraźny sygnał, że nie życzą sobie, by ktokolwiek tu węszył.

— Nie. Podejrzewałbym raczej chłopców z Peru. Lucy twierdziła, że siedzą jej na ogonie. I że sama sobie z tym poradzi. Najwyraźniej się myliła.

— Przyczaili się w tych stronach?

— Niech cię o to głowa nie boli, Sabrino. To nie twoja działka, tylko szóstej grupy uderzeniowej.

— Jasne.

— Sabrina? Słuchasz mnie?

— Tak jest. Zrozumiałam, co miałeś na myśli, ale chyba nie możesz mnie winić, że jestem wściekła.

— A raczej płoniesz żądzą zemsty. Akurat tę sprawę załatwimy. Doprowadzimy tych typków przed sąd, obiecuję ci. A teraz posłuchaj, jeśli się zrobi za gorąco, czekaj na wsparcie. Nie chcę z powodu zbytniego pośpiechu stracić kolejnej agentki. Uważaj na siebie, dobrze?

— A jeśli nie będę, to nie dlatego, że mnie nie ostrzegano.

— Odzywaj się.

— Dobra.

To już się poprzednio zdarzało i — Boże, zmiłuj się nade mną, pomyślała Sabrina — zdarzy znowu. W hotelu wykapała się, przebrała i surowo zabroniwszy sobie wracać do sprawy Lucy, wyruszyła na samodzielne poszukiwanie koleżków Jakuba Hishama.

Wzięła mapę zaopatrzoną w krótkie informacje. Jej miejsce przeznaczenia, punkt, w którym zdaniem Mosadu mieszkał zabójca Emily Selby, nosiło nazwę Rouelle Nador. Wbiła ją sobie do głowy, tak że widziała te słowa przed oczami, jednak po dwóch godzinach wałęsania się po wąskich uliczkach, ciągłego trafiania w te same miejsca, musiała się przed sobą przyznać, że zablądziła.

Problem leżał między innymi w tym, że tylko część ulic miała nazwę, więc, wbrew temu, co sugerowała mapa, nie dało się przechodzić z jednej na drugą. Kolejne utrudnienie stanowił fakt, że niektóre nazwy się powtarzały, jako że poustawiano małe drogowskazy, które miały pomóc turystom trafić we właściwe miejsce, ale w wielu wypadkach strzałki poodpadały i zostały jedynie nazwy ulic, wprowadzając w błąd każdego, kto próbował je wykorzystać jako wskazówkę.

Najgorsze zaś okazało się to, że budziła ciekawość. Co prawda, aby się nie wyróżniać, włożyła ciemnobrązową spódnicę do kostek i równie zgrzebną górę, ale była Amerykanką i miała jasne włosy, co skutecznie niwelowało wcześniejsze wysiłki. Ludzie odprowadzali ją wzrokiem i mamrotali.

Koło południa Sabrina zaczęła się poddawać i postanowiła wrócić do hotelu, by wymyślić inną taktykę. Wcześniej zakładała, że Lucy jak po sznurku zaprowadzi ją do miejsca, którego szukała. Pozbawiona przewodniczki Sabrina błąkała się po uliczkach pełnych meczetów i kamienic — niektórych bardzo eleganckich — pochylając głowę, kiedy przechodziła pod

niezliczonymi łukami i zagłębiała się w uliczki, które się za nimi rozciągały. W murze, otaczającym Stare Miasto, co chwila natykała się na wrota — często zamknięte, imponujące, zrobione z drewna dębowego, okute żelazem i miedzią. Wyglądały, jakby wcale nie wypuszczały ze Starego Miasta, ale prowadziły do jakichś mrocznych zakamarków, nie pokazanych na mapie. Jako atrakcja turystyczna Tetuan dostarczał niezapomnianych przeżyć, lecz znaleźć tu konkretny adres, to był istny koszmar.

Nikogo nie pytała o drogę. Amerykanka, która poszukuje tu konkretnego miejsca, przestałaby budzić ciekawość, a stałaby się podejrzana. Dlatego dalej błąkała się i już wcale nie musiała udawać oszołomionej i zagubionej.

Zatrzymała się przed jakąś kafejką i głęboko wciągnęła zapach świeżo parzonej kawy, po czym opadła na krzesło. Uliczka mogła mieć najwyżej trzy metry szerokości, balkon kamieniczki rzucał cień na miejsce, w którym usiadła. Zapach kusił, ale Sabrina zamówiła mrożoną herbatę. Przez chwilę rozkoszowała się tym, że może usiąść, ochłodzić twarz i szyję wilgotną szmatką i czuć na skórze delikatny podmuch przeciągu.

Kiedy podszedł kelner z herbatą, podniosła wzrok. Nad ramieniem chłopaka dostrzegła napis: Rouelle Nador.

— Niech to szlag!

— *Mam'selle?* — Kelner spojrzał zaskoczony.

— Wygląda cudownie — zapewniła, przywołując na twarz promienny uśmiech. Wzięła szklanekę w srebrnym koszyczku. — Naprawdę cudownie.

Kelner odszedł, nic z tego nie rozumiejąc.

Sabrina nie spieszyła się z herbatą. Obserwowała pieszych idących na Rouelle Nador i stamtąd wracających. Była to długa ulica, wyjątkowo wąska i obskurna. Z kilku okien na piętrze, co nietypowe, dudniła ostra muzyka arabska. Na ogół ze sklepów i otwartych drzwi płynęły przyciszone, subtelne melodie z wyraźnymi wpływami francuskimi, dopasowane do gustów zachodnich turystów.

Ludzie, którzy pojawiali się na Rouelle Nador, niewątpliwie reprezentowali typ mieszkańców getta — uznała Sabrina. Jeden w drugiego wyglądali na czarne charaktery. Na ich twarzach gościł ponury wyraz niezadowolenia z tego, co ich otacza — dokładnie taki sam, jaki widywała u *esquadrones muertes*, członków szwadronów śmierci, przesiadujących w barach La Libertad w Salwadorze.

Nie ma sensu samej siebie oszukiwać: na widok mieszkańców Rouelle Nador przechodziły ją ciarki. Głośno wciągnęła powietrze i przyznała się do tego w duchu. Wiedziała też, skąd się wzięła ta reakcja. Łączyła ich z tym, co się stało z Lucy Dow.

Nagle, niczym dawka właściwego leku podanego w odpowiedniej chwili, przypomniał jej się Mike Graham proponujący, że on przejmie jej zadanie, a ona pojedzie zamiast niego do Niemiec.

Od razu poczuła się inaczej. Wyprostowała się, odrzuciła głowę w tył i dopiła herbatę. Zostawiła na stoliku garść marokańskich franków, wstała i ruszyła na Rouelle Nador.

Nie było tam sklepów ani kawiarni, meczetów ani zadbanych kamienic. Żaden z zapachów unoszących się w powietrzu nie przywodził na myśl egzotycznych krajów. Przede wszystkim cuchnęło stęchlizną i zgnilizną, od czasu do czasu Sabrina czuła lekką woń haszyszu. Nie ulegało wątpliwości, że to prawdziwe getto.

Stojący w drzwiach mężczyzna gapił się na nią, kiedy go mijała. Miał na sobie klapki, krótko obcięte dżinsy i zielony podkoszulek. Odprowadzał ją wzrokiem, a gdy odwróciła się i popatrzyła na niego, przestał żuć zapałkę, która sterczała mu z kącika ust.

— Mówi pan po angielsku? — spytała Sabrina.

Zawahał się, ale potaknął.

— Próbuje znaleźć rodzinę albo przyjaciół Jakuba Hishama.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie zna go pan?

Ponownie zaprzeczył i zajął się zuciem zapalki.

Sabrina poszła dalej. Policzyła do dziesięciu, odwróciła się i spojrzała w tamtą stronę. Mężczyzna zniknął. Czyli wieść zaraz się rozniesie. Otrząsnęła się, żeby pozbyć się zimnego dreszczu, który nagle przebiegł jej po plecach, i ruszyła ulicą.

Po chwili usłyszała, że ktoś za nią biegnie. Tupot lekkich stóp coraz bardziej się przybliżał. Wcale nie brzmiał groźnie. Gdy się obejrzała, zobaczyła za sobą chłopczyka, najwyżej pięcio-, sześcioletniego.

— Panienska idzie tam — powiedział bez tchu, wskazując kierunek. — Do Marufa-al-Hakima.

— Zaraz, momencik. — Sabrina przykucnęła przy chłopcu i położyła rękę na kościstym ramieniu. — Powtórz jeszcze raz, ale powoli.

Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc. Sabrina uświadomiła sobie, że maluch powtórzył to, czego go nauczono. Nie znał angielskiego.

— Mam iść tam? — Sabrina pokazała drzwi na skrzyżowaniu uliczek. — Tam?

Chłopiec szybko potaknął.

— Panienska idzie tam. Do Marufa-al-Hakim a.

— Do Marufa-al-Hakim a.

Znowu skinął głową. Sabrina zaczęła szukać w kieszeni drobnych, ale chłopczyk odwrócił się i zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Sabrina podeszła do drzwi i zastukała. Przy tak wielu niewiadomych najlepiej improwizować, gdyż wymyślone na poczekaniu kłamstwo skutkowało lepiej niż wydumana, dopracowana historyjka. Ponieważ nie wiedziała, czego się spodziewać, nie miała też pojęcia, co zrobi po wygłoszeniu pierwszego zdania. Była jednak przygotowana na najgorsze.

Drzwi się uchylily. W szparze ukazała się twarz nastolatki.

— Mogę porozmawiać z Marufem-al-Hakimem?

Dziewczyna zamknęła drzwi. W chwilę potem je otworzyła, tym razem na oścież. W pomieszczeniu stał mężczyzna, wysoki, brodaty, ubrany w wojskowe spodnie i brudną, zieloną koszulkę polo. Był bosy.

— Pan jest Marufem-al-Hakimem?

— Tak się nazywam.

Sabrina przysięgłaby, że zębów, które wylaniały się spod krzaczastego wąsa, nigdy nie dotknęła szczoteczka. Przypomniała sobie, jak Philpott opisywał tego rodzaju uzębienie: „Gdyby choć jeden był biały, to znaczy, że to miłośnik bilardu, który trzyma tam krede”.

— Mogę z panem porozmawiać o Jakubie Hishamie? — spytała Sabrina.

Maruf wzruszył ramionami.

— Kim pani jest?

— Nazywam się Mary Smith. Czy Jakub to pański przyjaciel?

— To mój brat.

— Ach, rozumiem...

— Wszyscy jesteśmy braćmi.

Na ścianie za nim dostrzegła plakat. Przedstawiał grupę niezwykle zdrowo się prezentujących Arabów, wymachujących nad głowami karabinami. Słońce świeciło zza ich pleców, a oni kroczyli z krwistoczerwonym hasłem wypisanym po arabsku u ich stóp.

— To wasze bractwo? — spytała Sabrina, wskazując plakat.

— Czego od nas chcesz? — warknął Maruf, zaplatając ramiona.

— Wiem o robocie Jakuba w Londynie — stwierdziła.

Maruf zdecydowanie pokręcił głową.

— Wykluczone. Jakub jest w Palestynie.

— Nie, był w Londynie. Przyjechał pod przybranym nazwiskiem. Podał się za Kamula Haidara.

Maruf zmrużył oczy. Przechylił głowę w bok, potem znowu ją przekrzywił.

— Jeszcze raz pytam: czego tu szukasz?

— Muszę się dowiedzieć, dlaczego Jakub wyjechał do Londynu.

Była pewna, że ci ludzie wiedzą o śmierci Hishama. Jeśli słusznie ich oceniła, już mają wobec niej plany. I świetnie. Tego sobie życzyła. Żeby całą swoją uwagę i wrogość skupili na niej, bowiem w ten sposób zdobędzie informacje. Szybko.

— Rozumiem — oświadczył Maruf.

Miał tak gęsty zarost wokół ust, że nie potrafiła określić wyrazu jego twarzy, ale teraz, gdy się cofnął, wydawało jej się, że dostrzega na niej uśmiech.

— Zapraszamy na poczęstunek.

— Dziękuję, ale uważam za niestosowne przyjmowanie czyjejś gościny bez przyzwotki.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Och, oni po prostu nienawidzili, jeśli kobieta okazywała zdecydowany charakter.

— Za to może mogłabym cię zaprosić na herbatę albo jakiś napój do kawiarni?

Maruf rozważał jej propozycję.

— Chwileczkę — powiedział i zniknął, przymykając za sobą drzwi.

Sabrina czekała, patrząc w szparę w drzwiach. Wydawało jej się, że słyszy muzykę. Potem dobiegł ją odgłos kroków i gwałtownie się obejrzała, bowiem nagle były tuż za nią. Poczowała ból, a przed oczami zobaczyła jasne, oślepiające światło, kiedy coś twardego wylądowało na jej głowie. Później pochłonął ją mrok.

Ocknąwszy się, poczuła w nozdrzach smród gnijących ryb. Głowę rozsadzał jej straszliwy ból, była pewna, że cios uszkodził czaszkę. Próbowwała dotknąć bolącego miejsca, ale coś nie pozwalało jej ruszyć ręką.

Wiele czasu upłynęło, nim zdołała otworzyć oczy. Blade promienie światła zakłuły ją niczym noże, głowę ponownie przeszył ból. Zaciśnęła powieki, odczekała chwilę i znowu wolno je uchyliła. Tym razem ból nie okazał się aż tak dotkliwy.

Leżała w brudnej klitce — ze ścian oblaźił tynk, drewniana podłoga była dziurawa. Panował tu nieznośny upał. Promienie światła zaglądały przez szpary w okiennicach, tańczyły w nich cząsteczki kurzu. Najmniejszy ruch głową wywoływał kolejną falę bólu, więc długo potrwało, nim Sabrina zorientowała się, gdzie właściwie się znajduje.

Po pewnym czasie udało jej się dopasować wszystkie widziane elementy. Wpółleżała na podłodze, oparta ramionami o ścianę. Smród płynął z pękniętej rury kanalizacyjnej obok niej. Nadgarstki miała skute kajdankami przerzuconymi przez rurę znajdującą się pod zlewem.

Sabrinie straszliwie chciało się pić.

Po następnych minutach zaowocowały lata treningu. Musi spokojnie przyjmować tę sytuację. Spokój i opanowanie to jedyny sposób odzyskania umiejętności logicznego myślenia. Musi wprowadzić się w stan gotowości, by móc wykorzystać najmniejszą szansę.

Najpierw stawiała czoło faktom. Znalazła się w poważnej sytuacji. Może wręcz krytycznej. A stało się tak dlatego, że nie przedsięwzięła środków ostrożności. Cóż, teraz już za późno na robienie sobie wyrzutów. To tylko osłabia siłę ducha. Musi się skoncentrować na naprawieniu sytuacji.

Jeśli zbyt długo będzie się tu znajdować w tym stanie, umrze z odwodnienia. Jeśli zawoła o pomoc, ktoś może się i zjawi, ale ten ktoś może też ją zabić. Z drugiej jednak strony tylko pojawienie się drugiego człowieka da jej szansę odmiany losu.

Sabrina spróbowała krzyknąć, krtań okazała się jednak tak wysuszona, że z jej ust dobył się tylko skrzek.

Zacęła poruszać nogami, napinać mięśnie ud. W ten sposób pobudzi krążenie krwi i ożywi system limfatyczny, co z kolei zaowocuje odrobiną wilgoci w ustach. A z wilgotnym gardłem będzie mogła przełknąć ślinę, dzięki czemu może uda jej się wezwać kogoś na pomoc.



Telefon na biurku zadzwonił w chwili, gdy Philpott szykował się do wyjścia z biura. Dopiął ostatni guzik płaszcza i podniósł słuchawkę

— Philpott.

Usłyszał elektroniczny sygnał, gdy włączyło się zagłuszanie ewentualnego podsłuchu.

— Dobrze, że cię złapałem — odezwał się Mike Graham.

— W ostatniej chwili. Dziś wieczorem mam przyjęcie w Radzie Nadzorczej.

— Biedaczek.

— Jedna z czarnych stron pracy na wysokim stanowisku. Gdzie jesteś, Michael?

— W Berlinie. W lokalu przy Husemannstrasse. Dostałem się tam dwie godziny temu. Zadzwoniłem, żeby się zameldować.

— Dobrze. Wspomnę tylko, że coś ciekawego wydarzyło się dziś rano niedaleko miejsca, w którym teraz jesteś. Obywatel amerykański usmażył się w wynajętym samochodzie parę minut po zakończeniu transakcji w pobliskim banku.

— Miałem ci to samo powiedzieć — stwierdził Mike. — Nazywał się Harold Gibson i pochodził z Waxahachie. Zrobił majątek na ropie i nieruchomościach, a pięć lat temu odziedziczył sześć tysięcy akrów najlepszej ziemi wokół jeziora Texoma, jakieś sześćdziesiąt mil od Dallas. To był bogacz całą gębą.

— Mimo to nie okazał się żaroodporny. Skąd wiesz o nim tak dużo?

— Dzięki interesującemu zbiegowi okoliczności. Dwa lata temu zbierałem na jego temat informacje w związku z zabójstwem w Fossil Rim. Nawet z nim rozmawiałem.

Morderca czarnego oficera policji w rezerwacie w Glenrose, na południe od Fort Worth, starał się tak je upozorować, by wyglądało na atak zwierząt. Wina miała spaść na meksykańskie szare wilki, ale staranne dochodzenie przeprowadzone przez C.W. Whitlocka kontynuowane przez Mike'a Grahama wykazało, że zabójstwa dokonał biały rasista. Połączono je z nie rozwikłanymi zbrodniami, które popełniono w ciągu ostatnich sześciu lat w okolicach Dallas i Fort Worth. Nie znaleziono też sprawcy morderstwa w Fossil Rim.

— Jeden z oficerów prowadzących śledztwo podejrzewał, że są z tym powiązani Gibson i jego kumple, a jego teorie dotarły do UNACO.

— I co odkryłeś? — spytał Philpott.

— To było jakiś czas temu, ale pamiętam, że Gibson uwielbiał wszelkie przejawy rasizmu. Wcale się z tym nie krył. Podałem się za dziennikarza piszącego serię reportaży o bogatych ludziach z zasadami. Spuchł z dumy. Opowiedział mi o swoim majątku, o najlepszych umowach, jakie zawarł, o umiejętności prowadzenia interesów. Nawet szczycił się swoim wkładem w rozgłos wokół artykułów Henry'ego Forda „Niezależność drogo urodzona” na temat międzynarodowego żydostwa.

— Niech mnie kule biją. Przeczytałeś to?

— Nie, szefie. Jakoś mnie nie ciągnie do takich tematów. Na pewno za bardzo by mnie to przygnębiło.

— Niestety, mam dla ciebie coś rzeczywiście przygnębiającego. Adolf Hitler przyznał, że teksty Forda wpłynęły na tezy, które przedstawił w „Mein Kampf”.

— Założę się, że Gibson o tym wiedział. Jego zdaniem, Hitler był najwspanialszym prorokiem od czasów Jana Chrzciciela. W gabinecie miał na ścianie małe zdjęcie Adolfa w ramkach.

— Ciekawe.

— W ostatnich wiadomościach słyszałem, że na siedzeniu w samochodzie obok ciała Gibsona znaleziono pozostałości po spalonych dwustu tysiącach dolarów.

— Ta informacja zasługuje na zainteresowanie. Nim skończymy rozmowę, mam jeszcze smutną wiadomość. — Opowiedział Mike'owi o śmierci Lucy Dow. — Oczywiście to nieodłączny aspekt naszej pracy, ale tym niemniej bardzo przykry. — Philpott spojrział na zegarek. — Michael, muszę już iść. Dzięki za telefon. Zadzwoni do mnie, gdy tylko dowiesz się czegoś na temat Eriki Stramm.

Philpott przez cały wieczór uwijał się jak w ukropie. W ciągu pięciu godzin porozmawiał z wieloma ludźmi i zajął się licznymi sprawami. O dwudziestej trzeciej wrócił do biura i czytał tajne informacje przechowywane w pamięci komputera.

— Przyznaj się bez bicia — odezwał się C.W. Whitlock, stając w drzwiach pokoju. — Nie możesz znieść marnowania mnóstwa czasu na bezczynne leżenie w łóżku.

— Ty też? — spytał Philpott.

— Jak nic.

— Kłopoty rodzinne? — Szef zmierzył go baczny spojrzeniem.

— Większa działka niż mi się należy. — C.W. wszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Z powodu pracy?

— Po części.

— W takiej sytuacji osoba zajmująca podobne do mojego stanowisko mówi, że to nie jej sprawa i tak rzeczywiście jest. Złamię jednak zasadę i powiem, co o tym sędzę. W naszym fachu mężczyzna, który boryka się z kłopotami rodzinnymi, okazuje się lepszy od takiego, który cieszy się małżeńskim szczęściem. — Philpott się uśmiechnął. — Myślę, że to taka osobliwa cecha, którą jeszcze wzmacnia specyfika naszej pracy.

— Tak samo jest w policji. — Whitlock pokiwał głową.

— Tam to po raz pierwszy zauważyłem.

Whitlocka kępował temat rozmowy, więc by go zmienić, spytał szefa, czy mógłby mu w czymś pomóc. Philpott wyjaśnił, że zbiera informacje o prawicowym Teksasńczyku nazwiskiem Harold Gibson.

— Przejrzałem tajne akta i znalazłem parę ciekawych rzeczy. Dwa miesiące temu, podczas przyjęcia w Dallas odbywającego się w tamtejszym ogrodzie botanicznym, agent FBI usłyszał, jak Gibson chwalił się jakiejś pani, że wymienił uścisk dłoni z wieloma mężczyznami, którym z kolei sam Adolf Hitler uściśnął dłoń. Poza tym od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku Harold jeździ dwa razy w roku do Berlina.

— Jeśli chcesz, to zajrzę do księgi fanatyków — zaproponował Whitlock. — Może tam się coś znajdzie?

— Świetny pomysł. — Philpott wstał z fotela przed komputerem. — Rozgość się.

Księga fanatyków Whitlocka stanowiła zbiór informacji o maniakach, dogmatykach i rasistach, na których natrafili przypadkowo w trakcie prowadzenia najróżniejszych śledztw. C.W. wprowadził ich dane do pamięci komputera i pogrupował wedle kategorii. Dane te przetworzono w formie specjalnego programu, który C.W. pomógł napisać i wszyscy w UNACO się zgodzili, żeby tylko on miał dostęp do tych plików.

Komputer szumiał, cicho przeglądając zbiory w poszukiwaniu nazwiska Harolda Gibsona.

— Intuicja mi podpowiada, że trafimy tu na kopalnię informacji o nim — rzucił Whitlock. Zerknął przez ramię. Philpott usiadł za biurkiem i bębnił palcami po blacie. — Mogę się tym sam zająć, jeśli chcesz już iść do domu.

— Nie, muszę wkrótce podjąć decyzję — stwierdził szef. — Będzie dotyczyła i ciebie.

Na monitorze pojawiła się fotografia. Philpott zauważył to i podszedł do stolika. Było to zdjęcie otyłego mężczyzny w średnim wieku, siwowłosego, krótko ostrzyżonego, który uśmiechał się od ucha do ucha. Na szyi zamiast krawata miał medalion.

— To on?

— Harold Gibson, lat sześćdziesiąt, zamieszkały w Waxahachie, prezes i dyrektor „Munro, Davies and Gibson”, firmy pośrednictwa handlem nieruchomościami mieszczącej się przy

North Main Street w Fort Worth. — Whitlock powiódł palcem wzdłuż strony wypełnionej maczką liter. — O, mam, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku znalazł się na liście członków Amerykańskiej Partii Nazistowskiej założonej przez George'a Lincolna Rockwella. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku był w Londynie w otoczeniu Rockwella, gdy temu polecono opuścić Anglię w ramach usuwania osób rozprzestrzeniających nazistowską propagandę. W sierpniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku po zastrzeleniu Rockwella przez snajpera, Gibson występował jako główny żałobnik na jego pogrzebie i na zakończenie wygłosił mowę do zwolenników, w której wysławiał pod niebiosa zmarłego nazistę i przyrzekł kontynuować, jak to określił, „szlachetną walkę”.

— Czy był notowany przez policję?

— Nie za przestępstwa. Parę ostrzeżeń za prowokujące zachowanie w trakcie zjazdów, powództwo cywilne za stawianie oporu, gdy zorganizował strajk okupacyjny na terenie przeznaczonym pod budowę synagogi.

— Jest coś na temat zbierania funduszy?

Whitlock dalej przeglądał plik danych.

— Rzeczywiście, jest. Razem z Donem Chadwickiem i Emerettem Pearce'em, przedsiębiorcami z Fort Davis i Brownsville, założył organizację Patriotów Teksasu. — Whitlock zamilkł i przez dłuższą chwilę czytał obszerny tekst. — Mam. Patrioci Teksasu, jak się okazuje, to wcale nie są małomiasteczkowi rasiści. Mają powiązania z instytutem działającym od dawna w Szwajcarii, który chce dowieść, że rasy niekaukaskie są pod względem intelektualnym gorsze. Trzy podkomitety w Waszyngtonie badały ślady wskazujące, że Patrioci finansują ochronę nazistowskich uciekinierów w Ameryce Południowej. Istnieją też mocne dowody, że ich grupy propagandowe prowadzą z powodzeniem infiltrację miasteczek uniwersyteckich oraz zarządów wielkich korporacji. Wiadomo również, że zapewnili fundusze na kampanię wyborczą trzech skrajnie prawicowych kandydatów na senatorów. Trzy lata temu Gibson osobiście wyłożył połowę pieniędzy na adwokata w czasie procesu nazistowskiego zbrodniarza wojennego w Krakowie.

— Tyle nam wystarczy — Philpott usiadł za biurkiem. — Mężczyzna, którego działania mi opisałeś, zmarł niespełna dobę temu w Berlinie. Zginął w wyniku, jak się zdaje, wybuchu podłożonej bomby, a razem z nim spłonęła znaczna suma r pieniędzy. Czy widzisz tu związek ze sprawą, która zajmuje nas w ostatnim czasie? A może chociaż szansę na jakieś powiązanie?

— Warto by je solidnie przekopać.

— Jak sądzisz, czy powinniśmy wybrać się do Teksasu?

Whitlock popatrzył zdumiony na szefa.

— Ślady wiodące do Europy i Afryki Północnej są już w kompetentnych rękach — stwierdził Philpott. — A przynajmniej tak sądzę, póki nie dowiem się czegoś wręcz przeciwnego. Wątek amerykański natomiast aż się prosi o zbadanie.

— Ale kiedy powiedziałaś „my”...

— Miałem na myśli ciebie i mnie. — Przyjrzał się uważnie Whitlockowi. — Może sądzisz, że nie poradzę sobie z pracą w terenie?

— Nic takiego nie powiedziałem.

— Zastanawiałem się nad tym krokiem od chwili, gdy wyszedłem z przyjęcia dziś wieczorem, ale wtedy pomyślałem, że powinienem wysłać Geoffa Prentice'a. Jednak dowiedziałem się, że leży w Punjabie, gdzie złapał jakąś infekcję układu pokarmowego. Przyszedł mi więc do głowy Timothy Osborn, ale ze szczętem pochłonęły go nowe intrygi w Bośni. — Wzruszył ramionami. — I pomyślałem: a może by tak pojechać samemu? Przecież w końcu jestem starym gliną, wytrawnym konspiratorem i, mówiąc szczerze, za dużo czasu spędzam za biurkiem. Zmiana dobrze mi robi. Może tak dla odmiany moje sekretarki zarobią na swoje pensje i popilnują interesu, kiedy wyjedziemy.

— Ten wyjazd może się okazać wielką pomyłką — ostrzegł Whitlock. — Ale chyba od czasu do czasu można sobie pozwolić na ganieanie za cieniem.

— Oczywiście. — Philpott odrobinę przymknął oko, nigdy nie pozwolił sobie na pełne, porozumiewawcze mrugnięcie. — A wyjazd z Nowego Jorku może cudownie poprawić twoją sytuację domową. — Wstał i przeciągnął się ostrożnie. — Jeśli zaraz nie pójde spać, to padnę trupem.

— Na litość boską, nie rób tego! — Whitlock był z Philpottem, kiedy ten dwa lata temu dostał zawału serca. — I bez tego mam dość stresów.

— Czyli decyzja została podjęta? — Philpott włożył płaszcz. — Jedziemy do Teksasu, żeby się trochę rozejrzeć.

— Wedle rozkazu.

— Myślałem, że będziesz się bardziej opierał.

— Może w innym czasie i w odmiennych okolicznościach. — Whitlock wyłączył komputer i podszedł do drzwi. — A poza tym nie mam nikogo, komu mógłbym zaufać, że będzie miał na ciebie oko.

Promień słońca, w którym tańczyły pyłki kurzu, przesunął się ze szczytu ściany po prawej stronie Sabriny w dół po lewej. Już dawno zabrakło jej sił, by krzyżeć. Chyba przespała jakiś czas, ale nie była tego pewna. W pomieszczeniu zrobiło się bardziej gorąco, a jej stan pogorszył się na tyle, że nie czuła już pragnienia. Kajdanki zdrapały jej skórę na obu przegubach, a uda oraz pośladki spoczywające na podłodze zupełnie zdrętwiały.

Próbowała się poruszyć, ale ciało wydało jej się zbyt ciężkie.

Straciłam całą siłę, pomyślała.

Uratowałyby ją woda. Nawet gdy człowiek był bliski śmierci, odrobina płynu mogła go ożywić i przywrócić władzę w członkach.

Woda.

Podniosła wzrok na popękany, brudny zlew nad głową. Wyglądał, jakby od lat nie lano do niego wody, był zniszczony jak reszta pomieszczenia. W ciągu pierwszej godziny po odzyskaniu przytomności Sabrina zdała sobie sprawę, że z Marufem–al–Hakimem rozmawiała w innym miejscu. W domu, który pachniał życiem. Tutaj wszystko cuchnęło rozkładem. Znalazła się w zapuszczonym hotelu.

Nie słyszała żadnych dźwięków. Nie dobiegały głosy z oddali czy kroki z ulicy. Raz szczur przebiegł po podłodze, ale poza nim nie zbliżyła się do niej żadna żywa istota.

Miała skórę zdartą z kolan i z podbicia na lewej stopie, a paski sandałów na tej nodze też były pościerane. Zatem ciągnięto ją brutalnie; z miejsca, w które została uderzona, pulsował ból na całą czaszkę. Wyobraziła sobie, jak ją wloką bezceremonialnie po śmierdzących zaułkach i rzucają tutaj, by umarła.

Tylko że oni nie chcą, żeby umarła. A przynajmniej na razie. W przeciwnym razie już by ją zabili. Chcą, żeby osłabła i wpadła w rozpacz, zanim ją przesłuchają — mogła się założyć, że uciekną się do tortur — by usłyszeć, co wie o śmierci Jakuba Hishama.

Scenariusz stary jak świat, ale Sabrina brała w nim udział po raz pierwszy. Nigdy wcześniej nie została potraktowana w taki sposób, nigdy nie była tak słaba. Jej nastrój jeszcze bardziej pogarszała świadomość, że częściej stawała się obiektem ataków mężczyzn próbujących ją wykończyć niż tych, którzy chcieli się z nią kochać.

Zaczęła tracić świadomość, gdy nagle usłyszała jakiś dźwięk i dostała gęsiej skórki. Zadzwoił łańcuch i przesunął się skobel. Drzwi się otworzyły.

Wszedł mężczyzna. Nie Maruf. Ten okazał się niższy i szczuplejszy. Kiedy znalazł się bliżej, Sabrina zauważyła, że chociaż nie był stary, to szczerby w ustach i potargane włosy nadały mu groźny wygląd. Wpatrywała się w niego, zmuszając do nienawiści. W jej sytuacji jakakolwiek szansa na przetrwanie, poza sprzyjającymi okolicznościami, mogła zrodzić się dzięki czerpaniu ze źródła siły, jaką była czysta nienawiść.

Mężczyzna przyniósł emaliowany dzbanek i plastikowy kubek.

— Chcesz wody?

— Tak — wykrztusiła ochryłym głosem. Przyklęknął obok niej i nalał wody do kubka. Była czysta, Sabrina czuła jej chłód. Przyłożył jej kubek do ust i chłodna fala spłynęła na język. Kiedy próbowała przełknąć, miała wrażenie, że gardło się zaciska. Mężczyzna odsunął kubek. Wiedział, jak zareaguje jej ciało. Sabrina zakasłała słabo, wtedy znów przyłożył kubek do jej warg i tym razem przełknęła odrobinę. Płynąca w dół przełyku woda wydawała się twarda i ostra. Arab odsunął kubek i popatrzył na nią.

— Musisz poczekać parę minut — powiedział. — Wtedy znów się będziesz mogła napić. — Mówił po angielsku zrozumiale, choć z silnym akcentem.

— Dlaczego mnie to spotkało?

— Nic nie mów.

— Ale ja się boję. — Udało jej się zmusić dolną wargę do drżenia. — Proszę, powiedz mi, co się stało.

— Nic nie wiem. — Spojrzał na nią obojętnie. — Tylko wykonuję polecenia. Rozkazy. Rozumiesz?

— Ale proszę... — Z trudem zaczerpnęła powietrza i w jej oczach zakręciły się łzy. — Nikogo nie skrzywdziłam. Może jednak coś mi powiesz?

— Mogę ci powiedzieć, czego się domyślam.

Sabrina patrzyła na niego żałośnie.

— Mogę się domyślać, że najpóźniej jutro zostaniesz znaleziona na kupie śmieci przy targowisku Guersa el Kebir bez rąk i głowy.

Zadrżała na całym ciele.

— Czy mogę jeszcze dostać trochę wody?

— Pij powoli.

Kiedy kubek dotknął warg, pociągnęła łyk i pozwoliła, by płyn obmył wnętrze ust.

Skup się, pomyślała.

Woda spływała w dół przetyku cienkim strumyczkiem, gdy tymczasem Sabrina udawała, że tylko nabiera płyn w usta.

Skup się.

Przełknąwszy całą wodę trzymaną w ustach, zaczęła gwałtownie kasłać, udając, że się zakrztusiła.

— Proszę — powiedziała błagalnie, gdy mężczyzna odsunął kubek. — Rozkuj mi choć jedną rękę. Nie mogę łykać, kiedy trzymasz kubek.

Arab mruknął coś pod nosem, ale się nie ruszył.

— Na chwilę — prosiła Sabrina. — Tak mi się chce pić. Znów mruknął, ale się podniósł. Chwilę grzebał w kieszeni obszernych spodni, nim wyciągnął pęk kluczy przyczepionych łańcuszkiem do paska. Wybrał lśniący kluczyk i kucnął obok Sabriny. Poczula jego cuchnący oddech i smród płynący od przepoconego ubrania. Rozpiął prawe kajdanki, a potem przykuł je do rury.

Sabrina poruszyła dłonią i poczuła, że krew znów dopływa do opuszków palców. Zrobiła smutną, pełną wdzięczności minę.

Skup się, nakazała sobie w myślach.

Kiedy mężczyzna podawał jej kubek, patrzyła mu prosto w oczy. On odgradza cię od wolności.

— Dziękuję.

Przyłożyła kubek do ust i błyskawicznym ruchem przegubu chlusnęła mu wodą w oczy. Gdy podniósł rękę do twarzy, chwyciła go za kciuk, pociągnęła w dół i do tyłu, łamiąc kość.

Wrzasnął.

Nadal wykręcając mu kciuk, pochyliła głowę i dwukrotnie uderzyła go w nos. Padł na nią jęcząc, krew płynęła z dziurek nosa. Sabrina oplotła nogi wokół jego pasa.

— Milcz — rzuciła mu prosto w ucho.

Zawył jeszcze głośniejszym głosem. Mocniej zacisnęła nogi, wbijając kolana w nerki. Kiedy zaczął wrzeszczeć, pchnęła głowę w przód prosto w jego usta.

Przestał krzyczeć i tylko ciężko dyszał. Sabrina, nadal ściskając go nogami, przesunęła szybko dłoń od kciuka do przegubu. Chwyciła go mocno i zebrawszy wszystkie siły w ramionach, wykręciła tak, że zerwała zginacz ścięgna.

Mężczyzna zemdłał.

Pchnęła go na plecy, wyjęła klucze i uwolniła lewą rękę. Odczepiła kajdanki od rury, przekręciła go na twarz, skuła mu dłonie z tyłu i znów przewróciła na plecy. Krew nadal płynęła mu z nosa.

Wstała, ostrożnie wyprostowała nogi, poruszając nimi w stawach, a potem wolno podniosła rękę i wyciągnęła je nad głową.

Stała na środku pokoju, dotykając opuszkami palców guza na głowie i wolno ruszając biodrami. Czowała, jak kręgi kręgosłupa wracają na miejsce. Parę razy obeszła pomieszczenie dookoła, aż krążenie wróciło do normy, a potem napiła się wody.

Zapadał zmrok, słońce nabrało ciemnozłotej barwy. Zerknęła przez szparę w okiennicach i zobaczyła ścieżkę biegnącą wzdłuż rzędu zakurzonych drzew osłaniających budynek od drogi. Jakieś pięćdziesiąt metrów od drzew stał stary citroen 2CV.

Zainteresowała się mężczyzną. Nie odzyskał przytomności, oddech miał urywany. Krew z nosa spływała po policzku, tworząc kałużę na podłodze z boku głowy. Podniosła dzbanek i wylała mu resztę wody na twarz.

Odzyskał przytomność, kaszłąc i plując wodą, miotał głową na boki. Sabrina patrzyła, jak krzywi się z bólu. Po chwili szeroko otworzył oczy.

— I jak się czujesz, koleś?

— Muszę usiąść! — wysyczał gniewnie.

— Może.

— Zabiję cię!

— Związany w baleron? Wątpię.

Wrzasnął coś po arabsku.

— Czy to była obelga?

— Boli mnie ręka! Muszę usiąść! Straszliwy ból!

Sabrina pochyliła się nad nim i przewróciła go na bok.

— Podciągnij kolana, to się nie przetoczysz.

Widziała, że poczuł znaczną ulgę. Jednak na pewno bardzo go bolało, bo ręka spuchła i kciuk zwiślał w dół.

— Jak się nazywasz? — spytała i podwinęła spódnicę tak, żeby klękając na gołej podłodze, osłonić kolana.

— Sajed.

— No to, Sajed, chcę wiedzieć wszystko o Jakubie Hishamie.

— Nie słyszałem o takim człowieku.

Sabrina chwyciła go za ramię. Zawył z bólu.

— Powiem ci coś o sobie, Sajed. — Poczekaj, aż wycie przeszło w zduszony jęk. — Nie przypominam znanych ci kobiet. Nie jestem uległa. Wcale nie boję się mocnych mężczyzn. A co gorsza, jestem mściwa, ostra, łatwo wpadam w złość, a wtedy najbardziej cieszy mnie przemoc. — Pochyliła się nad nim i dodała z naciskiem: — Żebyś to zobaczył we właściwych proporcjach, ostrzegam, jeszcze się do ciebie nie zabrałam porządnie i to, co czujesz, to żaden ból. — Znów przysiadła na piętach. — Więc pytam raz jeszcze. Co wiesz o Jakubie Hishamie?

Sajed zakasłał. Z podłogi uniół się obłok kurzu.

— Był bojownikiem o wolność.

— Terrorystą. Tyle wiem. Dlaczego pojechał do Anglii? Dla kogo pracował?

— Jestem tylko posłańcem. Nie wiem takich rzeczy.

— Przysięgasz?

— Przysięgam.

Sabrina złapała go za łokieć i pociągnęła rękę w górę, a potem w dół. Znów zawył i tym razem łza spłynęła mu po policzku.

— Nadal jesteś gotów przysiąc?

— On... był tutaj, w Tetuan. No wiesz, musiał się ukrywać. Wtedy zjawił się facet, który go szukał. Amerykanin.

— Jak się nazywał?

— Nie wiem. Przysięgam — dodał pospiesznie. — Nigdy nie słyszałem jego nazwiska. Miał list z poleceniem od wysokiego oficera z Hezbollahu.

— Mów zaraz, skąd o tym wiesz.

— Jestem członkiem ruchu wyzwolenieckiego, do którego należał Jakub Hisham.

— Trenował cię, co?

— Tak. — Sajed urwał i z trudem zaczerpnął powietrza. — Był naszym nauczycielem, ale też i kuzynem. Do naszego ruchu wstąpiło wielu członków jego rodziny.

— Wstąpiło? Ilu?

— Trzydziestu, może trochę więcej. Jesteśmy małą grupą, ale mamy wielką wolę walki. — Obrócił głowę, żeby spojrzeć na dziewczynę, wyglądał na pokonanego. — Siła naszej woli zwycięży wszelką opozycję.

— Jeśli to ci pomaga wstać rano, Sajed, to sobie powtarzaj te brednie. Co ten Amerykanin chciał od Jakuba?

— Zlecić mu zadanie. W Anglii. Jakub miał poważne wątpliwości, ale potrzebował pieniędzy.

— Co to za zadanie?

— Nie znam szczegółów, przysięgam.

Sabrina popatrzyła na niego.

— Sajed, to nie jest cała prawda, co? — Przesunęła w górę jego ramię. — I jak?

— Zadanie miało polegać na usunięciu pewnych członków organizacji... — urwał.

— No? — spytała, odczekawszy chwilę.

— Już ci powiedziałem.

— Jakiej organizacji?

— To trudna nazwa, ja nie...

Gdy sięgała po jego ramię, odsunął się i zacisnął usta. Wiedziała, że tę informację postanowił zatrzymać przy sobie. Obiema rękami pchnęła go mocno na plecy, aż jęknął. Jedną dłonią podtrzymała głowę, opierając się całym ciężarem na jego czole. Palec wskazujący drugiej dłoni wsunęła mu pod powiekę. Zaskowyczał i próbował się wywinąć z jej uścisku.

— Sajed, możesz mi wierzyć na słowo. Jeśli w ciągu pięciu sekund nie usłyszę sensownej odpowiedzi, wydlubię ci oko. — Nacisnęła mocno gałkę, aż jęknął z bólu. — Gdy to nie wystarczy, załatwię i drugie. A teraz pytam po raz ostami: jak się nazywa organizacja, którą miał wykończyć Jakub?

— To... to nowo powstała grupa Żydów, działa głównie w Niemczech. Nazywa się Juli Zwanzig. To oznacza dwudziesty lipca.

Sabrina przypomniała sobie zdjęcie wyjęte z kasetki depozytowej, na sztandarze były litery JZ. Wyjęła palec z oka Araba i usiadła obok niego. Mężczyzna gwałtownie mrugał powiekami.

— Jakub dostał... nie pamiętam, jak się to nazywa po angielsku... kartkę z listą rzeczy, które miał zrobić.

— Grafik.

— Tak, grafik. Najpierw miał jechać do Londynu i zostać tam przez jakiś czas. Skorzystał z dokumentów dostarczonych przez Amerykanina.

— A więc to wtedy Jakub stał się Kamulem Haidarem?

— Miał paszport, wizę, wszystkie konieczne papiery. Dostał pistolet, specjalny rodzaj, łatwy do przesmuglowania. — Sajed podniósł głowę z podłogi. — Możesz mnie przewrócić na bok? Ręka mnie pali żywym ogniem.

Sabrina przetoczyła go na bok i wstała z ziemi.

— Jeszcze jedno pytanie. Ilu ludzi miał zabić Jakub?

— Nie wiem, przysięgam na Allaha.



— Dwóch? Więcej niż dwóch?

— Jakub sam nie wiedział. Amerykanin powiedział mu, że celem są najważniejsi członkowie Juli Zwanzig. Szczegóły miał poznać już w Anglii. — Sajed spojrział w bok, próbując zobaczyć twarz Sabriny. — Uważał, że ta podróż przyniesie mu pecha.

— I miał rację. — Dziewczyna przeszukała pęk kluczy zabranych Arabowi i znalazła ten od Citroena. — Zbieram się stąd.

— Ale przecież musisz mnie uwolnić!

— Nic nie muszę. Lepiej leż spokojnie i dziękuj swojej szczęśliwej gwiazdce, że cię nie zabiłam. — Wstała. — Dam ci jedną dobrą radę przed odjazdem, Sajed. Następnym razem zanim zjesz skunksa, obierz go ze skóry.

Gdy szła szybko przez sąsiednie pomieszczenie, omal nie wpadła na mężczyznę, który właśnie wszedł do środka. Spojrział na nią, a potem odskoczył w tył i wyrwał zakrzywiony nóż zza pasa.

— Nie rób tego! — zawołała kucając. Rozłożyła szeroko ramiona, a kluczyk od wozu trzymała w dłoni jak ostrze. — Z drogi!

Mężczyzna rzucił się na nią z nożem. Odskoczyła w bok, a potem w przód, ostrze zaś tylko mignęło jej koło twarzy. Wyrzuciła pięść przed siebie i klucz trafił go w policzek. Zawył. Podciągnęła rękę do siebie. I gdy znów się zamachnął nożem, wbiła klucz pod kości obojczyka, miażdżąc chrząstkę między krtanią a tchawicą. Upuścił broń i poleciał w tył, trzymając się za szyję. Sabrina kopniakiem otworzyła drzwi i pobiegła do samochodu.

Do National wróciła o dziewiątej wieczorem. Podczas jazdy po zakurzonej drodze ceglasty pył osiadł na skórze równą warstwą. W recepcji stary Hindus powiedział jej, że ma gościa. Popatrzył na nią przy tym z dezaprobatą. W małym barze zastała Nata Takahashi siedzącego w rogu nad miejscową popołudniówką. Na jej widok aż podskoczył w fotelu.

— Co się stało? Wpadłaś pod autobus?

— Och, zwykła, codzienna praca dla UNACO. Czasem trzeba urobić się po łokcie i trochę przy tym ubrudzić. Co cię tu sprowadza?

— Chciałem cię zaprosić na kolację przed wyjazdem.

— Jesteś aniołem. Cóż za wspaniały pomysł.

— Tylko obiecaj, że się najpierw umyjesz. Muszę dbać o reputację.

— Daj mi dwadzieścia minut — rzuciła, idąc po schodach. — Nie poznasz mnie.

Nat usiadł, by przeczytać wiadomości z ostatniej chwili wydrukowane na ostatniej stronie. Dotyczyły dwóch Peruwiańczyków, których ciała wyłowiono tego popołudnia ze studni w medynie.

Na górze Sabrina weszła do pokoju, myśląc, z jaką radością opowiedziałaby Natowi wszystko, co jej się przydarzyło od ich ostatniej rozmowy. Takie zwierzenia nie wchodziły jednak w grę. Zasady są zasadami i musiała trzymać buzię zamkniętą na kłódkę.

— I tak nie uwierzyłyby ani jednemu słowu — powiedziała na głos, idąc do łazienki.

O siódmej rano, godzinę po tym, jak Sabrina wsiadła do pierwszego samolotu odlatującego z Tangerang, Mike Graham czaił się w krzakach okalających park w berlińskiej dzielnicy Kreuzberg. Mike zajął stanowisko dokładnie naprzeciwko niskiego, dobrze strzeżonego budynku o czarnych ścianach, mieszczącego się przy Scharweber Strasse. Drzwi prowadzące do numeru 17a miał nieco pod kątem i nic nie zasłaniało mu widoku.

Astronomiczna wiosna zaczęła się już parę dni temu, lecz ranek był chłodny, a od świtu padało. Mike miał na sobie jednoczęściowy kombinezon z tkaniny nowej generacji: lekki, ciepły i pochłaniający światło, a chociaż zaopatrzył się w termos z kawą, to o wpół do dziewiątej i tak zrobiło mu się dość zimno.

Obok siebie, też ukryty w krzakach, ustawił na paliku czujnik kodu, pochłaniający dźwięki o wysokiej częstotliwości, skierowany wprost na zamek elektroniczny w drzwiach pod numerem 17a. Mike solidnie się przygotował do czatów, dzień wcześniej przejechał tamtędy samochodem i obejrzał sobie dokładnie budynek. Jedno szybkie spojrzenie wystarczyło, by mu powiedzieć, że drzwi miały zamek elektroniczny dodatkowo wyposażony w zapadkę. Oprócz czujnika Mike zaopatrzył się w masę plastyczną do odcisnięcia zapadek oraz stal węglową, w razie gdyby zamek z zapadką okazał się bardziej skomplikowany, niż wyglądał.

Dziesięć po dziewiątej z mieszkania wynurzyła się kobieta w modnej wersji budrysówki i nim Mike zdążył przysunąć do oka lunetę, zarzuciła na głowę kaptur. Zamknęła drzwi, odsunęła się i przyłożyła klucz do płytki. Mike nacisnął guzik na czujniku kodu, urządzenie cicho zapiszczało, potwierdzając odbiór sygnału.

Kobieta wrzuciła klucz do kieszeni, odwróciła się i zeszła po schodach. Mike zdążył dostrzec tylko wyraziste usta pomalowane jaskrawą szminką. Kobieta skręciła w ulicę i ruszyła w swoją stronę. Agent zdjął czujnik z palika i wsunął go do kieszeni. Czekał i obserwował. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieszkanie jest puste, ale poczekać nie zawadzi — tylko jego stopom i dłoniom, najwyraźniej zaniedbanym przez układ krwionośny, ta decyzja nie odpowiadała.

O dziesiątej przeszedł przez ulicę i ruszył prosto pod drzwi numeru 17a. Deszcz rozpadał się na dobre, w pobliżu nikogo nie było widać. Mike rozejrzał się na prawo i lewo, trzymając głowę opuszczoną tak, by kamera nad drzwiami nie zarejestrowała jego twarzy. Wyjął czujnik, skierował go na płytkę i nacisnął guzik „Odtwarzanie”. Urządzenie wydało z siebie krótki pisk, dokładnie taki sam jak ten, przy użyciu którego kobieta zablokowała drzwi. Mike z zadowoleniem stwierdził, że nie zawracała sobie głowy użyciem drugiego zamka. Wystarczyło tylko pchnąć drzwi i już był w środku.

Przez chwilę tkwił nieruchomo z zamkniętymi oczami, osuwając się z mrokiem. W wielu mieszkaniach w holach bez okien często montowano system alarmowy przy włącznikach światła. Jeśli intruz zapalił lampę, w najbliższym posterunku policji odzywał się alarm. Dlatego najlepiej poruszać się po omacku, w ostateczności posługując się latarką.

Otworzywszy powieki, Mike zauważył słabe, czerwone światelko nad drzwiami wejściowymi. Dostrzegał zarysy holu i część pokoju na wprost, wyglądającego na salon. Skierował się w tamtą stronę, zapalając swoją małą latareczkę MagLite.

W pokoju stały masywne, nowoczesne meble, w większości czarne, wykończone na wysoki połysk z czarno–granatowym wzorem na tapicerce. Nad kominkiem wisiał oprawiony obraz, nad którym paliła się słaba lampka. Mike podszedł bliżej i przyjrzał się płótnu. Portret nie należał do najlepszych, lecz był na tyle wierny, że Mike rozpoznał w kobiecie Erikę Stramm.

Regał na przeciwległej ścianie składał się w połowie z półek, w połowie z szuflad. Agent wziął latarkę w zęby i wyciągnął najniższą szufladę. Znajdowała się w niej blisko setka

książek, wszystkie w miękkiej oprawie, wszystkie nowe i wszystkie po angielsku — a tylko dwa tytuły: „Armageddon\* na Wschodzie” oraz „Nadużycia władzy”, oba autorstwa Eriki Stramm. W wyższej szufladzie Mike znalazł szkielet, profesjonalny sprzęt rysowniczy i kilkanaście arkuszy samoprzylepnych liter.

Najciekawsza okazała się zawartość najwyższej szuflady. Światło latarki wyłuskało plik notatek ściągniętych gumką. Mike położył je na blacie, żeby potem dokładniej je przejrzeć. Wyciągnął też książkę rachunkową i segregator pełen kwitów.

Dalej przeszukiwał zakamarki szuflady, ostrożnie odsuwając ryzę papieru za zszywacz i butelkę atramentu i nie usłyszał kroków mężczyzny, który wyszedł z sypialni przylegającej do salonu. Wolno zbliżał się do Mike'a, unosząc nad głową laskę.

Laska opadła na głowę Mike'a. Agent osunął się na kolana i położył na boku. Reakcja była instynktowna, robił to za każdym razem, ilekroć słyszał świst szybko poruszającego się twardego narzędzia. Laska rozbiła się o blat regału. Równocześnie Mike wyrzucił w górę stopy, kopiąc napastnika w plecy.

— Szto eto...?

Słychać było niezgrabne ruchy, łomot upadającego krzesła i nagle na piersi Mike'a wyładowało coś ciężkiego. Czyjeś dłonie zacisnęły się wokół jego szyi, ktoś próbował go udusić. Poczul zapach dobrej wody kolońskiej i słabą woń koniaku.

— Tylko spokojnie...

Mocowali się w ciemności, tarzając po podłodze, póki nie zatrzymali się na otwartych drzwiach. Mike rąbnął głową w policzek napastnika. Mężczyzna zawył i puścił go. Mike zerwał się na nogi, ale tamten złapał go za łydkę. Kopnął go wolną nogą, ale w chwili gdy się zamachnął, został szarpnięty za stopę, na której się opierał, i poleciał na plecy. Głową uderzył o coś twardego i przez moment nie za bardzo wiedział, co się wokół niego dzieje.

Jak przez mgłę uświadomił sobie, że mężczyzna dźwignął się na kolana i łomocze go pięściami. Mike zmusił się, żeby się podciągnąć, przyjmował ciosy na twarz i żebra. Kolejny wysiłek i już stał na nogach, złapał napastnika za włosy, a drugą ręką rąbnął go w podbrzusze. Tamten jęknął i zgiął się wpół.

Mike odwrócił się, szukając drzwi. Zauważył je, ale nie udało mu się do nich dotrzeć, gdyż w tej samej chwili cios w tył głowy powalił go na kolana. Znowu ktoś go bezlitośnie tłukł, cisnął na krzesło, a potem do niego przywiązał. Mike nie miał już siły unieść ramienia, by się bronić.

Zabłysło światło. Mike wolno podniósł głowę i zobaczył swojego przeciwnika. Mężczyzna był potężny, ubrany w niebieski podkoszulek bez rękawów i szorty, miał ogoloną głowę i nos złamany przynajmniej w trzech miejscach. Stał przy krześle, patrząc na Mike'a z taką miną, jakby chciał go jeszcze raz zdzielić.

— Cześć — odezwał się Mike.

Mężczyzna odwrócił się i wyszedł z pokoju. W chwilę potem Mike usłyszał odgłos podnoszonej słuchawki i wystukiwania numeru.

Gołębioszary lear wyjechał z hangaru i ustawił się w kolejce samolotów oczekujących na start. Malcolm Philpott oraz C.W. Whitlock byli jedynymi pasażerami na jego pokładzie.

— Podróż samolotami dyspozycyjnymi nadzwyczaj mi służy — oświadczył Philpott, moszcząc się w wygodnym fotelu lotniczym. — Jest gdzie rozprostować nogi, wszystkie udogodnienia pod ręką. — Wskazał na konsolę obok. — Magnetowid, światło do czytania... I to naprawdę dobre światło. Szczelne rolety w oknach, muzyka, a nawet

---

\* W Biblii, Apok., 16, 16, miejsce, gdzie odbędzie się ostatnia wielka bitwa między dobrem i złem, gdzie przed Dniem Sądu Ostatecznego królowie Ziemi przegrają wojnę z Bogiem; przen. wielka krwawa wojna, wielka rzeź. (Władysław Kopaliński, „Słownik mitów i tradycji kultury”, PIW, 1996 r.)

bezpośrednie połączenia z pilotem. A w trakcie posiłku obsługują człowieka z taką atencją, jak w najlepszej restauracji.

— Lubisz, kiedy cię rozpieszczają — stwierdził Whitlock.

— Oczywiście.

— Cóż za łaskawość z twojej strony, że pozwoliłeś mi skosztować tych luksusów.

Lecieli na międzynarodowe lotnisko Dallas–Fort Worth, jeden z najbardziej ruchliwych portów lotniczych na świecie, specjalnie wybrany przez Philpotta, żeby ich przylot nie zwrócił szczególnej uwagi.

— Miło by było, gdybyśmy mogli zatrzymać się w tym samym hotelu — westchnął Philpott. — Niestety, nasz scenariusz na to nie pozwala.

Whitlock wyjął z kieszeni skrawek papieru i przeczytał adres.

— Mieszkam gdzieś w pobliżu autostrady Lyndona Bainesa Johnsona. Jak daleko od ciebie to będzie?

— Dość blisko. Będę w hotelu Fairmont przy North Ackard Street, numer masz na dole kartki.

— I występujesz jako pan Beamish.

— Zgadza się, panie Tait.

Nagły ryk silników zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

Samolot ruszył naprzód, podskakując na spojeniach płyt i nabierając szybkości. Nie minęło kilka sekund, a już znajdowali się w powietrzu, huk zmienił się w przyjemny szum.

— Nadal się niepokoję, że wyjechaliśmy, nie czekając na raporty od Sabriny i Mike’a — odezwał się Whitlock. — To tak, jakby się wychodziło na scenę, nie znając roli.

— Podobno jedną z naszych zalet jest umiejętność improwizowania.

— Jasne, ale przecież nie wiemy, jak im się powiodło z tamtymi ludźmi. Improwizacja musi mieć jakieś podstawy, inaczej nie ma sensu się w nią bawić.

— Już niedługo poznamy wyniki ich spotkań. To, co Mike i Sabrina odkryją, niezależnie od tego, czy będzie to miało jakiś związek z kumplami Harolda Gibsona, czy nie, pomoże nam ustalić linię postępowania. A na razie nie będziemy marnować czasu i osobiście, na miejscu, sprawdzimy ślad wiodący do Teksasu.

— Zakładając, że takowy w ogóle istnieje.

— Jestem pewny, że tak. A nawet jeśli nie, to moim zdaniem tak warto. Wczoraj wieczorem dokładnie sobie przeanalizowałem ten paskudny, odrażający portret, jaki mi naszkicowałeś la podstawie danych z książki fanatyków. Najwyższy czas coś zrobić z Patriotami, nie uważasz?

— Jeśli w ten sposób pytasz, czy nie uważam, że należałoby kończyć z biernym przyglądaniem się działalności tych łajdaków, to tak, moim zdaniem warto by zmienić taktykę.

— A we mnie zostało jeszcze na tyle duszy agitatora, by pobić ich własną bronią.

— To znaczy?

— Zastraszając. Oczywiście tak, by to nie wyglądało na szantaż. Ale — Philpott piasnął ręką w poręcz fotela — nie chcę nam w tym momencie zaciemniać obrazu. Czuję przez skórę, że istnieje związek między środowiskiem Gibsona, morderstwem Emily Selby i jej listą Niemców. A jeśli istnieje, to musimy odkryć jego charakter i rozmiary. A także — to powiedział z naciskiem — jak już wspomniałem, przybycie do Teksasu na pogrzeb Gibsona może się okazać nadzwyczaj owocne.

Whitlock się uśmiechnął.

— Naprawdę postawiłeś sobie za punkt honoru unieszkodliwienie tych ludzi, co?

— Na podstawie czego tak sądzisz?

— Tempa, w jakim działasz. Błyskawicznie ruszyłeś do akcji. Wyjechałeś w podróż, właściwie jej nie planując.

— Przyznaję, że żywię do tej sprawy swoisty, mroczny entuzjazm. — Philpott wyjrzał przez okno i zapatrzył się na rozciągający się pod nimi Nowy Jork. — Jestem też przekonany, że to robota dla ludzi, którym polityczne ograniczenia nie wiążą rąk.

Siedem lat pracy w charakterze szefa detektywów, a potem sześć lat na stanowisku dowódcy specjalnego oddziału Scotland Yardu dały Philpottowi dogłębną znajomość ograniczeń, jakie wiążą ręce rządowym siłom porządkowym. Agenci rządowi znacznie lepiej zbierali i analizowali informacje, osiągalni też lepsze wyniki w trakcie śledztwa. Brakowało im jednak znajomości natury przestępcy, która cechuje policjantów, oraz żelaznej dyscypliny żołnierza, która każe przedkładać obowiązek nad wszystkie inne sprawy. Gliniarze i wojskowi bardziej zdawali sobie sprawę z bezwzględnych ograniczeń narzuconych przez prawo, zwłaszcza jeśli chodzi o zbieranie dowodów. Nikt im też nie dorównywał w samodzielnym wymierzaniu sprawiedliwości, kiedy władze miały związane ręce.

— Wszystko, co łączy się z faszyzmem, szczególnie mocno mnie dotyka — podjął Philpott. — Część mojej rodziny zginęła pod niemieckimi bombami, a potem dorastałem w okresie, gdy moja ojczyzna musiała się zmagać z przerażającymi trudnościami: przemysłowymi, społecznymi i socjalnymi. Ludzie w męce i bólu odbudowywali swoje życie. A wszystko to z winy nazistów. Później odwiedziłem jeszcze Bełżec i Oświęcim — Brzezinkę, gdzie zdałem sobie sprawę ze skali i zasięgu tragedii, jaka dotknęła świat za sprawą Hitlera. — Spojrzał na Whitlocka. — Każdy dzień, w którym choć w minimalnym stopniu działam na szkodę sympatyków nazistów, jest dniem dobrze wykorzystanym.

W południe wylądowali na lotnisku Dallas–Fort Worth. Philpott pojechał taksówką prosto do hotelu. Whitlock wynajął fordę i udał się do West Kingsley.

Wprowadziwszy się do pokoju, przebrał się w sportową koszulę i lekkie spodnie, po czym z drinkiem w ręku wyszedł na balkon. Pod nim rozciągał się basen i Whitlock przez pewien czas wygrzewał się na słońcu, obserwując kąpiących się ludzi. Trunek i ciepłe powietrze wpływały na niego odprężająco. Wypił kolejnego drinka, dopiero wtedy dojrzał do zatelefonowania do Carmen.

Nacisnął czwórkę na swoim telefonie komórkowym, jej numer służbowy. Po dwóch sygnałach automatyczna sekretarka poinformowała go, że żona zjawi się w pracy dopiero jutro. Zadzwoił do domu, ale i tam nikt nie odbierał. Właśnie się zastanawiał, co dalej, kiedy zadzwieczał telefon w jego pokoju. Wszedł do środka i podniósł słuchawkę.

— Słucham, Tait — odezwał się.

— Kłamczuch.

Whitlock odczekał i po raz drugi przedstawił się jako Tait.

— Już mówiłem, że kłamiesz. — Mężczyzna po drugiej stronie parsknął śmiechem. — Jak leci, C.W.?

Nagle Whitlock rozpoznał głos.

— Grundy? To Russ Grundy?

— Nie inaczej.

Grundy był wielozadaniowym agentem UNACO, który dzięki swoim rozlicznym umiejętnościom oraz posiadanemu komputerowi mógł udzielać wsparcia działającym w terenie członkom grup uderzeniowych. Do usług świadczonych przez Grundy'ego należało fotografowanie nocą, organizowanie *ad hoc* połączeń, zakładanie podsłuchów, włamania do sieci komputerowych i sabotaż. Podobnie jak czterech innych wielozadaniowych agentów UNACO, Grundy nieustannie był w akcji. W ciągu ostatnich lat on i Whitlock wielokrotnie współpracowali przy okazji różnych misji.

— Skąd wiedziałeś, że tu jestem? — spytał Whitlock.

— Bystre oko Teksasu cię wypatrzyło. Zobaczyłem ciebie i pana Philpotta na lotnisku.

— A my sądziliśmy, że nikt nas nie zauważy.

— Zawsze znajdzie się ktoś, kto zauważy. C.W., co robisz w Dallas?

— O to samo chciałem cię spytać.

— Z ramienia Komisji do Walki z Oszustwami Finansowymi Rady Bezpieczeństwa pilnuję akcji prania brudnych pieniędzy. To rzecz na skalę międzynarodową: jeny przeistaczają się w dolary, dolary w funty i marki...

— Interesujące — stwierdził Whitlock.

— Cóż, szczerze mówiąc niezbyt. Raczej nudnawe. Tym facetom zupełnie brak polotu. Na razie się przyczaili, a przynajmniej tak im się wydaje, więc nic się nie dzieje. To powiesz mi w końcu, po co tu przyjechałeś?

— Obawiam się, że nie mogę, Russ. Tylko szef mógłby ci powiedzieć. Jeśli będzie chciał.

— Cóż, w takim razie może byś mu zaproponował, żebyśmy dziś wieczorem spotkali się we trzech na drinka — podsunął Grundy. — Znam parę naprawdę dyskretnych lokali. I wtedy Philpott, gdyby nasza go ochota, mógłby mi powiedzieć, co porabiacie, a ja bym mu przypomniał, że lubię maczać palce w co ciekawszych akcjach. Dzięki temu mój pobyt w Dallas wreszcie nabrałby rumieńców.

— Załatwione, już dzwonię do starego. Jak się z tobą skontaktować?

— Co byś powiedział na to, żeby pomachać mi z balkonu? Siedzę przy basenie.

— Rozumiem, że pani przyjaciel nie mówi po angielsku — zwrócił się Mike do kobiety w budrysówce. Uznał, że zjawiała się wezwana telefonicznie przez tamtego typa.

— Zaledwie parę słów — odezwała się po angielsku z prawie niedosłyszalnym niemieckim akcentem. — Nie wiedzieć czemu, wyobraża sobie, że wszyscy mówią po rosyjsku. Ja z kolei zapewne mówię po angielsku lepiej od pana.

Stała w drzwiach salonu, zdejmując kurtkę. Była przystojną kobietą o drobnych, wyrazistych rysach. W sztucznym świetle szminka wyglądała jeszcze bardziej jaskrawo.

— Pani jest Eriką Stramm — powiedział Mike. Poruszył szczęką. Przeszył go ostry ból. Językiem przeliczył zęby. Wszystkie na miejscu. Próbował się uśmiechnąć.

— Ma pan nade mną znaczną przewagę — odparła.

— Ja bym tak tego nie określił.

Weszła do pokoju, okrążyła fotel i zatrzymała się przed Mike'em.

— Nie wygląda pan na faszystę.

— Bo nim nie jestem. Nazywam się Desmond Miles. Jestem obywatelem amerykańskim i działam w tej samej branży co pani.

— Mianowicie?

— Param się dziennikarstwem. Pisuję felietony polityczne do trzech dzienników na zachodnim wybrzeżu.

— Nie jest pan dziennikarzem. — Ruchem ręki wskazała czujnik, który leżał na regale wraz z innymi rzeczami Mike'a. — Dziennikarze nie znają się na takim sprzęcie.

— Pani najwyraźniej się zna.

— Bo ja jestem inna. — Uśmiechnęła się zimno. — Dlaczego pan się do mnie włamał?

— Chciałem się czegoś o pani dowiedzieć.

— Będzie pan musiał to uściślić. — Spojrzała na swojego goryla. — Jeśli nie, znowu napuszcę na pana Jurija. Pochodzi ze Swierdłowska. Mieszkańcy tamtych stron w razie konieczności potrafią zmienić się w prawdziwe bestie.

— Włamałem się — powiedział Mike — ponieważ musiałem się dowiedzieć, co panią łączy z grupą kryjącą się pod inicjałami JZ. — Uważnie obserwował jej twarz, ale nawet nie drgnęła jej powieka. — To ogromnie ważne. Mogę to wręcz nazwać kwestią życia i śmierci.

— Czyjej śmierci?

— Pani.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Nigdy pani nie słyszała o JZ?

— Nigdy. Wymyślił pan dość żalosalną bajeczkę.

— Nic pani nie słyszała o Emily Selby?

Uśmiech zniknął z twarzy Eriki.

— A o co chodzi?

— Więc przyznaje pani, że ją zna?

— Dość tego. — Jej głos nabrał ostrego brzmienia. — Niech pan mówi, co ma do powiedzenia. Dość tej zabawy w chowanego.

— Emily Selby nie żyje. Wie pani o tym?

Wpatrywała się w niego wstrząśnięta.

— To kłamstwo!

Mike zastanawiał się, co przedostało się do publicznej wiadomości. Najwyraźniej niewiele. W angielskiej prasie ukazała się informacja o zabiciu amerykańskiej turystki. Nie podano nazwiska. Dzięki naciskom politycznym następnego dnia historię ograniczono do krótkiej notki na drugiej stronie, a trzeciego dnia sprawa poszła w zapomnienie.

— Emily zastrzelono w Londynie ładnych parę dni temu — Wyjaśnił Mike. — Morderca był Arabem. Zabił się wkrótce po dokonaniu zamachu.

W tej samej chwili wydarzyło się coś interesującego. Bez żadnego wyraźnego powodu Erika spojrzała w drugi koniec pokoju. Trwało to ułamek sekundy, ale żeby to zrobić, musiała przekreślić głowę. Gest zdawał się mimowolny, w końcu nie powinna spuszczać z niego wzroku. Mike domyślił się, że patrzyła na coś związanego z tym, co przed chwilą usłyszała. Poszedł za jej wzrokiem, ale zobaczył tylko zawieszony na ścianie głośnik odtwarzacza kompaktowego i proste, czarne krzesło.

— Łatwo będzie to sprawdzić — powiedziała Erika.

— Proszę uprzejmie.

Wyszła z pokoju. Jurij został na swoim miejscu, łypiąc koso na Mike'a. Z drugiego pomieszczenia dobiegł odgłos połączenia modemowego. Po kilku minutach Erika wróciła do salonu. Twarz miała poszarzałą.

— Emily nie żyje — przemówiła cicho. — Nic o tym nie wiedziałam. — Spojrzała na Mike'a. — Mówił pan, że to był Arab.

— Na to wygląda.

— W jaki sposób odkrył pan związek między mną a Emily?

— Z pewnych źródeł. Nie mogę ich ujawniać.

— Mogłabym pana do tego zmusić — postraszyła Erika, lecz wyglądała na zbyt przybitą, żeby spełnić groźbę. — Dlaczego pan pyta o te inicjały?

— W torebce Emily znaleziono zdjęcie grupy ludzi zebranych wokół sztandaru z literami JZ.

— Jak pan się o tym dowiedział?

— Po prostu się dowiedziałem. Skąd pani ją знаła?

— Przyjaźniłyśmy się.

Erika pomasaowała skronie. Mruknęła do Jurija coś po rosyjsku. Goryl podniósł się z kozetki, popatrzył groźnie na Mike'a i wyszedł.

— Więc przyjechał pan tu w poszukiwaniu materiału do artykułu.

— O pani. Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o pani, o pani związku, hipotetycznym rzecz jasna, z morderstwem Emily.

Erika przez dłuższą chwilę tkwiła bez ruchu, wpatrzona w podłogę.

— Mogłabym pana załatwić. Nie minęłyby godzina, a pana ciało posiekałaby śmieciara. Wieczorem pana resztki stałyby się lupem padlinożerców.

— Wierzę pani.

Podeszła do krzesła, zatrzymała się przed Mike'em.

— Mogłam się dowiedzieć o śmierci Emily w jeszcze gorszy sposób. — Zaczęła rozwiązywać sznur, który kępował ramiona Mike'a. — Nie daruję panu tego włamania, ale w tym momencie po prostu nie mam ochoty na zemstę. — Jej dłonie znieruchomiały. — Niech pan weźmie poważnie to ostrzeżenie: puszczanie wolno zwykle nie jest w moim stylu. I tych pierdoł o kwestii życia i śmierci też panu nie daruję.

— To może być prawda.

— Nawet jeśli tak, guzik to pana obchodzi. Pan myśli wyłącznie o swoim artykule. Sprawdziłam pana dane. Uganiam się pan za sensacją, nie licząc się z ludźmi.

W pierwszym momencie jej nie zrozumiał, ale szybko zaskoczył. Modem. Zajrzała do Internetu, żeby go sprawdzić. UNACO nieustannie aktualizowało dane dotyczące przebiegu jego kariery dziennikarskiej. Tak samo i praktyki lekarskiej, prawniczej, życiorysu jako urzędnika Departamentu Skarbu oraz czterech innych, równie starannie dopracowanych wcieleń prezentowanych łącznie ze zdjęciem.

— Już. — Erika zwinęła sznur i pomogła Mike'owi wstać. — Niech się pan uważa za wyjątkowego szczęściarza, panie Miles. — Wzięła jego latarkę, zestaw narzędzi i czujnik. —



Usunęłam z pana maszynki mój kod otwierający drzwi, ale jej nie zniszczyłam. Potrafię docenić sprzęt wysokiej klasy, nawet jeśli się go używa przeciwko mnie.

— Dziękuję.

Erika odprowadziła Mike'a do drzwi.

— Nie znajdzie pan tu żadnego materiału. A przynajmniej nie takiego, na jaki pan liczył.

— Może pani grozić niebezpieczeństwo — powiedział, kiedy otworzyła drzwi. — Wiem, że pani nie wierzy w moją troskę, ale naprawdę bardzo się niepokoję, kiedy na scenę wkraczają uzbrojeni Arabowie.

— Nie wiem, co było przyczyną śmierci Emily, ale z całą pewnością to nie miało żadnego związku ze mną. — Erika starała się mówić obojętnie, lecz nadal wyglądała na wstrząśniętą. — Powodzenia przy następnym artykule. I proszę przyjąć poważne ostrzeżenie: jeśli znów spróbuje się pan wtrącać w moje sprawy, nie ujdzie to panu na sucho. Co więcej, może nawet nie ujdzie pan z życiem.

Mike zszedł po schodach. Na chodniku obejrzał się w stronę drzwi. Nadal w nich stała. Pomachał jej i ruszył w swoją drogę.

Pół kilometra dalej skręcił z drogi i wrócił do parku. Zasłonięty przez drzewa i krzaki kierował się ku Scharweber Strasse. Palik stał tam, gdzie go zostawił. Ponownie osadził na nim czujnik, nastawiając wizjer na płytkę zamka drzwi pod numerem 17a. Potem usiadł i czekał.

O piątej rano czasu środkowoamerykańskiego C.W. Whitlock wstał, wziął prysznic, ogolił się i ubrał. Śniadanie przyniesiono mu do pokoju za piętnaście szósta.

Zjadłszy, położył na stole swojego macintosha i połączył go kablem z aparatem telefonicznym na ścianie. Kiedy wystukał numer ONZ i podał hasło, umożliwiające zajrzenie do poczty UNACO, na ekranie pojawiła się zamknięta kasetka. Wprowadził swoje hasło i pokrywa kasetki się uchyliła. W „dymku” widniała informacja, że zostawiono dla niego dwie wiadomości. Zajrzał do pierwszej.

Na ekranie zobaczył faks na papierze firmowym FBI. Pochodził on od agenta specjalnego Tima Webstera, który potwierdzał, że w trybie pilnym sprawdza się, jakie interesy i kontakty towarzyskie mogą łączyć Harolda Gibsona, Dona Chadwicka oraz Emeretta Pearce'a; wszelkie znaczące informacje zostaną przekazane pod ten adres najpóźniej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od daty podanej na piśmie.

Drugi list przyszedł z centrali ICON w Zurychu. Zaadresowano go do „wszystkich zainteresowanych w agencji”.

Odnutowano trzecią próbę przełamania programu ochrony bazy danych ICON. Doszło do niej dwudziestego pierwszego marca 1996 roku o szesnastej siedemnaście czasu środkowoeuropejskiego. Pliki odbezpieczono na tysięczną część sekundy, zanim włączyła się automatyczna blokada danych. Nie ulega wątpliwości, że choć ten okres był bardzo krótki, to można było przekopiować znaczną część danych przy użyciu skonstruowanego niedawno ultraszybkiego przechwytywacza danych, który wkrótce ma być sprzedawany przez kalifornijską firmę Preceptor Systems. Szacuje się, że w ciągu najbliższych dni, co najwyżej tygodnia, Andreas Wolff powinien zakończyć testowanie nowej generacji zabezpieczeń ICON-u. Po ich wprowadzeniu program będzie znowu na pewien czas całkowicie chroniony przed kradzieżą danych.

Whitlock wyjął swój telefon komórkowy i zadzwonił do philpotta, w Fairmont. Dyrektor odebrał natychmiast.

— Sprawiasz wrażenie całkiem rześkiego mimo upiornej pory — odezwał się Whitlock.

— To zasługa tutejszego powietrza. Nie sposób usiedzieć w miejscu. Nie mógłbym tu mieszkać na stałe. Po roku całkiem bym się wypalił. Co się stało?

Whitlock przeczytał mu pismo z Zurychu.

— Rzeczywiście, poważna sprawa. Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby ICON padł. Możesz się skontaktować z Mike'em?

— Jeśli jest w trakcie akcji, to będzie miał wyłączony telefon. Mogę mu zostawić wiadomość w jego skrzynce na listy. Zagląda do niej dwa razy dziennie, kiedy tylko dorwie się do komputera.

— Daj mu znać, co się stało. Jak załatwi sprawę w Berlinie, każ mu szybko zbierać się do Wiednia i osobiście pilnować bezpieczeństwa Andreasa Wolffa.

— Wiednia?

— Wolff pracuje tam nad oprogramowaniem ICON-u. Ma sentyment do Wiednia, bo tam wymyślił pierwsze systemy ochrony danych. Adres jest w moim notesie. Zadzwoń do biura, to ci go dadzą.

— A kto ochrania Wolffa?

— Austriacka policja, dasz wiarę? — westchnął Philpott. — Jest ich obywatelem, skarbem narodowym, więc upierają się, że troska o jego bezpieczeństwo to ich zaszczytny obowiązek. Problem w tym, że choć mają o sobie wysokie mniemanie, nie są zbyt na bieżąco z działalnością antyterrorystyczną.

— Moglibyśmy i tak posłać kogoś od nas.

— Wiem, ale najpierw spróbujmy dyplomacji. Nie chciałbym nadepnąć jakiegoś Austriakowi na odcisk, póki nie będzie wyraźnego sygnału, że Wolffowi coś grozi. Dlatego zagoń do tego Mike'a. Powiedz, że ma wolną rękę, nich się rozejrzy w sytuacji, a w razie problemów osobiście zajmę się sprawą — urwał, po czym dodał: — Albo ty, jeśli ja będę akurat zajęty.

— Doskonale.

— Coś jeszcze?

— Nic ważnego. FBI uznało szczegółowe przebadanie Gibsona, Chadwicka i Pearce'a za sprawę priorytetową. A poza tym boli mnie głowa. Podejrzewam, że to sprawka piwa w tej speluncie, do której wczoraj zabrał nas Russ Grundy.

— Ja tam niczego nie czuję. Połknij aspirynę albo wypróbuj jeden ze sposobów, do których zwykle się uciekasz w takich sytuacjach, a potem się przygotuj do wielkiej gali.

Whitlock zastanawiał się przez chwilę.

— Pogrzeb — uświadomił sobie. — Tak wcześniej wstałem, że wydawało mi się, że to dopiero jutro.

— Nie zapomniałeś swojej roli?

— Oczywiście, że nie. — Whitlock zerknął na czarny krawat i aparat fotograficzny Nikon, dyndający na oparciu krzesła przy drzwiach balkonowych. — Mam rekwizyty, mam motywację, jeśli będę jeszcze czegoś potrzebował, dam ci znać.

— Doskonale. Skontaktuję się z tobą w ciągu dnia. Powodzenia.

— Dzięki — odparł C.W. — Módl się, żeby mnie nie zlinczowali, dobrze?

Było już po pierwszej, kiedy wreszcie otworzyły się drzwi mieszkania przy Scharweber Strasse 17a i wynurzyła się Erika Stramm. Tym razem towarzyszył jej Jurij. Zamknęła drzwi kluczem ultradźwiękowym i poszli pieszo, kierując się na północ.

Mike odczekał pięć minut, wyprostował się, wytarł wilgotną plamę na ubraniu, zdjął czujnik z palika i przeszedł na drugą stronę ulicy. Tym razem od razu po wejściu do mieszkania zapalił światło i ruszył prosto do sypialni.

Głośnik, zawieszony na ścianie, w miejscu, na które spojrzała Erika, był mocno przykręcony. Przedniej płyty nie dało się zdjąć, Mike nie zauważył też luki między obudową a ścianą. Ścisnął kolumnę w obu rękach i próbował nią delikatnie potrząsnąć. Głośnik ani drgnął.

Mike wyjął latarkę, wyłuskał baterie i z całej siły nią potrząsnął. Na otwartą dłoń wypadł mały aparat ultradźwiękowy. Agent cofnął się, kierując go w stronę głośnika i krzesła. Po chwili urządzenie zawyło. Przysunął je w stronę kolumny i ton się podwyższył. Opadał w pobliżu oparcia krzesła. Mike zbadał miejsce między głośnikiem a krzesłem — nie działo się nic. Żadnego sygnału, że coś tam zostało ukryte.

Ukląkł i przyłożył urządzenie do podłogi. Potem wolniutko podnosił je wyżej. Gdy znalazło się na wysokości siedzenia krzesła, zapiszczało, wydając charakterystyczny, krótki dźwięk o bardzo wysokiej częstotliwości. Mike przysunął się do krzesła i poprowadził wykrywacz w górę. Znowu zapiszczało. Trzecia próba, z przodu krzesła, na wysokości siedzenia, zakończyła się jeszcze wyraźniejszym sygnałem. Musiano tam schować coś niezwykłego. Gdzieś w okolicach miękkiego siedzenia.

Obmacał je, sprawdził boki, tył, pod spodem.

— Aha...

Coś gładkiego z twardymi rogami. Mike powiódł palcami po spodzie poduszki i namacał zatrzask. Otworzył skrytkę i coś spadło na podłogę. Dyskietka.

Komputer znajdował się w pokoiku przy łazience. Był włączony. Mike usiadł i włożył dyskietkę. Po chwili na ekranie pojawił się napis: Otwieram archiwum.

Erika Stramm najwyraźniej przepadała za elektronicznymi zabawkami. Dyskietka służyła do otwierania katalogów na twardym dysku. Mike kliknął w znak archiwum i zobaczył rząd dziesięciu różnokolorowych zbiorów. Jeden natychmiast rzucił mu się w oczy: *JZ: Verfassung und Zielen*.

Wszedł w plik. Miał tylko dziesięć stron. Mike zamknął zbiór i poszukał na twardym dysku programu do kompresji. Znalazł, zrobił kopię dokumentu i zapakował ją. Wyszedł ze zbioru i wystukał numer ONZ. Następnie wprowadził hasło, otwierające pocztę UNACO. Pojawił się rysunek skrzynki, Mike wpisał swoje hasło. Pokrywa się uchylila i zjawiła się informacja, że jest do niego wiadomość.

Graham zaadresował skompresowany plik JZ do C.W. Whitlocka i wysłał. Zbiór dotarł do adresata po niecałych dwudziestu sekundach. Wtedy Mike sprawdził, co za wiadomość na niego czeka. Pochodziła od Whitlocka. Przeczytał, jęknął, przeczytał jeszcze raz i nauczył się na pamięć podanego na końcu adresu.

Usunął z pamięci komputera ślady wykonanych przez siebie czynności. Przed wyjściem z mieszkania odłożył do skrytki dyskietkę i zgasił światło.

W drzwiach się zawahał. Ogarnęło go przemożne pragnienie zostawienia śladu po swej wizycie. Jak zwykle zapanował nad nim i wyszedł.

Cmentarz Lodge Hill wyglądał zupełnie jak pole golfowe. Dęby, smukłe cyprysy i wierzby płaczące posadzono w starannie zakomponowanych grupach na rozległym, pofałdowanym terenie poprzecinanym rzędami kamieni nagrobnych z marmuru, piaskowca i granitu. Po wypielęgnowanym trawniku biegł chodnik z ciemnoczerwonej kostki, obok szersze, lśniąco czernią asfaltu drogi przeznaczone dla konduktów pogrzebowych.

Ceremonia pogrzebowa Harolda Gibsona odbywała się w sektorze dziewiątym, w południowo — zachodniej części cmentarza, w pobliżu bujnej wierzby, którą zasiał wiatr jakieś dwadzieścia lat temu. Nad otwartym grobem stał srebrzysto-czarny katafalk, wokół zgromadziło się przeszło sześćdziesięciu żałobników w ciemnych strojach.

— „A człowiek kroczy w ciemnościach i krząta się na próżno” — czytał pastor z modlitewnika o fioletowych krawędziach. — „I próżno gromadzi bogactwo swoje, bo nie wie, kto je po nim odziedziczy. O Panie, co jest mą nadzieją? Moja, jedyna nadzieja jest w Tobie”.

Wdowa Ginny, drobna, pulchna kobieta o ogniście rudych włosach, stała przyciskając do ust chusteczkę, a ciepły wiatr targał połami czarnego, jedwabnego płaszcza. W pobliżu niej, ale trochę z boku wobec reszty żałobników zgromadziło się ośmiu czy dziewięciu ponurych mężczyzn, którzy wpatrywali się w trumnę, jakby mogła im coś powiedzieć. Tuż za nimi czuwała w zwartym szyku grupa ochroniarzy rozpoznawalnych na pierwszy rzut oka: nieustannie obracali głowami na boki, wypatrując czegoś podejrzanego, a za ciasne, białe kołnierzyki wrzynały się w grube karki.

Jeden z ponurych mężczyzn, Don Chadwick, krępy, przysadzisty, o małych oczkach, trącił wyższego sąsiada.

— Kto to jest? — spytał go.

Emerett Pearce ostrożnie rozejrzał się wkoło.

— Gdzie?

— Tam, po prawej — wyjaśnił Don.

Pearce spojrział w tamtym kierunku i zobaczył, jak Malcolm Philpott w czarnym garniturze przyłącza się dyskretnie do grupy i przesuwając bliżej Ginny Gibson.

Pearce zacisnął wargi, tak że ich ruch nie był widoczny, kiedy się znów odezwał.

— A skąd mam to wiedzieć?

— Na pewno nie jest przyjacielem rodziny.

— Mów ciszej.

Pastor zbliżał się do końca modlitw, a trumnę już przygotowano do opuszczenia. Podniósł głos, żeby skorzystać z akustyki w tej części cmentarza, dobrej, jeśli mówiło się dostatecznie głośno. Gdy na chwilę przerwał, by zaczerpnąć powietrza, w ciszy dało się słyszeć powtarzający się trzask zwalnianej migawki aparatu fotograficznego. Ludzie odwrócili głowy w tym kierunku, na wzgórze za miejscem, w którym modlił się pastor. Stał tam C.W. Whitlock w wytwornym, szarym garniturze i czarnym krawacie. Robił zdjęcia żałobnikom, wyciskając z aparatu ostatnie poty, bo nie zdejmował palca z wyzwalacza migawki.

— On mnie wyprowadza z równowagi — oświadczył wreszcie Don Chadwick. — Po wszystkim natychmiast sprawdzę, co on, u licha, tu wyprawia.

Żałobnicy szeptali między sobą. Mężczyźni popatrzyli po sobie, marszcząc brwi i potrząsając głowami. Malcolm Philpott przysunął się do Dona.

— Pan Chadwick? — szepnął.

Chadwick zmierzył go wrogim spojrzeniem

— Proszę mi wybaczyć, że w takiej chwili...

— O co chodzi?

— Nazywam się Beamish, przedstawię się bardziej odpowiednio po nabożeństwie, ale teraz chciałam tylko powiedzieć, że słyszałam pańskie słowa i rozumiem ten niepokój. Mogę panu wyjaśnić, kim jest tamten człowiek. — Wskazał na Whitlocka, który dalej robił zdjęcia. — Jest dziennikarzem. Twierdzi, że zdemaskuje wszystkie machinacje, które kryją się za osobą Harolda Gibsona.

— Co takiego?!

— Na pana miejscu nie zaczepiałbym go publicznie. To tylko sugestia, ale oparta na moich doświadczeniach w kontaktach z tym mężczyzną.

— Rozumiem.

Philpott wrócił na poprzednie miejsce w grupie za Donem. Pastor znów przerwał, by przełknąć ślinę. Uniósł dłoń w górę, ku niebu.

— Och, daj mi odpocząć, bym odzyskał siły, nim zniknę, szczepnę i nie pozostanie najmniejszy ślad po mnie — podjął. Wdowa wydała zduszony pisk i otarła oczy chusteczką. — Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu. Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen.

Zbliżyli się pomocnicy przedsiębiorcy pogrzebowego w ciemnych surdutach, czarnych, skórzanych rękawiczkach i sprawnym ruchem opuścili lśniące blokady na bokach katafalku. Trumna wolno się pochyliła i zgrabnie zsunęła z lekkiej ramy, opadając na brzeg grobu. Ginny załkała.

Whitlock przestał robić zdjęcia i wolno zdjął z szyi pasek od aparatu, przewiesił go na ramię, postać minutę patrząc na żałobników nad grobem, a potem odwrócił się i zszedł ze wzgórza, kierując się w stronę gęstej grupy drzew we wschodniej części cmentarza.

Chadwick odprowadził go wzrokiem. Odwrócił się i spojrzał na Philpotta, który zamknął oczy i złożył ręce wsłuchany w słowa pastora.

— Zbawco, sprawiedliwy Sędzio i Strózu wieczności, w tej ostatniej godzinie nie pozwól nam cierpieć bólu wiecznej śmierci, utraty Twojej łaski.

Trumna drgnęła, a potem wolno zjechała do grobu. Ginny łkała w mokrą od łez chusteczkę. Kobieta stojąca obok niej wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia, ale wdowa strąciła dłoń gwałtownym ruchem. Podeszła na skraj grobu i patrzyła, aż trumna sięgnęła dna. Wtedy odwróciła się do pastora, na jej twarzy malowała się rozpacz.

— Co ja bez niego pocznę?

Pastor najwyraźniej nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wziął garść ziemi z łopaty podsunętej przez pomocnika i cisnął do grobu. Uderzyła w trumnę z dudniącym dźwiękiem niczym bicie w bęben.

— Błagając Boga Wszechmogącego, by ulitował się nad duszą naszego brata, powierzamy jego ciało ziemi.

— Spalony i pochowany — szepnął Don Chadwick, uśmiechając się lekko. — Harold był zawsze ekstrawagancki.

Nabożeństwo się skończyło i żałobnicy rozeszli się w stronę samochodów. Don Chadwick i Emerett Pearce przecięli chodnik i poszli na skróty między drzewami do głównej drogi, przy której stał zaparkowany bentley Chadwicka. Szofer, Portorykańczyk, otworzył drzwi samochodu. Właściciel pozwolił wsiąść Emerettowi, po czym zatrzymał się w pół ruchu.

— A cóż to znowu? — spytał, patrząc na drogę za samochodem.

— To on, prawda? Ten facet, który cię zahaczył? — Pearce spojrzał przez tylną szybę.

— Taa — mruknął Chadwick i poczekał, aż Philpott znajdzie się w zasięgu głosu. Wtedy zawołał: — Może pana podwieźć?

Philpott przyspieszył kroku i gdy znalazł się przy Donie, ciężko dyszał.

— Bardzo dziękuję — wysapał. — Miałem nadzieję, że panów złapię przez odjazd z cmentarza.

— Jedzie pan do domu Gibsona?

- Nie wiem, czy to byłoby właściwe.
- Ginny urządziła typową, zenującą stypę z drinkami i zakąskami.
- Chyba mógłbym zajrzeć, żeby złożyć kondolencje.

— Na pewno to doceni — rzucił Don, odsuwając się od samochodu. — Proszę wsiadać.

Zajęli miejsca na tylnym siedzeniu. Przez kilka minut jechali w milczeniu. Philpott udawał, że potrzebuje czasu na złapanie oddechu, pozostali dwaj starali się zachowywać stosownie do okoliczności. Gdy wreszcie Philpott oddychał równo, Chadwick nacisnął guzik w podpórce na rękę i wysunęła się szklana szyba oddzielająca ich od kierowcy.

— A więc panie...

— Beamish — podsunął Philpott. — Derek Beamish.

Chadwick przedstawił Emeretta Pearce'a. Kiedy wymienili uściski dłoni, Don rozsiadł się wygodnie, zaplatając ręce na wydatnym brzuchu.

Czy mogę zapytać prosto z mostu, skąd pan wie, kim jestem?

— Znam pana ze słyszenia — oparł Philpott. — W Europie wielu naśladuje pańskie metody handlu ziemią. Na pewno pan o tym wie.

— Obiło mi się o uszy. — Don się uśmiechnął.

— I oczywiście pańska monografia na temat struktury małego przedsiębiorstwa „Przetrwac dzięki sile” stanowi kamień milowy w pisarstwie o biznesie.

— Dziękuję za komplementy. — Chadwick wyraźnie się rozluźnił. — A pan czym się zajmuje?

— Och... — Philpott pogardliwie machnął ręką. — Zasiadam w zarządach paru firm w Anglii i tutaj. Udaje mi się w miarę pożytecznie korzystać z doświadczenia i kontaktów, które zdobyłem w trakcie kariery politycznej. Oddaję je do dyspozycji firm, którym służę.

— Polityka? — W głosie Chadwicka zabrzmiał chłód. — To znaczy że jest pan zawodowym politykiem?

— Tak, posłem.

Zrobiło to wrażenie na Chadwicku i Pearsie.

— Czy mogę wiedzieć z ramienia której partii? — spytał Emerett.

— Och, konserwatywnej. Przez całe życie byłem konserwatystą. Chociaż muszę przyznać, że smuci mnie zwrot na lewo, który dokonuje się w partii od kilku lat. — Uśmiechnął się kwaśno. — Mało brakowało, a w ostatnich wyborach w ogóle bym nie głosował.

— Jak rozumiem, znał pan Harolda Gibsona?

— Tak, ze słyszenia. Powiedzmy, że łączyły nas te same zainteresowania. Jego poglądy na pewne zagadnienia społeczne w wielu punktach zgadzały się z moimi.

— Był porządnym człowiekiem — stwierdził Pearce. — I nie mówię tego dlatego, że razem z nim i Donem założyliśmy firmę. Harold Gibson miał wizję i wystarczyło mu odwagi, by wprowadzić w czyn swoje idee.

— Będzie go nam brakowało — oświadczył Philpott.

— A więc — Chadwick trącił go kciukiem w ramię — kim był ten facet z aparatem?

Philpott zrobił minę, jakby zapytano go o coś obrzydliwego.

— Nazywa się Jonah Tait — odpowiedział. — Jest dziennikarzem i wydawcą z Nowego Jorku.

— Co takiego wydaje?

— Książki, jedno, może dwa czasopisma. Wprawdzie to dziwak, ale bez wątpienia ma zwolenników.

Limuzyna łagodnie skręciła w długi, wznoszący się miękko podjazd. Kierowca zwolnił i zgrabnie ominął parę samochodów zaparkowanych chaotycznie przed frontem dużego, różowo — białego domu. Chadwick znów nacisnął guzik i szklana tafla zjechała w dół.

— Zatrzymaj się pod drzewami — nakazał szoferowi. — Nie chcę, żeby któryś z tych ciemiągów, podpiwszy sobie, zadrapał mi lakier.

Wysiedli i za grupą nowo przybyłych żałobników weszli do środka. W długim salonie, na podłodze którego leżał błękitny dywan, blisko siedemdziesiąt osób stało w małych grupkach, rozmawiając przyciszonymi głosami, kiwając głowami i biorąc jedzenie oraz napoje ze stołu ciągnącego się przez całą długość pokoju. Kelnerzy przesuwali się bezgłośnie, zbierając brudne kieliszki i donosząc brakujące dania.

Philpott podszedł do wdowy królującej na wielkim fotelu w rogu salonu, gdzie otaczała ją grupa zapłakanych kobiet.

— Pani Gibson. — Philpott skłonił się, mierząc ją smutnym spojrzeniem. — Nazywam się Derek Beamish i nie sądzę, by mnie pani знаła. Nie ośmielę się długo zakłócać pani spokoju, powiem tylko, jak bardzo współczuję pani po stracie nieodżałowanej pamięci męża.

GINNY podziękowała mu szeptem. Wyciągnęła dłoń, uściskał ją ceremonialnie, jeszcze raz się skłonił i odszedł poszukać czegoś do picia. Właśnie sączył białe wino, gdy Chadwick i Pearce odnaleźli go.

— Mówił pan o tym dziennikarzu — odezwał się Don.

— Jonah Tait.

— Robi coś na temat śmierci Harolda?

— No więc... — Philpott zmarszczył brwi. — O ile wiem, to chce ni mniej, ni więcej napisać książkę. Demaskatorską, planuje, aby tragiczny zgon stał się pretekstem do analizy sposobu życia pana Gibsona, jego metod działania w interesach, związków z innymi biznesmenami, finansowych powiązań z pewnymi organizacjami niechętnymi Żydom oraz innym, wysoce irytującym, mniejszościom. Pan Tait powiedział, że ofiaruje społeczeństwu swoją książkę jako remedium na ludzi pokroju Harolda Gibsona.

— Remedium... — Pearce wyraźnie zeszywniał, powtarzając to słowo. Pochylił się, by zwrócić się bezpośrednio do Philpotta. — Jakie remedium? Cóż on takiego radzi?

— Zwykle socjalistyczne brednie wałkowane z typowym ogniem i entuzjazmem.

— Ale mimo wszystko uważa go pan za niebezpiecznego?

— Dostyc, bo jak wspominałem, ma zwolenników. Nie neguję jego umiejętności w przedstawianiu i dowodzeniu tez. Ma zdolności i umie przemówić do tłumów.

— Chyba nie jest pan jego wielbicielem? — spytał Pearce.

— Wręcz przeciwnie, ale oplaca się rozsądnie ocenić możliwości wroga. Ostatnio zajął się montowaniem kampanii. Mój znajomy słyszał, jak o tym mówił w czasie przyjęcia w Nowym Jorku, zaledwie tydzień temu. — Philpott popatrzył w głąb pokoju. — Będę z panami szczerzy. Kampania Jonaha Taita to jeden z powodów, dla których przyjechałem do Teksasu.

— Wiedział pan, że będzie na cmentarzu? — zapytał Chadwick.

— Wprawdzie nie spodziewałem się jego obecności, ale też nie zdziwiłem się na jego widok.

— Dlaczego pan nie chciał, żebym się nim zajął?

— Ma wyjątkową umiejętność przemieniania uprawnionej i pokojowej konfrontacji w rasistowski atak.

— Na czym ma polegać ta kampania?

— Jego zdaniem pikantne historyjki dobrze się sprzedają. Pozbiera, ile znajdzie tutaj, i wróci z tym do Nowego Jorku. Kiedy zdoła tak zmanipulować informacjami, żeby dowiodły jego tez, skorzysta z nich do promocji kolejnej książki.

— Rzeczywiście niebezpieczne — przyznał Pearce.

Przez dłuższą chwilę mężczyźni sączyli napoje i patrzyli na siebie.

— Czy może nam pan o tym więcej opowiedzieć, panie Beamish? — odezwał się w końcu Chadwick.

— Wszystko, co wiem.

— A skoro jesteśmy przy tym temacie, to może wyjaśni nam pan, dlaczego zainteresowanie planami Taita przywiodło pana do Teksasu?

— Z przyjemnością — odparł Philpott. — Proszę mi mówić po imieniu. Dla przyjaciół jestem Derek.



Whitlock dwukrotnie zapukał do drzwi pokoju hotelowego i Philpott wpuścił go do środka.

— Ktoś cię widział?

— Rozczarowałeś mnie tym pytaniem — odparł Whitlock, zdejmując okulary przeciwsłoneczne. — Łaziłem po całym hotelu, zajrzałem do wszystkich sklepów, nawet wypilem colę w barze. Nikt za mną nie szedł. I jak poszło na stypie?

— Ryba złapała haczyk.

Usiedli na fotelach umieszczonych przy niskim stoliku z marmurowym blatem. Whitlock wyjął z kieszeni plik kartek i położył je przed sobą.

— Kiedy wróciłem po południu z cmentarza, czekała na mnie poczta elektroniczna — wyjaśnił. — Jest raport Sabriny przesłany za pośrednictwem twojej sekretarki, która najwyraźniej nie wie, gdzie jesteś.

— Poleciałem moim podwładnym, aby wszelkie ważne informacje przekazywali mi za twoim pośrednictwem. Żeby ich zmusić do wykonania polecenia, nie zostawiłem im własnego adresu. — Philpott zamieszał napój w szklance. — Oczywiście możesz uznać, że w ten sposób przyznaję, że nie chcę brać na siebie dodatkowej odpowiedzialności, kiedy tylko mogę tego uniknąć.

— No, jasne jak słońce. — Whitlock wyjął notes i otworzył w miejscu zaznaczonym zakładką. — Sabrina odwaliła kawał dobrej roboty. Streszczając jej raport, owo JZ to skrót od Juli Zwanzig. Zaraz do tego wrócę. Ustaliła również, że Amerykanin, najprawdopodobniej Harold Gibson, wynajął zamachowca, Jakuba Hishama, aby zamordował Emily Selby. — Postukał palcem w papiery leżące na stole. — Masz tu wydruk całości.

— A więc człowiek, który nienawidzi Arabów równie mocno jak Murzynów i Żydów, wynajmuje Araba?

— Tak, na to wygląda.

— Co jeszcze?

— Plik komputerowy po niemiecku, przysłany przez Mike'a Grahama. Masz tu pobieżny przekład. Sabrina zrobiłaby to porządniej, ale zrozumiesz główne fakty. Trafił na kopalnię informacji.

— Streść mi najważniejsze rzeczy.

— Plik zawiera konstytucję oraz cele działania Juli Zwanzig.

— To oznacza dwudziesty lipca?

— Bardzo dobrze. W skład grupy wchodzi kobiety i mężczyźni, sami Żydzi, a ich celem jest zniszczenie głęboko zakonspirowanej organizacji zwanej Jugend von Siegfried, czyli Młódź Zygryda. Sprawdziłem w CIA, nie ma nic na ten temat, a więc znaleźliśmy rzeczywiście bardzo głęboko zakonspirowaną organizację.

— Czy jej członkowie są bardzo młodzi?

— Wcale nie są młodzi, a przynajmniej już nie teraz. Tworzyli ostatni oddział Hitlerjugend, który zaprzysiął sam Führer na parę dni przed kapitulacją Berlina. Kiedy Hitler przemawiał do nich na ulicy przy swoim bunkrze, powiedział, że są wcieleniem Zygryda, więc później przyjęli to imię.

— A mężczyźni na liście Emily są tymi, którzy pozostali z tej grupy.

— Znowu zgadłeś. Poświęciła sporą część życia, żeby zebrać te informacje. Ci ludzie przysięgli, że będą czcić pamięć Adolfa Hitlera i na wszelkie sposoby niszczyć Żydów. Dzięki specjalnym funduszom i innym finansowym zabezpieczeniom wychowanie i wykształcenie chłopców zostało hojnie opłacone.

— I udało im się przeżyć połowę dwudziestego wieku, nie zostawiając śladów. Dowód niezwykle umiejętnego i dalekowzrocznego planowania.

— Zastosowano liczne zasłony dymne — wyjaśnił Whitlock. — Ci sami ludzie, którzy otwierali drogi ucieczki dla dorosłych nazistów, równocześnie kryli Jugend von Siegfried przed okiem ciekawskich. Chłopcy zostali wychowani i wykształceni razem, w wielkiej tajemnicy byli przenoszeni z miejsca na miejsce w Szwajcarii.

— Zawsze mieszkali razem?

— Tak, i ta więź przetrwała, gdy dorośli. Żadne oficjalne akta tego nie wykazują. Podobnie jak inni Niemcy, którzy byli dziećmi w czasie wojny, niektórzy z nich mają dokumenty dotyczące wczesnego dzieciństwa, a pozostali nie. Część została adoptowana, inni rośli w rodzinach zastępczych, ale to starannie sfabrykowana bajeczka. Byli razem, aż przyszedł czas, by znaleźli się w społeczeństwie, a wtedy zrobili kariery zawodowe wedle wcześniej przygotowanych etapów.

— Czy spełnili nadzieje, które pokładał w nich Hitler?

— Z materiałów, które przysłał Mike, wynika, że Młódź Zygfyda jest teraz solidnie osadzoną, tajną organizacją, która systematycznie eliminuje Żydów i żydowskie przedsięwzięcia.

— Zatem, jak sądzę, JZ postawiło sobie za cel starcie w proch niemieckich miłośników Zygfyda.

— Z całą pewnością. To mała grupa amatorów, ale są całkowicie oddani sprawie.

— Jak to się łączy z Emily Selby?

— Przez jej ojca. Johannes Lustiga. Organizacja powstała, by kontynuować jego dzieło. Był naukowcem i zagorzałym syjonistą, spędził jedenaście lat spisując dzieje, jak ich nazywał, „innych potworów Hitlera”, zbrodniarzy, o których mało wiadomo i rzadko się o nich słyszy. W czasie wojny do ich grona należeli Kultur Büroangestellter. To byli urzędnicy z działów kultury, niżsi rangą esesmani, którzy zajmowali się wyceną antyków, obrazów, rzeźb — każdego cennego przedmiotu należącego do Żydów. Katalogowali te rzeczy, a potem je konfiskowali. Zrujnowali ojca Lustiga na kilka lat przed zabiciem do Buchenwaldu.

— Czy ta historia została opublikowana?

— Okazuje się, że nie. Wielka szkoda, bo gdyby te materiały były powszechnie znane, więcej ludzi wiedziałoby o istnieniu Jugend von Siegfried, o których autor wspomina tu i tam. Sam Lustig zdobył informacje na temat początków grupy z dzienników jednego z adiutantów Hitlera, generała Albersa. Uzupełnił je, przekopując się przez akta policji i rozmawiając z emerytowanym Szwajcarem, który opiekował się chłopcami na samym początku.

— Jak Lustig namówił innych do założenia JZ?

— Napisał w testamencie, żeby przeznaczyć pieniądze na... — Whitlock zajrzał do notosu i przytoczył stosowny cytat — „...stworzenie związku, który upamiętni myśli i życie unicestwionych bez śladu; związku, którego głównym celem będzie dokonanie pomsty za zło popełnione przez Jugend von Siegfried; związku, który w pełni pomści cierpienia naszych zmarłych bliskich”.

— A skąd pochodzi nazwa grupy?

— Dwudziestego lipca Johannes Lustig i jego zięć zginęli na jeziorze Cayuga. Zwolennicy Lustiga uznali to za symboliczny zbieg okoliczności, bo również dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku Claus von Stauffenberg, szef sztabu generała Fromma, próbował wysadzić Hitlera w powietrze, umieszczając bombę pod stołem w centrum dowodzenia.

— Zamach się nie powiódł.

— Wiem, ale najwyraźniej symbolizuje całe przedsięwzięcie: opór i wyzwanie. Znajdziesz tutaj listę członków; wciągnęła ich Erika Stramm i jak widać nie miała kłopotów ze zdobywaniem ludzi na najwyższych szczeblach.

— Czy wiemy, kogo JZ wyznaczyło do wykonywania wyroków?

— Nigdzie nie wspomniano go z nazwiska.

— Trudno mi uwierzyć, że nasz spec od komputerów, Andreas Wolff, jest członkiem nazistowskiego batalionu śmierci założonego w ostatnich dniach wojny. — Philpott ze zmarszczonymi brwiami zaglądał do wnętrza swojej szklanki.

— Spotkałeś go osobiście?

— Wielokrotnie. Poznałem też w życiu paru fanatyków rasizmu. On ich zupełnie nie przypomina. Wolff to siwiejący hipis z głową w chmurach. Zawodowa pozycja to dla niego rzecz drugorzędna. Jest najszczęśliwszy, kiedy korzysta z wiedzy, by ożywiać swe marzenia i pisać gry komputerowe: w każdej znajdziesz bohaterskich królów, damy w opałach, smoki i wszelkie bajkowe brednie. Nudzi go polityka, nudzi go rzeczywistość jako taka. Wolff to nie materiał na fanatyka.

— Powiem Mike'owi, żeby się tym zajął.

Whitlock wstał i Philpott odprowadził go do drzwi.

— Jeśli Mike przekaże ci coś ważnego, daj mi znać — powiedział. — Podkreśl, jak ważne jest, żebyśmy dopadli i okiełznali JZ, zanim rzecz za bardzo się rozkręci. Musi się dowiedzieć, kim jest ich niebieskooki kat.

— Może Sabrina przydałaby się w Berlinie?

— Może. — Philpott otworzył drzwi. — I powtarzaj sobie złotą myśl na dziś.

— A jak ona brzmi?

— Jesteśmy tutaj, by narobić zamieszania.

— Właśnie miałem wyłączyć telefon — powiedział Mike Graham. — Jeśli to może poczekać, to wolałbym porozmawiać rano.

— Nie zajmę ci dużo czasu, Mike. — Whitlock stał na balkonie swojego pokoju hotelowego i oglądał zachód słońca. — Chcę ci przekazać najnowsze informacje w paru sprawach. Gdzie jesteś?

— W łóżku, w hotelu Zipser. Tutaj jest środek nocy.

— Zapomniałem, przepraszam...

— Czytałem, ostatnio nie mogę spać. Muszę czekać, aż zmęczenie zwali mnie z nóg.

— Jesteśmy w Teksasie.

— Co za my?

— Przyjechałem ze starym. Wyjaśnię ci później, jeśli przeżyję tę eskapadę. Powiedz, czy już widziałeś Andreasa Wolffa?

— Spotykam się z nim jutro z samego rana. Skorzystałem z oficjalnej ścieżki i umówiłem się na rozmowę. Postanowiłem, że najlepiej będzie zacząć, jak na cywilizowanych ludzi przystało.

— Philpott chce, żebyś przy okazji sprawdził coś jeszcze.

Whitlock wyjaśnił, czego się dowiedzieli o Juli Zwanzig z pliku komputerowego Eriki Stramm, dodając, że szef wątpi, by Wolff rzeczywiście kwalifikował się na kolejną ofiarę zamachowca.

— Na pewno znajdziesz sposób, by to wyświetlić.

— Coś jeszcze?

— Erika Stramm. Czy łatwo ją przekonać?

— Najkrótsza odpowiedź brzmi: nie.

— Musimy się dowiedzieć, kto jest katem w grupie JZ. Stramm powinna nam to powiedzieć.

— Mnie się nie uda. Nawet się nie przyznała, że wie, co to jest JZ. Twierdziła, że ona i Emily Selby były tylko przyjaciółkami.

— Nie ma szansy, że zmięknie i porozmawia z tobą?

— Jeśli podejść do niej na tyle blisko, żeby usłyszała pytanie, to rozerwie mnie na strzępy, nim zdołam otworzyć usta.

— W takim razie zwalę to z powrotem szefowi na kark.

— Dobra, wiesz co, C.W.? Chyba odłożę słuchawkę, sen mnie morzy.

— Nie chcesz wiedzieć, czego Sabrina dowiedziała się o arabskim zabójcy?

— Innym razem. Jeśli teraz nie usnę, to będę musiał czekać dwanaście godzin, nim znów zachce mi się spać.

Sabrina odpoczywała w swoim mieszkaniu przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Stała w jasnobłękitnej kuchni przy kontuarze, który przypominał stół rzeźnika i oddzielał część gospodarczą od reszty pomieszczenia. Zaparzyła kawę i nalewała ją do ciemnozielonej, porcelanowej filiżanki.

— Nie czuję się samotna — powiedziała na głos. — Tylko właśnie przeżyłam koszmar.

Jakoś nie pojawiła się oczekiwana radość z powrotu do domu. Gnębiło ją wrażenie, że w tej właśnie chwili prawdziwe życie toczy się gdzie indziej, a ona tkwi w martwym punkcie. Zabrała ze sobą kawę i usiadła na kanapie. Wzięła pilota i włączyła telewizor. Ledwo na ekranie pojawił się obraz, natychmiast zaczęła przyciskać kolejne guziki. Przeczytała kiedyś, że kobiety nie bawią się tak często jak mężczyźni w skakanie po kanałach. Ona pobiłaby w tej konkurencji facetów.

Żaden z obrazów, które migały jej przed oczami, nie zainteresował jej na tyle, by zaczęła oglądać program. Wyłączyła telewizor i usiadła wygodniej, wdychała woń kawy, patrząc na ciemne niebo za oknem.

Próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałoby jej życie, gdyby została nauczycielką. Kiedyś chciała uczyć, ale wciągnął ją wir wydarzeń. Skończyła studia podyplomowe na Sorbonie » przez parę lat podróżowała po Europie, a po powrocie do USA została zwerbowana przez FBI. To wpływ jej ojca; George Carver przez całe życie zajmował się polityką i chciał mieć syna, swego następcę. Sabrina zgodziła się na pracę w FBI, ponieważ w jej świadomości kojarzyła się z przygodą i sądziła, że wróciwszy w domowe pielesze właśnie tego potrzebuje. W czasie służby odkryła u siebie talent w posługiwaniu się bronią. Przekonała się też, że ma zdolności do walki wręcz. Stopniowo coraz rzadziej myślała o szkole. Gdy została dyskretnie wyselekcjonowana spośród wielu innych potencjalnych kandydatów i namówiona przez UNACO do zmiany firmy, stała się bez wątpienia kobietą czynu, w wolnym czasie zaś zajmowała się z chęcią i znacznymi umiejętnościami pogłębianiem znajomości języków obcych oraz literatury europejskiej. Teraz jednak wizja etatu na niewielkim, malowniczym uniwersytecie znów wydała jej się bardzo pociągająca.

Dopiła kawę i odniosła filiżankę do kuchni. Umyła ją, zgasiła światło i poszła do sypialni. Nagle zdała sobie sprawę, że jest śmiertelnie zmęczona. Bolały ją ramiona, a nogi się pod nią ugiwały, rezultat uwięzienia bez wody w cuchnącym pokoju w Maroku. Pomyślała, że jeśli się wyśpi i da odpocząć biednym mięśniom, to wróci jej promienne spojrzenie na świat.

Usiadła na łóżku i z uśmiechem popatrzyła na zdjęcie rodziców umieszczone na nocnym stoliku. George i Jeanne Carver mieszkali teraz na Florydzie i od chwili przejścia ojca na emeryturę rzadko ich widywała. Czasami przyjeżdżali na parę dni, żeby Jeanne mogła obejrzeć najnowsze przedstawienia teatralne, a George pogadać ze starymi kumplami. Robili to jednak niezbyt często i za każdym razem uważali, że zakłócają jej życie.

— Cóż to za bzdura — powiedziała do fotografii.

Czuła, że ogarniają znany jej dobrze nastrój, który nazywała w duchu „amputacją” — nigdzie nie przynależy i nie chce należeć do nikogo, ale mimo wszystko czuje się odcięta. Mówiąc prościej, litowała się nad sobą.

— Takie uzalanie jest zbrodnią popełnioną przeciw sobie — oświadczyła stanowczo. — Masz się z tego wyrwać.

Mimo to rozbierając się i wkładając nocną koszulę, nie potrafiła się otrząsnąć z melancholijnego nastroju. Nauczyła się z nikim nie nawiązywać bliskich kontaktów. Na początku pracy w FBI miała romans z zastępcą szefa, który zrobił się wredny, gdy okazała mu, że się w nim zadurzyła. W końcu napuścił na nią żonę. Dlatego teraz pozwalała sobie jedynie na powierzchowną przyjaźń, a poza tym trzymała mężczyzn na dystans, szerokim łukiem omijając tych związanych na poważnie — co okazywało się wyjątkowo trudne, bo każdy z nich twierdził, jakoby był zupełnie wolny. Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę.

— Sabrina, mam nadzieję, że cię nie obudziłem — odezwał się Whitlock.

— Dobrze to sobie wyliczyłeś, ale pudło. Trzeba było poczekać jeszcze ze dwanaście minut.

— Wiesz, że nie dzwoniłbym w błahej sprawie. — W tym momencie zadzwonił drugi telefon i po chwili włączył się faks. — O, słyszę, jak pracuje. To ode mnie. Streszczenie informacji zdobytych przez Mike' a w czasie odwiedzin w mieszkaniu Eriki Stramm. Przeczytaj i przetrzaw.

— A skąd ten zasyp informacjami w środku nocy?

— Pojawił się problem. Trzeba go rozwiązać i Philpott sądzi, że jesteś wymarzoną osobą do tego zadania.

— Wal śmiało.

— Erika wrogo odniosła się do włamania jako takiego, a Mike'a szczególnie.

— Żartujesz! Czyżby go złapała?

— Na gorącym uczynku. W każdym razie zdołał wykraść plik komputerowy z informacjami, które ci właśnie przesyłam faksem, ale jest w nich istotna luka.

— A istotne luki to moja specjalność.

— Nie wiemy, kim jest zabójca, kat JZ, który załatwił dwie osoby, o których się ostatnio dowiedzieliśmy. Biorąc pod uwagę stosunek Eriki do Mike' a, nie ma szansy, żeby cokolwiek mu powiedziała.

— Ale jesteście przekonani, że mnie zwierzy się z radością?

— Hm, przynajmniej szef tak uważa. — Whitlock zamilkł i moment. — Cóż, zgadzam się z nim. Zawsze podziwiałem twoje... jakby to nazwać... delikatne środki nacisku.

Sabrina przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami, nim wreszcie spytała:

— Kiedy otrzymam szczegóły dotyczące podróży?

— Już je masz. Są na końcu faksu. Bądźmy w kontakcie. I uważaj na siebie.

— Jasne. Ty też.

Sabrina odłożyła słuchawkę. Uśmiechnęła się do fotografii rodziców. Dziwne, jak wydarzenia wpływają na zmianę jej nastroju. Właśnie usłyszała, że ma znów nadstawić karku, ale dzięki temu już nie czuła się odcięta od świata.

Krepy, rumiany Russ Grundy kulił się w rogu dużej, białej furgonetki z niebieskim napisem BENTINCK. WYMIANA SZYB SAMOCHODOWYCH. Wóz stał zaparkowany za budynkiem dyrekcji komunikacji samochodowej w centrum Fort Worth, tuż przy dworcu autobusowym.

— Panuje tu duży ruch, dzięki czemu mniej będziemy się rzucać w oczy, a hałas samochodów nie przeszkadza aparaturze — wyjaśnił Russ C.W. Whitlockowi. — Jestem jakies półtora kilometra od domu Chadwicka, więc w idealnej odległości, a gdybym z jakichś powodów musiał podjechać bliżej, nikt tego nie zauważy, a nawet jeśli, to nic go to nie będzie obchodzić.

Whitlock przyjechał autobusem, gdyż uważał, że to najlepszy środek transportu, jeśli człowiek nie chce zwracać na siebie uwagi. Opuścił dworzec głównymi drzwiami, potem obszedł go od tyłu i wsiadł do samochodu, jakby to była jego własność. Teraz siedział na maleńkim obrotowym stołku w drugim końcu furgonetki, naprzeciwko Grundy'ego. Obie boczne ściany były szczelnie zabudowane sprzętem elektronicznym. Grundy zajął miejsce przy konsolce, pod ręką miał dostrajanie, głośniki, magnetofony i słuchawki.

— Jeszcze raz wielkie dzięki tobie i panu Philpottowi za tę odrobinę rozrywki, C.W.

— Drobiazg, cieszę się, że mogliśmy się sobie nawzajem przydać. Jak właściwie robisz ten podsłuch?

— Większości rzeczy, z całym szacunkiem dla twojej inteligencji, i tak byś nie zrozumiał, więc ujmując rzecz najprościej, mam ścisłą łączność między tą oto furgonetką a celem. Wywietrzniki na dachu to odbiorniki ustawione we właściwym kierunku. Ten maluszek — poklepał owalną czarno-czerwoną skrzynkę, która leżała obok niego — odbiera i koordynuje sygnały dopływające z dwóch pluskiew, umieszczonych w domu Chadwicka i trzeciej, zostawionej w jego biurze, kolejne półtora kilometra dalej. Jak na razie Chadwick nie ruszał się z domu.

— W jaki sposób założyłeś pluskwy?

— To moja słodka tajemnica, C.W., nie pytaj, bo i tak nie powiem.

— Pamiętałeś, że najbardziej interesują nas rozmowy telefoniczne?

— Oczywiście. Dlatego też tak to ustawiłem, że nagrywanie włącza się w chwili, gdy zostanie zarejestrowany dźwięk sygnału telefonicznego, a wyłącza się na sygnał zakończenia rozmowy. To naprawdę ogromnie czuła aparatura, C.W.

— Czy możesz określić, pod jaki numer się dzwoni?

Grundy spojrzął na niego z politowaniem.

— Umiałem to zrobić, jeszcze zanim wymyślono te zabawki. Niektórym chłopcom wystarczy, że stoją blisko telefonu. Po wysokości tonu poznają, jaki to kraj, stan czy miasto i numer. To się załatwia oddzielnie. — Machnął w stronę magnetofonu kasetowego. — W ciągu ostatnich... — zerknął na zegarek — dziewięciu godzin Chadwick sporo sobie gawędził przez telefon.

— Możesz mi rozpracować te numery?

— Jasne. Tu jest drukarka.

Grundy wcisnął jakiś guzik przed sobą. W chwilę później spod urządzenia zaczęła się wysuwać taśma szerokości kwitu kasowego.

— Ile masz czasu, C.W.?

— Kupiłem bilet powrotny na ten sam autobus, którym przyjechałem. Jeszcze parę godzin.

— Więc będziesz miał czas, żeby posłuchać niektórych rozmów. — Grundy położył przed Whitlockiem niewielki magnetofonik i włożył do środka kasetę. — Wejście do słuchawek jest z boku.

Whitlock słuchał. Przez pewien czas to go fascynowało: oto Chadwick rozmawia swobodnie przez telefon, przekonany, że jest zupełnie sam. Powoli zaczęło go to nużyć; zwykle rozmowy o interesach, pod którymi nie kryło się nic podejrzanego. Po dwudziestu minutach Whitlock uznał, że ma dość. Już chciał wyłączyć nagranie, wymyślić jakąś wymówkę i wyjść z magnetofonem i pozostałymi trzema kasetami, ale w tej samej chwili taśma zaczęła dziwnie syczeć i piszczeć. Włączył przycisk pauzy i zdjął słuchawki.

— Coś się chyba popsulo — zwrócił się do Grundy'ego.

— Daj, posłucham.

Grundy precyzyjnie przesunął się przez furgonetkę i uplasował obok Whitlocka. Włożył słuchawki, uruchomił taśmę i słuchał ze zmarszczonymi brwiami. Potem zatrzymał nagranie.

— Bodajby mu nóża spuchła. Zagłusza rozmowę.

— Zagłusza?

— Stary, sprawdzony sposób. Szum wody. Pewnie zabrał słuchawkę do łazienki i odkręcił wszystkie krany.

— Podejrzewasz, że wie o podsłuchu?

— Nie, po prostu na zimne dmucha, jak każdy taki spryciarz. Oni nie ufają własnemu cieniowi.

— Więc nie dowiemy się, dlaczego ta rozmowa była aż taka ważna, że musiał ją zagłuszyć?

— Kto powiedział, że nie?

Grundy wyjął kasetę z magnetofonu i wrócił na swoje wcześniejsze miejsce. Potem włożył ją do jakiegoś skomplikowanego wyglądającego magnetofonu z sześcioma okrągłymi tarczami nad kieszenią kasy. Cofnął taśmę, włączył i poprawił coś pod tarczami.

— Ustawiam częstotliwość szumiącej wody, tak że zostanie ona skasowana i usłyszymy rozmowę.

Ponownie przewinął taśmę, ustawił jeszcze trzy suwaki i włączył magnetofon. Słysząc było tylko szum taśmy.

— Właśnie usuwam szum wody. Za chwilę usłyszysz. Magnetofon wie, co wykasować, dlatego automatycznie zatrzyma taśmę, gdy umilknie usuwany dźwięk.

Po trzech minutach i czterdziestu sekundach taśma się zatrzymała. Grundy przewinął ją do miejsca, w którym zaczęły się zakłócenia.

— Posłuchaj teraz.

Uruchomił kasetę. Z głośników popłynęła muzyka, instrumentalna wersja „Fool on the Hill”. Grundy plasnął się w czoło.

— Więc zabezpieczył się podwójnie? — spytał Whitlock.

— Zgadza się. Ten Chadwick to nie amator, a konspirator całą gębą.

— Uda ci się usunąć muzykę?

— Tak, ale... — zawahał się Grundy.

Whitlock przyjrzał mu się uważniej.

— Ale?

— Ale razem z muzyką może zniknąć i głos. To zależy, na ile częstotliwość głosu Chadwicka różni się od częstotliwości muzyki. — Grundy popatrzył na zegarek. — To długa robota bez gwarancji powodzenia.

— Jak długa?

— Cóż, to akurat będę musiał zrobić ręcznie, krok po kroku, usuwając kolejne fragmenty melodii. I będę musiał pracować na kopiach, bo ta technika niweluje nasze zabezpieczenia przed ewentualnymi pomyłkami. Pewnie ze dwie godziny.

Whitlock westchnął.

— Dobra, bierz się do roboty. Poczekam.

— Pamiętaj, niczego nie gwarantuję. Możliwe, że to nic nie da.

— Jeśli nie spróbujesz, to pozostaniemy w punkcie wyjścia.

Wieczorem Whitlock zadzwonił do Philpotta pod jego tajny numer na linii z zakłóceniami dla ewentualnych ciekawskich i powiedział o zagłuszonym nagraniu.

— Dwie i pół godziny trwało, zanim wreszcie usunął muzykę.

— I co zostało?

— Chadwick dzwonił do pewnego architekta w Berlinie, Wiktora Kretzera.

— Naprawdę? Kretzer znajduje się na liście Emily.

— Wiem. Mamy wyraźne nagranie. Słysząc, jak Chadwick każe Kretzerowi nie kontaktować się do odwołania.

— Świetnie.

— Co więcej — dorzucił Whitlock — na końcu rozmowy była prawdziwa perła. Chadwick powiedział Kretzerowi, że jakaś broń niedługo zakończy swą okrężną podróż i wróci do Niemiec, skąd wyszła. Uprzedził, że w transporcie zakupionym przez pana Gibsona będzie brakować tylko jednego pistoletu, bowiem dano go Arabowi do wykonania zlecenia w Londynie. I co ty na to cudowne zrządzenie losu?

— Że zacytuję psalmistę — oświadczył Philpott — „kielich mój pełen po brzegi”. Zdajesz sobie sprawę, że nie tylko zyskaliśmy dowód, ale także nie będę musiał blefować w rozmowie z Chadwickiem i Pearce’em?

— Oczywiście.

— Muszę osobiście podziękować Grundy’emu, a na razie wracam do roboty. — Roześmiał się cicho. — Czyż to nie cudowne, C.W., gdy los od czasu do czasu zdejmuje bucior, którym przygniatał ci kark, i zasypuje prezentami?

Don zarezerwował stolik w „Casa de Oro” w Fairmont w północno-zachodniej części Dallas. Chadwick i Pearce już czekali na Philpotta. Widział, jak bacznie go obserwują, gdy zmierzał do stolika przez dyskretnie oświetloną salę. Siedzieli sztywno wyprostowani, w ich postawie dawało się wyczuć napięcie.

— Panowie... — Wstali i wymienili z Philpottem uścisk dłoni. — Mam nadzieję, że się nie spóźniłem.

— Ależ skąd. — Chadwick wskazał mu krzesło naprzeciwko nich. — Proszę, niech pan siada, panie Beamish.

— Derek.

— Derek. Siadaj, postawimy ci drinka. Mam nadzieję, że lubisz mieszankę kuchni meksykańskiej i teksaskiej?

— Uwielbiam — skłamał Philpott z uśmiechem. Sięgnął po oprawioną w skórę kartę dań. — Ciekaw jestem, czy podają kukurydziane *enchiladas*?

— Chyba tak, powinni — powiedział Pearce. — Znasz te potrawy?

— Sporo podróżuję po Ameryce Łacińskiej. — Philpott posłał im znaczące spojrzenie. — Człowiek szybko przekonuje się do tamtejszej kuchni.

Rozmawiali o jedzeniu, trunkach, dopóki nie zjawił się kelner i nie wziął zamówienia. Wtedy Chadwick przeszedł do rzeczy.

— Mieliliśmy trochę czasu, żeby się zastanowić nad tym, co nam powiedziałeś — zagaił. — Nabrać do tego dystansu. Teraz chcielibyśmy się dowiedzieć, jakiego rodzaju niedogodności mogą nam grozić. Czy ten cały Jonah Tait to, że tak się wyrażę, uparty jegomość?

— W jakim sensie?

— No, znasz go trochę. Jak sądzisz, łatwo go przestraszyć?

— Moim zdaniem jego nie sposób przestraszyć.

— A czy ktoś już próbował?

— Nieustannie podpada komuś w Nowym Jorku, nadepnął na odcisk wielu facetom. On się przed niczym nie cofnie.



— Więc przyciśnięcie go do muru nic nie da?

— Tego bym nie powiedział. — Philpott sączył wino. — W tego rodzaju sytuacji człowiek o charakterze Harolda Gibsona doskonale by wiedział, jak postąpić.

Philpott zdawał sobie sprawę, że wiele ryzykuje, mówiąc w ten sposób. Chadwick i Pearce mogliby się poczuć dotknięci, wręcz obrażeni. Jednak Philpott założył, że zgodzą się z tym, co w ten sposób sugerował: że Gibson był człowiekiem czynu, człowiekiem ich pokroju.

— Zawsze potrafił znaleźć sposób na rozwiązanie problemu. To mu trzeba przyznać — zgodził się Chadwick.

— Jak wam wiadomo, jednym z powodów mego przyjazdu do Teksasu było śledzenie pana Taita — podjął Philpott. — Nie wiedziałem, w jaki właściwie sposób mu przeszkodzić, lecz zdawałem sobie sprawę, że muszę być w pobliżu, aby go powstrzymać, gdyby zaczął sprawiać kłopoty.

— A co on właściwie teraz robi? — spytał Pearce. — Wiemy, że mieszka w West Kingsley, ale właściwie się stamtąd nie rusza.

— Pracuje nad ostatnią redakcją książki. Zdobył wasze zdjęcia, nazwy tutejszych instytucji, potrzebne nazwiska, szczegółowe daty niezbędne do uzupełnienia tekstu.

Chadwick wyprostował się, w zamyśleniu masując żołądek.

— Czy ta książka mogłaby zaszkodzić reputacji samego Harolda Gibsona?

— Zaszkoziłaby wszystkim jego współpracownikom, nie tylko ich reputacji — oświadczył Philpott. — Jeśli mogę sobie pozwolić na brutalną szczerość... — zawiesił głos, czekając na ich ponaglenie.

— Mów śmiało — zachęcił Chadwick.

— Tak się składa, że wiem o związkach pana Gibsona z Jugend von Siegfried...

Pearce rąbnął pięścią w stół.

— Widzisz? — Spojrzał na towarzysza. — Wiedziałem, że to się rozniesie.

— Uspokój się, Emerett.

— Harold znał się na interesach — ciągnął Pearce — ale języka za zębami trzymać nie umiał. To samo mówiłem na tydzień przed jego śmiercią, to samo powtarzam dziś.

— Nie rozniosło się — uspokoił go Philpott. — Możesz być spokojny. Ja się dowiedziałem przede wszystkim dlatego, że jestem waszym sympatykiem, a po drugie dlatego, że mam dostęp do pewnych kanałów.

— Wspominałeś coś o brutalnej szczerości — wpadł mu w słowo Chadwick.

Philpott pochylił się ku niemu.

— Tak znalazł się w posiadaniu dowodu wpłaty na rzecz zygfydowców. Zamierza go wykorzystać. Z wiarygodnych źródeł wiem, że chce podać wasze nazwiska jako współodpowiedzialnych za śmierć Emily Selby, urzędniczki Białego Domu, niedawno zastrzelonej w Londynie...

— ...Przez płatnego mordercę. Gibson w ogóle nie powinien był się w to mieszać — wtrącił Pearce. — Cholera, od początku wiedziałem, że to się dla nas źle skończy. Gibson wyobrażał sobie, że wybierając tego człowieka, zatrze ślady. Wygląda na to, że się pomylił.

Podano potrawy. Na dziesięć minut zawiesili rozmowy o poważnych sprawach i wrócili do towarzyskiej pogawędki. Przeżywali, zachwycali się jedzeniem i wspominali. Chadwick od lat przepadał za typowo meksykańskimi daniami takimi jak *fojitas*, *ceviche* i *carne asada*; Pearce stwierdził, że on woli jadać w „Mia”, gdzie serwowano najlepsze *chiles relleños* w mieście. Philpott przyznał się, że żywi słabość do kuchni francuskiej, a zwłaszcza *foie gras* nadziewanego czarnymi truflami, cielęciny z karczochami i, tylko od czasu do czasu, żeberek jagnięcych z pieprzem.

Żaden nie dojadł głównego dania.

Chadwick jako ostatni odłożył sztucce. Rozmowa natychmiast wróciła do Jonaha Taita. Dla rozproszenia wątpliwości Chadwick chciał się dowiedzieć, skąd Derek Beamish tak doskonale i jego ruchy.

— Każdy polityk wie — oświadczył zapytany — że jeśli czyjeś życie ma wpływ na losy innych ludzi, to wtedy właściwie nie sposób utrzymać niczego w tajemnicy. Odkrywanie ważnych informacji i kluczowych danych wymaga umiejętności, ale w sumie sprowadza się do korzystania z najróżniejszych kontaktów i smarowania trybików. — Podniósł rękę i zaczął wyliczać na palcach. — Znam bankierów Taita, jego drukarzy, firmę prawniczą reprezentującą jego interesy, właściciela mieszkania, które wynajmuje w Greenwich Village. Wszyscy oni przekazują mi to, co wiedzą, tak że zyskuję niemal pełny obraz jego ruchów i planów.

Chadwick przysłuchiwał się z przechyloną głową, jakby próbował dostrzec w twarzy Philpotta coś, czego nie da się zauważyć z innego punktu widzenia.

— Co prawda, nie wspominałeś o tym, ale chyba nie pomyłę się, jeśli powiem, że ten cały Tait mógłby ci zaszkodzić równie mocno jak i innym?

— Owszem.

— I jesteś przekonany, że jego plany zaszkodziłyby również i nam.

— Już ci mówiłem. Mógłby wam postawić liczne zarzuty, które by was doprowadziły przed sąd.

— Może tak, może nie. Mamy tu niezłych prawników, a w razie potrzeby mnie i moich ludzi reprezentują najlepsi.

— Co do tego nie miałem wątpliwości — odparł Philpott. — Nadal jednak sądzę, że Tait może wam wyrządzić krzywdę. Spróbujcie przeanalizować to na chłodno. Najpierw zrujnuje waszą reputację, potem wejdzie na drogę prawną, oskarżając o finansowanie organizacji przestępczych, na przykład takich jak Jugend von Siegfried. Przedstawi zdobyte przez siebie dowody udziału w morderstwie Emily Selby. Wtedy policja zacznie węszyć, a w takich sytuacjach zawsze doszukają się jakichś brudów, wygrzebią stare, zapomniane sprawy. Nawet najlepszy prawnik nic nie pomoże, smród i tak zostanie.

— W trakcie poprzedniej rozmowy wspominałeś między wierszami, że byłbyś gotowy podjąć wszelkie kroki, byle powstrzymać tego człowieka — odezwał się Pearce. — Mówiłeś poważnie?

— Jak najbardziej.

— Widzisz — włączył się Chadwick — my nie mamy takiej swobody ruchów. Jako biznesmeni znajdujemy się na cenzurowanym, jesteśmy na świeczniku. Ludzie na nas patrzą, na ogół przyjaźnie, ale patrzą, i każda zmiana zachowania, każdy zły ruch nie przejdą nie dostrzeżone. Ty zaś nie masz takich obciążeń, podróżujesz po świecie, nikt cię nie śledzi.

— Tait mnie wyszedził.

— Tait to inna para kaloszy. Chodzi mi o to, że tobie o wiele łatwiej będzie się z nim uporać niż nam. Ty możesz przedsięwziąć pewne kroki i nikt nie będzie ci patrzył na ręce.

— Sądzę, że tak.

— A co mogłoby powstrzymać Jonaha Taita? — spytał Pearce.

— Cóż... — Philpott zacisnął usta. — Wyłącznie bardzo zdecydowane posunięcia.

— Matko Boska! — jęknął Chadwick. Wpatrywał się w drugi koniec sali. — Toż to on.

Philpott omal się nie uśmiechnął. C.W. Whitlock miał genialne wyczucie czasu. I oto szedł przez restaurację, kierując się prosto w ich stronę. Był ubrany w czarną skórzaną kurtkę i czarny półgolf. Z twarzy niczego nie dało się wyczytać, lecz w oczach malował się gniew.

— Witam panów — odezwał się, stając przy stoliku. Oparł dłonie na białym, wykrochmalonym obrusie. — Wybaczą panowie, że im przerwę. Zajmę panom jedną chwilkę.

— Czego pan chcesz? — warknął Pearce.

Whitlock uśmiechnął się do niego.

— Jutro opuszczam to piękne miasto i pomyślałem, że powinienem do panów zajrzeć i osobiście podziękować.

— Za co?

— Materiały. Wyjątkowo kompromitujące materiały. Nawet więcej, niż mi było trzeba.

— Sądzę, że wyrażę opinię pozostałych panów — wycedził Philpott — kiedy powiem, że nie mam pojęcia, o czym pan, u licha, gadasz.

— Owszem, wie pan, panie Beamish. — Whitlock posłał mu promienny uśmiech. — Wszyscy panowie wiecie. Przyjechałem tu, by zebrać końcowe materiały do książki o wyjątkowo zepsutym, złym człowieku, i muszę wyznać, że znalazłem wszystko, czego potrzebowałem. Możecie panowie być spokojni, wszyscy trzej znajdziecie się w tekście, który niewątpliwie zapewni wam coś w rodzaju nieśmiertelności.

— Spadaj stąd — warknął Pearce.

Whitlock pokręcił głową.

— Wie pan co? Gdzieś tak po przeczytaniu dwóch trzecich książki zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie oceniam zbyt ostro. Teraz jednak, kiedy na was patrzę i czuję swąd fanatyzmu, cieszę się, że dokładnie sprawdziłem wszystkie fakty i spisałem je co do jednego.

— Wynos się stąd, słyszałeś?! — powiedział Philpott podniesionym głosem.

Whitlock cofnął się i skinął głową całej trójce.

— Proszę się nie ruszać. Chciałbym panów zapamiętać właśnie w tej pozie.

Roześmiał się i odszedł.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Chadwick dolał każdemu wina, złapał swój kieliszek i opróżnił go w trzech haustach. Philpott wysączył jeden łyk. Pearce ukrył twarz w dłoniach. Kiedy wreszcie opuścił ręce, spojrzał Philpottowi prosto w oczy.

— Musimy porozmawiać — stwierdził. — I to jak najszybciej.

Dwie godziny później w pokoju hotelowym Whitlocka zadzwieczył telefon.

— Obgadaliśmy rzecz z chłopakami — poinformował go Philpott. — Podjęliśmy już decyzję.

— Mianowicie?

— Zabiję cię.

— Cóż, w końcu ty tu rządzisz. Uporządkuję wszystkie sprawy.

— Podejrzewam, że woleliby nasłać na ciebie swojego człowieka, ale przecież nie mogłem do tego dopuścić, prawda? Zresztą za bardzo się boją, że ktoś może im patrzeć na ręce, więc w końcu zgodzili się nawet zrekompensować mi niebagatelne wydatki, które poniosę załatwiając sprawę. Obiecałem im czystą robotę bez fuszerki.

— Kiedy powinienem się zmyć?

— Proponowałbym, żebyś dziś w nocy wrócił do Nowego Jorku i tam trochę podziałał w moim imieniu. A jutro wczesnym rankiem pożegnasz się z żywotem.

— Potrzebujesz czegoś?

— Trochę pentametylodiaminy, czyli mówiąc bardziej po ludzku, kadaweryny.

Whitlock zamyślił się na moment.

— Grundy mógłby ci ją skołować. Pogadać z nim?

— Nie trzeba. Sam z nim rozmawiam. Mam dla niego inną robotę.

— Słówko ostrzeżenia w sprawie kadaweryny — powiedział Whitlock. — Nie otwieraj pojemniczka, póki naprawdę nie będziesz jej potrzebował. I pod żadnym pozorem nie rób tego w hotelu. Coś jeszcze?

— Nic. Tylko się pożegnaj i *requiescat in pace*, stary druhu. Tak oto umiera twe kolejne wcielenie, co?

— Nie pierwsze i nie ostatnie, a nowych z pewnością nie zabraknie — odparł Whitlock.

Andreas Wolff mieszkał w wiedeńskiej dzielnicy, Freyung, na najwyższym piętrze wytwornej, osiemnastowiecznej kamienicy z widokiem na park Hermanna Gmeinerja.

— Siedząc przy biurku — powiedział Mike’owi Grahamowi — mogę patrzeć na park i obserwować bawiące się tam dzieci, przemykające wśród zieleni. Gmeiner większość życia poświęcił na opiekę nad sierotami. To był wyjątkowy człowiek.

Pierwsza myśl, jaka nasunęła się Mike’owi po poznaniu Wolffa, to że sam programista jest wyjątkowym człowiekiem. Ten mężczyzna w średnim wieku emanował niestrudzoną energią i żywotnością. Na czoło nad gęstymi, szerokimi brwiami opadały szpakowate, kręcone włosy; jego oczy nieustannie poruszały się za szklami okularów, a kiedy coś opisywał, długie palce rysowały w powietrzu kształty. Nalegał, by Mike zwracał się do niego po imieniu i nie zdziwił się, kiedy ten przedstawił się jako działający potajemnie agent ONZ.

— Mam już tutaj dwóch zionących żądzą mordy policjantów, więc tajny agent również zionący żądzą mordy doskonale uzupełni obsadę.

Od tej chwili nie sposób było zainteresować Wolffa kwestią jego bezpieczeństwa. Oprowadziwszy Mike’a po rozległym mieszkaniu, nalegał, by ten wypróbował jedną z gier komputerowych, nad którą właśnie pracował. Następnie uznał, że pora na kawę. Zabrali filiżanki do obszernego salonu, gdzie w fotelach siedzieli ochroniarze, z niewyraźnymi minami próbujący udawać, że czytają gazety, podczas gdy u ich stóp spoczywały karabiny maszynowe. Na prośbę Mike’a Wolff przedstawił go jako amerykańskiego programistę, który miał z nim współpracować. Wcześniej, kiedy się zjawił, policjanci sprawdzili jego dokumenty, potwierdzające tę nową tożsamość.

— Życie jest takie piekielnie krótkie — mówił właśnie Wolff. Słowa wyrzucał z siebie szybko, jedno za drugim. Stał przy oknie, zapatrzony w ruch uliczny na Borseplatz. — Bez problemu zapełniłbym trzy życia, zajmując się wyłącznie przetwarzaniem szaleńczych pomysłów, które rodzą mi się w głowie, na gry. A gdzieś tam w środek, między nie, wcisnąłbym jakieś siedemdziesiąt pięć lat na poważniejsze sprawy.

— Na przykład ICON — dokończył Mike.

Wolff skrzywił się niechętnie.

— Czasem żałuję, że w ogóle się do tego zabrałem. Nie masz pojęcia, jak te systemy zabezpieczeń mnie dręczą po nocach.

— Podejrzewam, że zajmują znaczną część kory mózgowej.

— Rozłążą się wszędzie, a do tego wymagają surowej dyscypliny, której przez całe życie unikałem. Teraz oczywiście jestem do tego przykuty, choć przyznam, że czerpię z tego znaczną satysfakcję. Najnowsze rozwiązania są już o krok od zupełnej perfekcji. Czuję to. Wręcz widzę cały program, choć jeszcze nie spisałem ostatecznego kodu.

— Powiadasz, że jeszcze nie skończyłeś? Sądziłem, że już się je sprawdza.

— Tak, sprawdza się je — przyznał Wolff — lecz ten etap polega na bezlitosnym obcinaniu. Trzeba będzie stworzyć następne kody i tak je wprowadzić, by okrutnie okaleczone ciało programu nawet nie poczuło, że coś się zmieniło. — Wolff poderwał rękę do góry, wychlapując sobie na dłoń trochę kawy. — Ten trud przynosi mi swego rodzaju *Frohsinn*, rozkosz, rozumiesz?

— Zmaganie się z wyzwaniem?

— Zgadza się. Dobrze mi robi takie branie się za bary z ogromnymi przeszkodami, które grożą harmonii mego myślenia. A pokonywanie ich, zwycięstwo, sprawia mi szaloną satysfakcję. Mam jednak wrażenie, że to syzyfowa praca. Ledwo usunie się jedno zagrożenie, pojawia się kolejne. — Wolff odwrócił się od okna i uśmiechnął do Mike’a, pokazując e,

równe zęby. — A najgorzej czuję się, kiedy czasem W środku nocy uświadamiam sobie, jak wiele cennego czasu przecieka mi między palcami.

Mike spojrzął na zegarek.

— I twojego cennego czasu — dodał Andreas. — On też bezpowrotnie ucieka. Przepraszam, reaguję na odwiedziny jak dziecko. Jestem podniecony, paplam od rzeczy. Siądźmy i przejdźmy do sedna. Jeszcze raz cię zapewniam, że te sokole oka nie rozumieją ani słowa po angielsku. Ich niemiecki jest zresztą niewiele lepszy — dodał, kiedy siadali przy stoliku obok okna.

Mike podzielił się z nim obawami swoich zwierzchników, że ochrona austriackiej policji może się okazać niewystarczająca.

— Twojemu życiu może grozić ogromne niebezpieczeństwo.

— Boją się nie tylko tego, że kryminaliści będą starali się mnie usunąć, aby móc ostatecznie włamać się do ICON?

— No tak.

— Przyznam, że trochę mnie śmieszy ta obawa o moje życie. Owszem, kryminaliści może by się odgrażali, że coś takiego zrobią, ale żeby to osiągnąć, musieliby wyjść ze swoich kryjówek i zrezygnować z ułudy bezpieczeństwa. Wydaje mi się, że kryminaliści nie są aż tak znowu bardzo zorganizowani ani tak świetnie poinformowani, by zawracać sobie głowę zabijaniem jakiegoś programisty i wystawiać się na ryzyko.

— Nie byłbym tego taki pewny.

— Posłuchaj, młodzieńcze. Doszły mnie słuchy o jakimś geniuszu komputerowym, który już mnie wyprzedza w dziedzinie zabezpieczeń bazy danych. Już teraz wielu ludzi wierzy, że niezależnie od tego, co by mi się mogło przytrafić, przyszłość ICON-u spoczywa w bardzo dobrych rękach.

— Równie wielu nawet nie przyjmie tego do wiadomości. To ci, którzy zadają sobie trud dokopania się do prawdy, a to oznacza, że są również zdolni do zadania sobie trudu i pozbawienia cię życia.

Wolff wzruszył ramionami. Mike najwyraźniej nie zdołał go przekonać.

— Zresztą — podjął Mike — zagrożenie, o którym teraz mówię, to zupełnie inna sprawa. — Wyjął kartkę i rozłożył ją. — Proszę, oto lista. Znajdziesz na niej swoje nazwisko. Czy znasz kogoś z pozostałych mężczyzn?

Wolff wziął kartkę i ze zmarszczonym czołem przebiegł po niej wzrokiem.

— Jego. — Dźgnął palcem w jedno z nazwisk. — Rudolf Altenberg. Pozostałych nie znam.

— Skąd znasz Altenberga?

— Wbrew temu, co mi mówił rozsądek, na skutek nalegań mojej byłej żony, która przyjaźni się z żoną Altenberga, wymyśliłem dla niego program komputerowy i osobiście mu go zainstalowałem. Bardzo skomplikowany program, dodajmy. Lepszy niż to, co sam mam w swoim systemie.

— Czy utrzymywałeś kontakty towarzyskie z Altenbergiem?

— Właściwie dlaczego mnie o to pytasz?

— Cóż, nie owijając w bawełnę, ludzie z tej listy to naziści.

— Oprócz mnie.

— Hmm...

— Nie dziwię się, że Altenberg to nazista. To wyjątkowo niemiły typ, zupełnie nie zna się na muzyce ani literaturze. Dlaczego, twoim zdaniem, znalazłem się na tej liście?

— Podejrzewam, że ktoś cię ma za nazistę.

— A w ogóle po co jest ta cała lista?

— To lista ofiar. Dwie osoby już nie żyją.

— Niezbyt radosna nowina. — Wolff popatrzył w okno. — Czyli rzeczywiście ktoś może chcieć mnie zabić.

— Lepiej to wziąć pod uwagę. Powiedz mi, dlaczego ktoś miałby cię wziąć za nazistę?

— Ze względu na znajomość z Altenbergiem?

— Niewykluczone.

— Tak bym podejrzewał. Byliśmy razem na paru spotkaniach towarzyskich. Nalegał, żebym przyszedł na kilka przyjęć, chciał mnie przedstawić ludziom, którzy, jak twierdził, teraz korzystają ze stworzonego przeze mnie programu. Tak naprawdę to się mną popisywał, bo jestem swego rodzaju gwiazdą. Nużące, bardzo nużące.

Mike odniósł wrażenie, że to unik. Najwyraźniej Wolff chciał zmienić temat i przejść do innych spraw.

— I nie przychodzi ci na myśl żaden inny powód, dla ego ktoś mógłby cię połączyć z nazistami?

Spojrzenie Wolffa stwardniało.

— Nie. Proszę spróbować w to uwierzyć,

Odwrócił wzrok.

— Sądzę, że mimo wszystko powinniśmy dać ci większą ochronę — nalegał Mike.

— Nie zgadzam się.

— Ostrożność nie zawadzi.

— Wystarczy mi to, co jest teraz. I bez tego czuję się całkowicie osaczony. Nie życzę sobie większych ograniczeń.

— Ale ci tutaj sobie nie poradzą. Nie zdążą się ruszyć się z krzeseł i sięgnąć po broń, a fachowiec już ich skasuje.

— Więc to mi grozi? Doświadczony morderca?

— Na to wygląda. Mamy jego rysopis i próbujemy go wytropić, ale póki go nie dopadniemy, będziesz potrzebował znacznie lepszej ochrony. Wiem, że w ten sposób narazimy się tutejszej policji, ale tu chodzi o coś ważniejszego niż nadeptanie na odcisk paru szychom.

Wolff wstał i znowu podszedł do okna.

— Chodź, sam popatrz — pokazał. — Tamten budynek na końcu parku to dobrze strzeżona giełda. Jest absolutnie wykluczone, żeby mógł się tam dostać jakiś snajper. A to jedyny budynek na wprost mego mieszkania.

— A jednak...

— Na dole, jak ci wiadomo, pracuje kilku wyjątkowo skrupulatnych policjantów, którzy w razie niebezpieczeństwa mogą jednym naciśnięciem guzika unieruchomić windy i zablokować klatki schodowe. Nikt, choćby w najmniejszym stopniu podejrzany, nie wejdzie na górę, a ochrona najpierw konsultuje to ze mną, nawet gdyby przyszła mnie odwiedzić rodzona matka.

— Ja wszedłem na podstawie sfalszowanych dokumentów — odparował Mike.

— Ale najpierw pokazali mi twoją twarz na monitorze, prawda?

— I uznałeś, że wyglądam dość uczciwie, więc mnie wpuściłeś. Mogłem być mordercą.

— Wpuściłem cię, bo doskonale wiedziałem, kim jesteś.

Mike zamrugał powiekami.

— Dlaczego? Bo wcześniej się umówiłem?

— Nie. — Wolff się uśmiechnął. — Gdzie twoja wyobraźnia? Gdybyś był laikiem, takim jak ja, który od czasu do czasu ma dostęp do tajnych plików ONZ, tak jak ja, to czy nie zajrzałbyś do nich od czasu do czasu?

— Aha.

— Tak więc — ciągnął Wolff — sam widzisz, że jest nadzwyczaj nieprawdopodobne, by ktoś niepożądany dotarł do moich drzwi, a moim zdaniem ci dwaj są na tyle żwawi, że w miarę potrzeby zrobią z niego rzeszoto.

Mike przemyślał to i w końcu skinął głową.

— Przekażę dalej to, co powiedziałeś, ale na razie zachowaj podwójną ostrożność. Nie wychodź sam. Jeśli gdzieś się będziesz wybierał, daj nam znać, zapewnimy ci anioła stróża. Nawet dwóch aniołów stróży, jeśli nam się to wyda konieczne.

Mike odwrócił się od okna. Jeden z ochroniarzy gapił się na niego. Takim samym spojrzeniem, pomyślał, na wpół ciekawym, na wpół bezmyślnym, krowy odprowadzają intruzów.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem, Andreasie. Nie polegaj na swoich osiłkach. Zachowaj czujność.

Godzinę po wschodzie słońca dwóch mężczyzn w czarnym fordzie pikapie zatrzymało się sto osiemdziesiąt metrów od parkingu dla pracowników hotelu Comfort w Dallas. Jeden z nich był gruby i nazywał się Chuck, chudszy i zarazem młodszy nosił imię Billy. Obaj pracowali u Dona Chadwicka. Na tę robotę zaopatrzyli się w porządne lornetki, przez które obserwowali wypożyczonego kombiaka z podrobionym numerem rejestracyjnym, stojącego w pobliżu windy służbowej hotelu.

— Jest — mruknął Chuck.

Patrzyli, jak Philpott wysiada z windy, otwiera klapę samochodu i wraca do windy. Kucnął, złapał róg zwiniętego dywanu i zaczął go wlec w stronę wozu.

— Wielkie nieba — skomentował Billy. — Nietrudno zgadnąć, co tam ciągnie.

Nie ulegało wątpliwości, że dywan jest ciężki i nieporęczny. Widzieli pot na twarzy Philpotta. Wziął pod pachę rulon i wpychał go do bagażnika. Kiedy już wsunął połowę, wypuścił ciężar, który upadł na chodnik z takim łomotem, że nawet Billy i Chuck go usłyszeli. Philpott znowu się schylił, podniósł drugi koniec dywanu, stanął w rozkroku i pchnął z całej siły. Rulon wsunął się do samochodu. Philpott zatrzasnął klapę bagażnika i siadł za kierownicą.

— Tylko nie pakuj się za blisko — ostrzegł Chuck, kiedy Billy uruchomił silnik. — O tej porze ruch jest niewielki.

Philpott jechał przez West Kingsley, potem skręcił w prawo, kierując się na południe. Po pierwszym większym skrzyżowaniu zerknął we wsteczne lusterko i zobaczył czarnego forda pikapa, który siedział mu na ogonie jakieś dwieście metrów dalej. Ledwo skręcił w stronę Trinity River i Greenbelt Park, telefon komórkowy w jego kieszeni zapiszczał dwukrotnie. Wyjął słuchawkę, nacisnął zielony guzik i przyłożył ją do ucha.

— Można rozmawiać? — usłyszał głos W.C. Whitlocka.

— Jak ty to robisz? — zdumiał się Philpott.

— Nie rozumiem.

— Leżysz martwy, zawinięty w dywan w bagażniku samochodu, którym właśnie jadę.

— I cóż porabiasz?

— Tak się objam kilkaset metrów przed nieszczególnie dyskretną obstawą.

— Chciałem się upewnić, czy wszystko idzie zgodnie z planem.

— Zgodnie z naszymi życzeniami, nie planem. Zbyt jestem ostrożny, by liczyć, że plan zawsze się powiedzie. Wydarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Przyszła wiadomość od Sabriny.

— Coś nowego?

— Na razie nie. Dotarła do Berlina. Z jej obserwacji wynika, że Erika Stramm nigdzie się nie rusza bez swojego goryla.

— Informuj mnie na bieżąco, co zdecydowała się robić. Ufam jej intuicji.



- Doskonale.
- Mniej więcej za godzinę wyłączam telefon, więc jeśli będziesz miał wtedy jakieś ważne informacje, musisz się uzbroić w cierpliwość. Och, i przy okazji, Chadwick zapłaci gotówką. Otrzymaliśmy więc od anonimowego darczyńcy znaczną dotację na niespodziewane wydatki.
- Dobra robota — pogratulował Whitlock.
- Skontaktuję się, kiedy tylko załatwię sprawy w Dallas.
- Dobrze. I, jeśli można o coś prosić...
- Tak?
- Obejdz się łagodnie z moimi doczesnymi szczątkami.

O trzeciej po południu Erika Stramm i jej towarzysz Jurij Briusow wrócili do domu ze spotkania połączonego z lunchem. Jedzenie było dobre i oboje wypili dużo wina. Zaprosił ich wydawca czasopisma, który miał talent do łączenia interesów z rozrywką i w trakcie posiłku zawarli umowę. Erika miała napisać serię artykułów do miesięcznika „Deutsch Herzfeuer”, czasopisma o ambicjach intelektualnych — dziesięcioodcinkowe studium wpływu, jaki wywarł socjalizm na sztukę niemiecką od 1946 roku. W taksówce wiozącej ich do domu powiedziała Jurijowi, że kiedy dostaje takie zamówienie, to czuje się, jakby jej ktoś płacił za zabawę ulubionym zabawkami.

Wchodząc do mieszkania, rozmawiali z ożywieniem przekrzykując się nawzajem, ale w mrocznym przedpokoju Rosjanin zamilkł. Wskazał jej na miejsce między holem a drzwiami do salonu. Na ciemnym dywanie leżała spleciona nitka nylonowa, lśniąca lekko w przydymionym świetle górnej lampy. Po włamaniu dokonany przez amerykańskiego dziennikarza Jurij umocowywał ją w drzwiach salonu za każdym razem, gdy gdzieś wychodzili.

Erika mówiła dalej, chociaż z poważnym wyrazem twarzy obserwowała, jak Jurij ostrożnie wchodzi do pomieszczenia. Zapalił światło i stanął na środku, czujnie się rozglądając.

Drzwi do sypialni były uchylone. Zamknęli je przed wyjściem. Jurij wyjął z kieszeni skózaną pałkę, włożył kciuk w pętlę i bez słowa owinał wokół przegubu. Podeszedł do drzwi i otworzył je kopniakiem. Uderzyły w ścianę z łoskotem i odbiwszy się, wróciły do poprzedniej pozycji.

Erika weszła do salonu. Widziała, jak Jurij przekracza próg sypialni. Zniknął jej z oczu, bo ruszył ku szafie ustawionej wzdłuż ściany po lewej stronie. Słyszała, jak otwiera drzwi. Raz jęknął, a potem rozległ się typowy dźwięk, jaki wydaje padające ciało.

— Jurij?

Podeszła do drzwi sypialni. Wokół panowała cisza. Przeniosła ciężar ciała na jedną nogę i zajrzała do wnętrza pokoju. Jurij leżał przed szafą twarzą do dołu. Erika obróciła głowę, żeby zajrzeć za drzwi.

— Nie możemy załatwić tego pokojowo? — odezwała się Sabrina.

Przeszła do przodu z rękami opuszczonymi wzdłuż boków. Miała na sobie czarny kombinezon i buty na grubej podeszwie, włosy upięła gładko. Erika, cała spięta, zrobiła krok w tył.

— Chcę tylko zadać parę pytań. Są ważne, a udzielenie odpowiedzi ani cię nie skrzywdzi, ani nie ograniczy wolności.

Erika popatrzyła na nieruchome ciało Jurija. Zauważyła, że został zakuty w kajdanki.

— Nie muszę z tobą rozmawiać.

— Może jednak musisz.

Erika odskoczyła, błyskawicznie wyciągając nóż z kieszeni dżinsów. Otworło się długie i cienkie ostrze.

— Jeśli padną tu jakieś pytania, to ty będziesz na nie odpowiadała. — Głową wskazała salon. — Idź tam. Już.

Erika zerknęła na trzymany przed sobą nóż. Kiedy podniosła wzrok, pięść Sabriny niemal dotykała jej nosa i na dodatek ruszała się szybko. Trafiała ją z głuchym trzaskiem. Niemka upadła. Sabrina wyszła zza drzwi i mocno kopnęła ją dwa razy w żebra. Erika próbowała krzyknąć, ale ją zatkało. Zaczęła się dławić, usiłując wciągnąć powietrze do obolałej klatki piersiowej.

Sabrina wyjęła jej nóż z ręki i złapawszy za kostki, pociągnęła do salonu. Erika zgięła nogę, aby wymierzyć kopniaka. Sabrina wypuściła kostki i wskoczyła na tydkę ofiary obiema

stopami. Teraz Erice udało się wrzasnąć. Złożyła się na podłogę z bólu i tuliła do siebie zgniecioną łydkę.

— No, wstajemy, ślicznotko.

Sabrina stanęła za Eriką i wzięła ją pod pachy. Zaciągnęła na krzesło z wysokim oparciem, przepchnęła ręce między prętami z tyłu i zatrzasnęła kajdanki na przegubach.

— Już. — Przeszła do przodu, ocierając dłonie o nogawki. — Dopiero teraz ty i twój chłopak stanowicie dobraną parę. Poszło mi z wami znacznie łatwiej, niż się spodziewałam.

— Nie ujdzie ci to na sucho — wysapała Erika. — Ani tobie, ani temu drugiemu, Milesowi, czy jak on się tam nazywa.

— Och, daruj sobie. — Sabrina włożyła pod spinkę pasmo włosów, które się wysunęło z koka. — Właśnie mi uszło, nie uważasz?

— Zapłacisz za to — powiedziała Erika. Bolała ją łydka, w oczach pojawiły się łzy, płynęły jedna za drugą po policzkach, a z nimi i sporo tuszu do rzęs. — Mówię o tym, co będzie.

— Czy chcesz, żebym cię potraktowała jeszcze ostrzej?

— Nie ośmielisz się mnie skrzywdzić.

— Już cię skrzywdziłam. I twój przyjaciel również.

— Co mu zrobiłaś?

— Biorąc pod uwagę różnice w wadze między nami oraz fakt, że musiałam sobie radzić z wami dwojgiem, zagrałam nieczysto.

— Co mu takiego zrobiłaś?

— Zwaliłam z nóg dawkę gazu. — Sabrina pokazała jej srebrny pojemniczek, który wrzuciła do kieszeni. — Padł jak kłoda. Za parę minut wróci do siebie i nic mu nie będzie. Do czasu. Jeśli nie odpowiesz na moje pytania, zemszczę się na nim. — Znów sięgnęła do kieszeni i wyjęła strzykawkę z założoną już igłą, na razie w osłonie. — To pentotal.

Erika wyglądała na wstrząśniętą do głębi.

— I nie mów mi, że się nie odważę. Mam ze sobą bardzo dużą dawkę, nawet za dużą.

Sabrina głową wskazała strzykawkę, w której znajdował się płyn żółtej barwy.

— Oszalałaś!

— A więc wiesz, że kiedy serce ofiary rzeczywiście mocno bije, duża dawka może spowodować imponujący wylew krwi do mózgu.

— Możesz go zabić!

— Tak, mogę. — Sabrina podeszła bliżej. Schyliła się tak, że jej twarz znalazła się na tej samej wysokości co twarz Eriki. — Porozmawiamy?

— Czego, do diabła, ode mnie chcesz? Ja nic nie wiem.

— Masz informacje, których potrzebuję. I przestań się wypierać, bo stracę cierpliwość. Posłuchaj: mnie nie stanie się tu żadna krzywda, ale twojemu narzeczonemu i owszem, może. Nie podawaj w wątpliwość moich słów, to byłby fatalny błąd.

— Na miłość boską, czego chcesz?

— Nazwiska, adresu i planu pracy waszego kata.

Erika milczała. Opuściła tylko głowę.

— Czy mam rozumieć, że odmawiasz udzielenia odpowiedzi?

— Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Pracuję dla organizacji, która musi powstrzymać zabijanie mężczyzn z listy Emily Selby.

— Jakiej organizacji?

— Nie powiem ci, ale wbrew temu, co uważasz za dowody zaprzeczające moim słowom, jesteśmy po stronie aniołów.

— Naziści też tak twierdzili.

— Eriko, nie lubię nazistów. Czy kiedykolwiek słyszałaś o neofaszyście nazwiskiem Klaus Schneider?

— Słyszałam. — Kiwnęła głową. — Czy to był twój przyjaciel?

— Ja go dopadłam.

— Łatwo powiedzieć. — Erika nie spuszczała z niej wzroku.

— Nigdy nie ujawniono szczegółów jego schwywania — rzuciła Sabrina. — Założę się, że wiesz, jak do tego doszło.

— Może i tak.

— Pewnie. W ciepłą, sierpniową noc tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku Schneider siedział na ławce przy Unter den Linden. Czekał na transport ukradzionej heroiny, którą zamierzał sprzedać poniżej ceny rynkowej. To była jedna z metod zdobywania pieniędzy dla sprawy. O umówionej porze zjawiła się młoda kobieta, poszedł za nią w krzaki, żeby dokonać transakcji. Tylko że ona zwróciła się przeciw niemu, pobiła, rozebrała i przywiązała do drzewa. A potem zrobiła zdjęcia polaroidem i wysłała do jego towarzyszy, ludzi, którzy uważali go za nowego Führera. Dostali fotografię z ostrzeżeniem, że to samo im się również może przytrafić. Moim zadaniem było zniszczenie grupy. Udało się.

— Szczegóły się zgadzają, ale nie możesz udowodnić, że ty byłaś tą kobietą. — Erika wzruszyła ramionami.

— Przysięgam na życie mojej matki, że to byłam ja.

— To dlaczego nie podoba ci się nasza poważna akcja przeciw faszystom?

— Bo chcecie ich wyróżnić w pień, a nie ma stuprocentowo pewnych dowodów, że odnaleźliście właściwych ludzi.

— A właśnie, że są.

— Żeby tak twierdzić, musieliście zdobyć dowody, które wystarczyłyby do wszczęcia normalnego śledztwa. Dlaczego nie oddacie dokumentacji w ręce policji?

— Tradycyjne śledztwo to zabawa dla grzecznych dzieci i za często kończy się wymierzeniem łagodnej, wyrozumiałej kary. Nasz sposób jest lepszy.

— Eriko. — Sabrina pochyliła się nad nią. — Nie mogę tracić więcej czasu na dyskusje. Mam zadanie do wykonania. Muszę wiedzieć, kim jest wasz kat. Nic mnie nie powstrzyma przed zdobyciem tej informacji. Nie żartowałam mówiąc o zastrzyku.

Erika popatrzyła w stronę sypialni. Jurij odzyskał przytomność. Leżał na dywanie, kaszląc słabo.

— Nie chcę, żebyś mu zrobiła krzywdę. — W jej głosie nie brzmiała już ostra nuta.

— Więc mów.

Przez dłuższą chwilę Erika mierzyła wzrokiem Sabrinę. Wreszcie skinęła potakująco głową.

— Zdejmij mu kajdanki. Daj wody. Potem będę z tobą rozmawiać

— Chcesz, żebym go uwolniła, zanim cokolwiek z siebie wydusisz? — pokręciła przecząco głową. — Odpada. A może najpierw...

— Obiecuję! — wyszeptała ochryplym głosem. — Słowo. Nigdy nie łamię obietnic. A teraz, na miłość boską, pomóż Jurijowi. No, pomóż mu!

Czarny pikap zaparkował na skalistym urwisku ponad rozległą polaną wśród gęstego lasu. Słońce stało wysoko na niebie i mimo otwartych okien w samochodzie było przeszło trzydzieści stopni.

Przez ponad dwie godziny Chuck i Billy siedzieli, obserwując przez zakurzoną szybę kombi Chadwicka, które stało na leśnej polanie. Szarobłękitna farba na masce zdawała się topić z gorąca.

— Taki upał i tyle czasu w samochodzie z trupem — powiedział Chuck. — Ten facet nie jest normalny. Kto wytrzymałby coś takiego?

— Nie zapominaj, że to Anglik.

Wyglądało na to, że pan Beamish nie ruszył się od momentu zaparkowania samochodu. Po prostu zatrzymał się na zakurzonej drodze idącej przez las i przecinającej polanę, tej samej drodze, która prowadziła przez Greenbelt Park. Kiedy się zatrzymał, wyłączył silnik, usadowił się wygodnie za kierownicą i założył ręce przed sobą.

— On nawet nie ma tam klimatyzacji — stwierdził Billy. — Zresztą i tak niewiele by mu pomogła, a w każdym razie nie po tak długim czasie. Obiecałem panu Chadwickowi, że posprzątam wnętrze samochodu, jak ten facet już odwali swoją robotę.

W tym momencie Malcolm Philpott siedzący w samochodzie zobaczył coś, co dwóch mężczyzn w półciężarówce zidentyfikowało dopiero dzięki lornetkom: małą ciężarówkę do przewożenia chemikaliów z błękitną, pękatą cysterną z tyłu. Jechała boczną drogą i wolno stoczyła się w dół wzgórza aż do miejsca, gdzie czekał Philpott.

Za kierownicą siedział Russ Grundy.

— Pan Beamish? — zawołał.

— To ja.

— Czy jesteśmy obserwowani?

— Tak. Russ, bierz się do roboty. Na wzgórzu ponad nami siedzi widownia konająca z ciekawości. Błagam, tylko nie patrz w ich stronę.

Grundy wysiadł. Był ubrany w mundur amerykańskiego kawalerzysty. Podeszedł do kombi i otworzył drzwi, gdy tymczasem Philpott wysiadł z wozu.

— Co mam teraz robić?

— Tam jest zrolowany dywan — wskazał mu tył samochodu. — Żeby nadać autentyczności, w środku zawinięte są dwa plastikowe worki do połowy wypełnione wodą. Chcę, żebyś mi pomógł zanieść go do twojej pustej cysterny i wrzucić do środka przez klapę w górze, którą rzecz jasna najpierw otworzysz.

— Możesz mi powiedzieć, dlaczego jestem tak przebrany?

— Czemu pytasz? Czy żeby dobrze zagrać swoją rolę, musisz zgłębić motywacje kierujące jej postępowaniem?

— Nie, po prostu zżera mnie ciekawość.

— Wiem z doświadczenia, że na ludzką łatwowierność najlepiej działają rzeczywiście zdumiewające rzeczy oglądane na własne oczy. Na przykład: co, u licha, robi kawalerzysta za kierownicą cysterny? Albo co pocznie z trupem zawiniętym w dywan, który wpakował do cysterny?

— Muszę przyznać, że to jest rzeczywiście dziwaczne.

— Dziękuję.

Z pikapa, zaparkowanego na urwisku, Chuck i Billy przez lornetki obserwowali, jak wielki zwój dywanu został wyniesiony z kombi i z niemałym trudem wepchnięty do cysterny. Patrzyli, jak kawalerzysta zamyka pokrywę, schodzi na dół, wymienia uścisk dłoni z Beamishem i odjeżdża. Po paru minutach Beamish ruszył w przeciwnym kierunku.

— Nie mogę się doczekać, kiedy ten dzień się skończy — powiedział Billy do Chucka.

Wróciwszy do Dallas, Philpott zaparkował kombi w ustronnym miejscu obok hotelu. Po wyjściu z pojazdu rozpylił we wnętrzu trzy krople z ampułki kadaweryny, którą mu załatwił Grundy. W ciągu paru sekund wnętrze samochodu wypełnił odór rozkładającego się ludzkiego ciała. Bardzo szybko zamknął drzwi.

— Zadanie wykonane — szepnął z zadowoleniem.

Ta mała wycieczka dała mu wiele radości. Jak dobrze znów działać w terenie. Idąc do hotelu, gwizdał pod nosem. Myślał o gorącej kąpieli, dobrej kolacji i nocnym locie do Nowego Jorku.

— Boję się wspomnień — powiedział Uli Jürgen. — Nienawidzę tego, że władają moja terażniejszością.

— Naprawdę? Jakie to dziwne.

Marianne Edel siedziała na wysokim stołku pośrodku studia o drewnianej podłodze, jej twarz i nagie ramiona zalewało bez miłosierdzia światło słoneczne płynące z wysokich okien i szerokich półokrągłych szyb nad nimi. Starła się mówić, nie poruszając głową.

— A jak inaczej człowiek mógłby sięgnąć do wspomnień? Muszą zawładnąć terażniejszością, bo w ten sposób uświadamiamy sobie ich istnienie.

— Nieodmiennie mi grożą. Dlatego staram się zostawić przeszłość w spokoju.

Jürgen odszedł od sztalug i odłożył pędzel. Uśmiechnął się do płótna, choć pamiętał, by równocześnie zmarszczyć brwi, co dawało wrażenie samokrytycyzmu. Był zadowolony z obrazu. Dzięki niemu czuł się bezpieczny, spełniony. Takich uczuć dostarczały mu wszystkie dobrze wykonane prace dla pieniędzy.

— Myślę, że już skończyliśmy, Frau Edel.

W trakcie czterech tygodni odbyło się sześć sesji i doskonale uchwycił podobieństwo modelki, a potrafiłby tego dokonać nawet zwykły pacykarz. Portret namalował jednak Uli Jürgen, więc jego obraz zawierał znacznie więcej niż samo tylko podobieństwo. Krytycy opisywali go jako artystę, który uwiecznia na portrecie wnętrze modela. Portret Marianne Edel pokazywał ją taką, jaką była w rzeczywistości, ale i z tuzinem filialnych kłamstw: w oczach, ustach, linii podbródka, na szyi. Skóra obwisała i marszczyła się w tych samych miejscach, lecz na obrazie zmarszczki były miękkie, bardziej przypominały jedwabiste draperie niż zmęczony naskórek.

— Czy mogę popatrzeć?

— No cóż...

Pojedyncze przekłamania były nieistotne, ale razem miały za zadanie bezwstydnie i fantastycznie upiększyć Marianne Edel. Ktoś obcy patrząc na portret, widziałby doskonałą harmonię linii, barw i koloru, przemożnie sugerującą żywotność i zmysłowość, uznałby więc, że prawdziwie odbijają rzeczywiste cechy osoby portretowanej. Uli Jürgen znał Marianne Edel zaledwie miesiąc, ale wątpił, by kiedykolwiek wyglądała tak dobrze, jak sugerowało jego dzieło.

— Tak, proszę podejść i popatrzeć.

Ostrożnie zsunęła się ze stołka i zbliżyła do malarza. Przez minutę oboje milczeli, on myślał o spotkaniu, na które umówił się ze swoim księgowym, ona była oszołomiona talentem, dzięki któremu wyglądała absolutnie zgodnie z własnym wyobrażeniem o swej urodzie.

— Jest pan geniuszem.

— Och, niech pani da spokój.

Aż się skulił w sobie, kiedy impulsywnie zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta.

— Mój kochany! — zwołała i znów go pocałowała. Jürgen wstrzymał oddech i czekał, aż to się skończy. Kobieta była po pięćdziesiątce, otyła i niezbyt dobrze zakonserwowana. Z rysów twarzy przypominała mało przystojnego aktora Jona Voighta. Miała nieświeży oddech i fatalnie dobrane perfumy. Była jednak bogata, a Jürgen nigdy nie gardził pieniędzmi ani nikim, kto je wypłacał, bez względu na ich pochodzenie.

— Jak pani sądzi, czy mężowi się spodoba? — spytał, gdy wypuściła go z objęć.

— Zakocha się w nim. Kiedy mogę go zabrać do domu?

— Powinien tu jeszcze schnąć przez przynajmniej dziesięć dni. Jeśli zależy pani na czasie, to mogę załatwić, by za dwa lub trzy dni przewiózł go ktoś, kto umie się obchodzić z mokrymi płótnami. Ten człowiek od razu powiesi go na ścianie.

— To by było cudownie. Czy może to pan załatwić?

— Horst zjawi się tutaj trochę później, żeby zabrać inne obrazy. Omówię z nim wszystko, a potem dam pani znać.

Marianne Edel wzięła płaszcz z wieszaka przy oknie. Jürgen pomógł jej włożyć okrycie.

— Jak na artystę, jest pan świetnie zorganizowany — powiedziała. — I okazał się pan większym myślicielem, niż się spodziewałam.

— Myślicielem? — uśmiechnął się niepewnie. — Dlaczego pani tak sądzi?

— W trakcie moich wizyt tutaj powiedział mi pan tyle ciekawych rzeczy. A to, o czym pan mówił przed chwilą, to o wspomnieniach, poruszyło mnie do głębi.

Gdyby nie była klientką, zaśmiałyby jej się w nos, ale w tej sytuacji tylko zagapił się w filiżankę z kawą. Uwagę na temat wspomnień rzucił wyłącznie, by się popisać. Gdzieś o tym coś przeczytał, a resztę wymyślił na poczekaniu.

— Mój mąż mówi, że jest pan bardzo podobny do Freuda. Po prostu jakby ktoś skórę zdał.

— Freuda? — Malarz spojrzał na Frau Edel.

— Pańska broda, szerokie czoło... I sposób, w jaki pan trzyma pędzel i patrzy na płótno. Freud tak samo trzymał cygaro.

Po raz pierwszy powiedziano mu, że wygląda jak Żyd, i to go zabolalo. Wymownie spojrzał na zegarek.

— Muszę iść — powiedziała Frau Edel. Odprowadził ją do drzwi. — Proszę do mnie zadzwonić, kiedy pan ustali szczegóły przywiezienia portretu.

— Oczywiście.

Przed wyjściem jeszcze raz pocałowała go w policzek. Delikatnie zamknął drzwi za nią i wykrzywił się do wiszących obrazów.

— Freud, też coś.

Zadzwonił telefon. Szybko podniósł słuchawkę. To była sekretarka księgowego przypominająca o spotkaniu.

— Niech mu pani powie, żeby się nie martwił. Wcale nie zapomniałem. Będę punktualnie jak zawsze — obiecał.

Rozległo się mocne pukanie do drzwi. Pewnie Horst, pomyślał, albo ta baba, Edel, o czymś zapomniała. Przemierzył studio i otworzył drzwi. Zobaczył wysokiego nieznajomego o błękitnych oczach i bardzo jasnych włosach, który uśmiechał się pewnie.

— Herr Jürgen? Przyszedłem po paczkę.

— Co takiego? Jaką paczkę? To pomyłka.

— O tę. — Młodzieniec wskazał na tekturowe pudło na środku pokoju.

— Nie, pan się myli. Ja...

Chłopak przepchnął się obok malarza i wszedł do studia. Zatrzymał się przed portretem Marianne Edel, która wpatrywała się w niego ze sztalug.

Jürgen zmieszany odszedł od drzwi, marszcząc brwi.

— Co za śmieć — powiedział młodzieniec z uśmiechem.

— Wynoś się stąd. — Malarz chwycił go za ramię. — I to już, bo wezwę policję.

Młodzieniec wyrwał ramię i wsunął drugą rękę do kieszeni tweedowej marynarki. Wyciągnął z niej czarny rewolwer z tłumikiem.

— Oto pewien fakt, Uli Jürgen. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku malarz Samuel Weiss został wypędzony ze swej berlińskiej pracowni, która mieściła się dwie ulice od tego miejsca, a jego płótna i farby wyrzucono przez okna na bruk. Następnie Weissa zmuszono do noszenia tabliczki ze spisem zbrodni, jakie rzekomo popełnił wobec ludzkości, i

kiedy paradował wokół małego parku w pobliżu pracowni, naziści zrobili ognisko z jego obrazów.

Młodzieniec machnął rewolwerem w stronę Jürgena, nakazując gestem, żeby stanął przed portretem Marianne Edel.

— Kolejny fakt. Samuela Weissa uważano za jednego z największych eksperymentatorów lat trzydziestych. Jego nazwisko wymieniano obok Schwittersa, Hodlera i Kandinsky'ego. Rozjaśniał świat swoją wizją. Ty zaś nazywasz siebie malarzem, artystą, ale nigdy nie wykazałeś się talentem większym ponad umiejętność robienia zgrabnych afiszów.

— O co ci chodzi? Czego ode mnie chcesz? — domagał się odpowiedzi Jürgen.

— Weiss w końcu umarł w Brzezince, ale najpierw został oślepiony, połamano mu ręce i zmiądzono ducha. Taki miał koniec, a całe życie spędził w biedzie. Ty zaś, pacykarz i beztalencie, nie przyniosłeś światu światła, nigdy nie cierpiałeś biedy i zaraz umrzesz w dostatku. Chodzi mi o to, szanowny panie, że pod nurtem codziennego życia aż pulsuje ohydna ironia.

Jürgen zbladł jak ściana.

— Może byś chociaż spróbował umrzeć jak prawdziwy artysta — rzucił blondyn.

— Ostrzegam cię, zaraz popadniesz w prawdziwe kłopoty — stwierdził malarz.

— Nie ja, bynajmniej. Nie będę zaraz cierpiał tak jak wielu ludzi męczonych przez ciebie i kumpli z waszego bractwa. Podobnych do ciebie zakamieniałych brutalni, pielęgnujących barbarzyńską wiarę w siłę, która ma odnieść zwycięstwo.

Jürgen poczuł, że stracił panowanie nad pęcherzem. Starał się przełknąć ślinę, ale w gardle mu zaschło. Przypomniawszy sobie, że dzwonił Wiktor Kretzer, ostrzegając, by miał się na baczności.

— Oto twoja szansa na zbawienie, Uli Jürgenie. Młodzieniec nagle wyciągnął rękę i skierował rewolwer w dół. Wypalił. Jürgen stał w miejscu ogluszony. Jego prawe ramię zrobiło się niesłychanie ciężkie i bezwładne. Spojrzał w dół i zobaczył, że nie ma połowy dłoni. Krew spływała na drewnianą podłogę.

— Jesteś artystą — powiedział młodzieniec. — Staraj się myśleć tak, jak na artystę przystało. Straszne myśli, co? Malujesz prawą ręką, to narzędzie twojej ekspresji. Ale już go nie ma. Nie możesz go użyć, więc twoja muza zamilkła.

— Ty łajdaku — wydusił Jürgen słabym głosem.

— Cóż czyni prawdziwy artysta, którego dosięgła taka katastrofa? Jak zareaguje?

Jürgen zapatrzył się w błyszczące, inteligentne oczy i niezmienny uśmiech, próbując odczytać z nich, jakie jest wybawienie z tego koszmaru. Nagle poczuł ból w ręce i falę mdłości. Złożył się wpół i zwymiotował.

— Cóż więc robi prawdziwy artysta? Co teraz pocznie, gdy został pozbawiony *raison d'être*? — Blondyn pstryknął palcami. — Jeśli jest gotów na wszystko i chce wyrazić siebie wbrew poważnym przeciwnościom, powie tak: do diabła z tym, nauczę się malować drugą ręką.

W tej samej chwili znów wyciągnął rękę i wycelował rewolwer w dół. Wypalił po raz drugi i odstrzelił kciuk oraz dwa sąsiednie palce lewej dłoni Jürgena. Malarz zatoczył się w tył, przez chwilę kołysał na boki, a potem opadł na kolana prosto w kałużę wymiocin.

— Oto znaleźliśmy się w sytuacji ostatecznej. Nie ludź się głupią nadzieją, że nauczysz się malować stopami lub ustami. Straciłeś wszelką możliwość wyrażania siebie. Czy teraz to czujesz? Żal po stracie? Jesteś w czarnej otchłani rozpaczy?

Jürgen chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko jęk. Pod wpływem szoku drżał na całym ciele. Na podłodze z obu stron zbierały się kałuże krwi.

— Chcesz umrzeć. Mam rację? Wiesz, że życie straciło dla ciebie wszelki sens. Powiedz mi, Uli Jürgenie, czy udało mi się sprawić, żebyś to właśnie poczuł?

Jürgen patrzył na wylot lufy, myśląc, że jak na coś tak okropnego, jest mała i nieważna.



— Czy czujesz się tak jak stary, biedny Samuel Weiss musiał się czuć, gdy zabrali mu jego wizję i sposoby jej wyrażania?

Chłopak pociągnął Jürgena do góry i znów ustawił przed sztalugami. Poniósł broń.

— W końcu musiał pragnąć śmierci.

Wypalił malarzowi prosto w twarz.

Sabrina naląła sporą porcję koniaku i podała kieliszek Erice, gdy ta wynurzyła się z sypialni. Kobieta wychyliła trunek w dwóch haustach. Sabrina naląła jeszcze raz. Tym razem Erika piła drobnymi łyżkami.

— Śpi — powiedziała.

Jurij położył się do łóżka. Choć gaz mu zaszkodził, rwał się do bójki, jednak Erika zdecydowanym tonem kazała mu odpocząć. On sam w końcu uznał, że zbyt źle się czuje, by się upierać.

— Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo się z nim związałam — dodała Erika.

— To potrafi człowieka zaskoczyć.

— Pomyślałam: jeśli on umrze, pójdę za nim.

Spojrzała na Sabrinę.

— Muszę ci przypomnieć o twojej obietnicy, Eriko.

— Chodź do kuchni, tam będziemy mogli wszystko rozłożyć.

Sabrina szykowała kawę, a w tym czasie Erika zadzwoniła. Kiedy kawa była już gotowa, pod drzwi podjechał posłaniec na motocyklu. Erika przyniosła do kuchni teczkę i położyła zawartość na dużym blacie. Była tam gruba księga w skórzanej oprawie, album ze zdjęciami, setki spiętych zszywaczem, ręcznie zapisanych stron.

— Te dokumenty są przechowywane w domu pewnego sędziego — wyjaśniła Erika. — Po raz pierwszy, od kiedy je zgromadzono, opuściły tamto miejsce.

Sabrina dotknęła sztywnej okładki księgi.

— To spis zbrodni dokonanych przez Jugend von Siegfried. Znajduje się tam ponad dwa tysiące opisów aktów przemocy, kradzieży, oszustw, szantażu i morderstw, popełnionych przez ostatnie trzydzieści pięć lat.

— To ich własne dokumenty?

— Tak, kopie. Zdobyte z ogromnym trudem, zapewniam. Kosztowało nas to mnóstwo czasu, pieniędzy i wysiłku, a co najmniej jeden ze współpracujących z nami urzędników przypłacił tę pomoc życiem.

— Co to za zdjęcia?

— Katow i niektórych ich ofiar. Sam zbiór znaczy bardzo niewiele, o ile sercem nie odczuje się ogromu już popełnionych i ciągle popełnianych zbrodni.

— A te notatki?

— Dokumentacja, w większości świadectwa ofiar.

— To wygląda jak dzieło miłości lub nienawiści.

— Najbardziej mnie zdumiewało i nadal zdumiewa to — powiedziała Erika — że te spisy w ogóle istnieją. Są tak przerażające. Nazistów zżera zgoła niepojęte pragnienie odnotowania wszystkiego, co robią. Nie potrafią uczynić ruchu, by go nie zapisać. Muszą zostawić po sobie ślad, niczym pies znaczący latarnie. W czasie wojny trwonili niepojęte ilości czasu, pieniędzy i trudu, byle tylko prowadzić dokładne rejestry. Rejestry, które potem wielu z nich doprowadziły przed sąd i na szubienicę.

— To wygląda na całkiem niezłe uporządkowany zbiór.

— Wspaniale uporządkowany. Metodę gromadzenia i katalogowania danych opracował ojciec Emily Selby, Johannes Lustig.

— Krewniak twego ojca.

— Zgadza się. Dla mnie on był wujkiem Johannesem. On też zgromadził pierwsze dokumenty. W miarę upływu czasu, kiedy bardziej się zorganizowaliśmy, poszukiwaniem świadectw i dokumentów zajęłam się ja wraz z innymi członkami Juli Zwanzig.

Zorganizowaną grupą staliśmy się dopiero po śmierci wujka Johannesesa. Takie było jego życzenie.

— Wiem.

Erika westchnęła.

— Chyba powinnam się była tego domyślić.

— Czy wszyscy jesteście zaangażowani w czynną działalność? A może zajmujecie się głównie zbieraniem funduszy i gromadzeniem danych?

— Ja walczę z nazizmem jako takim — odparła Erika. — Moją bronią jest dziennikarstwo. Inni, tak jak odgadłaś, zajmują się zbiórką pieniędzy. Pieniądze te przeznaczamy na prelekcje oraz publikacje, dzięki którym nie umiera prawda o tym, co się stało z całym pokoleniem Żydów. Każde z nas stara się też na swój sposób przyczynić do tego, by nasz ruch nabrał życia i ducha. Najważniejszym jednak celem Juli Zwanzig są bardziej bezpośrednie działania...

— To znaczy zabicie wszystkich żyjących członków Jugend von Siegfried.

— Zgadza się. Wujek Johannes twierdził, że to jedyne rozwiązanie. Żadne z nas pojedynczo ani my wszyscy nie mieliśmy dość odwagi, by tego dokonać, co wcale nie oznacza, że uważaliśmy to za złe. Musieliśmy tylko znaleźć człowieka, który zrealizowałby nasz cel.

— I nie mieliście żadnych skrupułów? Żadnych oporów przed najęciem płatnego mordercy?

— Najmniejszych. Pamiętaj, żyjemy ze świadomością, że rok po roku Jugend von Siegfried systematycznie szkodzi Żydom, niszczy ich i zabija, uważając to za cel swego istnienia. Robią to subtelnie, nawet się bezpośrednio ze sobą nie komunikując. Jeśli ich się nie powstrzyma, nigdy nie zaprzestaną swej działalności. Ktoś musi ich pohamować, ktoś musi wymierzyć im karę.

— Zgromadziliście tu dość dowodów, żeby mogła się nimi zająć policja.

— Wujek Johannes nie chciał, by przekazać ich w ręce prawa. Do wymierzenia takiej sprawiedliwości, o jaką zabiegał, potrzebowaliśmy kogoś, kto równie mocno jak my nienawidzi nazistów i kto jest zdolny do zabijania.

— Więc kto to robi? Kim jest ten tajemniczy młodzieniec z blond włosami i błękitnymi oczami?

Erika się zawahała. Dała jednak słowo. Sabrina widziała, jak kobieta odrobinę zwiesza głowę — jedyny znak kapitulacji.

— Nazywa się Einar Ahlin. Jest Norwegiem.

— Dlaczego właśnie on?

— Dwa lata temu przyjechał do Niemiec, bo chciał ogólnie szkodzić neofaszystom. My tymczasem skierowaliśmy jego zainteresowanie na dawnych faszystów.

— Norwegowie niezbyt czule wspominają Trzecią Rzeszę.

— A ten Norweg w szczególności. Ma za sobą trudną przeszłość. Bardzo trudną. Cierpi na epilepsję, boryka się z problemami psychicznymi, a do tego przyszedł na świat w rodzinie wyjątkowo okrutnie dotkniętej przez los. Jego dziadków zamęczyli na śmierć Niemcy, którzy w czasie wojny okupowali Oslo. Ich tragedia rzuciła się cieniem na życie ich córki, która nie pogodziła się z tym aż do swojej ostatniej godziny.

— Matka Einara.

Erika potaknęła.

— W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym popełniła samobójstwo. Przez prawie pięćdziesiąt lat podsyciała w sobie nienawiść do nazistów i już w dzieciństwie wpoila ją synowi. Wiele osób uznałoby jego obsesję na punkcie karania nazistów za patologiczną.

— Wam ona jednak była na rękę.

— Możesz sobie to interpretować, jak chcesz. Einar wierzy w słusność tego, co robi. Ja też. Z przyjemnością finansuję działania, które owocują osiągnięciem tak przez obie strony upragnionego celu.

— Wasze dowody wystarczyłyby na skazanie reszty zygfyrdowców na dożywocie — podsunęła Sabrina.

— Uważasz, że powinnam ich oddać w ręce policji?

— Byłby to cywilizowany sposób rozwiązania sprawy.

— I tu wracamy do kwestii kary — powiedziała Erika. — Czy pragnienie wymierzenia słusznej kary jest niecywilizowane? Tu sprawdza się jedynie biblijna sprawiedliwość. Ci dranie od najmłodszych lat działali na szkodę Żydów. Zrujnowali życia, oczerniali i mordowali ludzi, których nawet nie znali. Muszą za to zapłacić. Odpowiedź liberalnej, oświeconej cywilizacji — dożywotnie więzienie — nie wystarcza. Niech życiem zapłacą za życie.

Sabrina zauważyła, że z głosu Eriki zniknął żar. Wyrzucała z siebie słowa, ale nie brzmiały one przekonująco.

— Gdzie jest Einar Ahlin?

— Nie mam pojęcia.

Jeszcze nie wygasł opór, który świadczył o zaangażowaniu Eriki w sprawę.

— Nie bądź niepoważna.

— Zgodziłam się współpracować, ale nie obiecywałam, że podam ci go na talerzu. Zresztą mówię prawdę. Nie wiem, gdzie mieszka. Zawsze spotykamy się na neutralnym gruncie. Opiera się na liście z adresami, którą dała mu Emily, a ofiary usuwa w takiej kolejności, w jakiej widnieją na zdjęciu.

— Jakim zdjęciu?

Erika otworzyła album na stronie, gdzie znajdowało się powiększenie zdjęcia. Fotografia formatu dwadzieścia pięć na dwadzieścia przedstawiała Adolfa Hitlera, który w strugach deszczu stoi na zburzonej ulicy, salutując grupce chłopców.

— Jugend von Siegfried — oznajmiła Erika. — Sfotografowana w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, w dniu jej powstania.

Obok każdej postaci białym atramentem wpisano nazwiska. Pierwszy chłopiec z lewej nazywał się Karl Sonnemann. Dalej stał Stefan Fliegel. Obok Uli Jürgen.

— Einar przekroczył swoje kompetencje, kiedy pojawił się Amerykanin — dorzuciła.

— Harold Gibson.

— Tak.

— Skąd się o nim dowiedział?

— Emily pocztą elektroniczną przesłała mi wiadomości o nim i jego organizacji, wszystko na podstawie dokumentów wujka Johanna, które w chwili śmierci gromadził do artykułu o Amerykanach finansujących nazistowską organizację w Berlinie.

— I pokazałaś to Einarowi?

Erika potaknęła.

— Rzuca się na wszelkie tego rodzaju informacje jak wygłodzony wilk. Zaciekało go to, prowadził samodzielne badania.

— Wiedziałaś, że zamierza zlikwidować Harolda Gibsona?

Erika potrząsnęła głową.

— Czyli nie macie żadnej kontroli nad tym facetem, prawda?

Erika nie odpowiedziała. Sabrina ponownie przyjrzała się zdjęciu.

— Uli Jürgen — powtórzyła. — Nazwisko brzmi znajomo.

Erika ruchem głowy pokazała radio.

— Uli Jürgen. Było w wiadomościach. Rano znaleziono jego ciało.

Sabrina popatrzyła Erice w oczy. Mierzyły się wzrokiem. Agentka próbowała uświadomić kobiecie powagę sytuacji.

— Słuchaj, Eriko — przemówiła w końcu — chcę, żebyś coś zrozumiała. To wszystko znacznie przerosło rozmiary waszej osobistej wendety. Wystawiacie na szwank życie innych ludzi, a to może pociągnąć za sobą nieobliczalne konsekwencje. Dlatego spytam jeszcze raz i oczekuję uczciwej odpowiedzi, nie uników: w jaki sposób kontaktujesz się z Einarem Ahlinem?

Erika zawahała się, bacznie obserwując Sabrinę. Widać powaga na twarzy Amerykanki ostatecznie ją przekonała, gdyż powiedziała z ociąganiem:

— Ma dziewczynę. Działa jako kurierka między nami dwojgiem.

— Gdzie mieszka?

Erika z półki nad blatem zdjęła notes i ołówek.

— Nazywa się Magda Schaeffer.

— Pamiętaj — ostrzegła Sabrina — jeśli okaże się, że to zły adres, wróć do ciebie.

— To ten adres, masz moje słowo. — Erika nabazgrała nazwę ulicy, Oranienstrasse, i numer. — Mieści się tam mały klub nocny, gdzie Magda jest striptizerką. Mieszka w pokoju nad lokalem.

Sabrina wsunęła kartkę do kieszeni. Jeszcze raz przyjrzała się fotografii. Chłopiec, który stał obok Uli Jürgena, nazywał się Andreas Wolff.

— Masz skaner? — spytała.

— Po co?

— Po to. — Sabrina z hukiem zatrzasnęła album. — Chcę to skopiować. I to natychmiast.

— Tego nasza umowa już nie obejmowała.

Erika nadal jej nie ufała. Sabrina czuła, że ten protest to kolejna próba.

— Więc po co w ogóle mi pokazywałaś te papiery? Po co kazałaś je tu przywieźć?

— Chciałam, żebyś je zobaczyła, zrozumiała, jaką odgrywają rolę w tym, co robimy.

Sabrina potrząsnęła głową.

— Chciałaś mnie sprowokować, żebym to przekazała odpowiednim władzom. Nadal chcesz, by zygfyrdowcy ponieśli karę, ale doskonale zdajesz sobie sprawę, że policja złapie Einara, zanim zlikwiduje chociaż połowę tych ludzi, a szanse znalezienia drugiego Einara praktycznie równają się zeru.

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Proszę cię, Eriko, nie traktuj mnie jak skończonej kretynki. Wasz morderca to ekstrawertyk, a każde zabójstwo jeszcze bardziej go nakręca. Przestaje uważać. Wpadnie, i to szybko.

— Mamy misję...

— Wiesz, że lada chwila waszą jedyną szansą na ukaranie tych typów będzie przekazanie sprawy policji, bo na waszego kata nie będziecie już mogli liczyć. Sądzę też, że odczuwszy dziś na własnej skórze, co znaczy strach o kogoś bliskiego, uznałaś, że chyba lepiej zrezygnować z przemocy.

Erika milczała przez chwilę, potem kciukiem pokazała drzwi.

— Skaner jest w moim gabinecie po drugiej stronie korytarza.

— Chodź, pomożesz mi.

Erika uruchomiła komputer, a Sabrina przy użyciu skanera przenosiła strony dokumentów na ekran. Powstały w ten sposób zbiór był bardzo obszerny.

— Jak zamierzasz to przegrać na dyskietkę? — spytała Erika. — Za nic nie da rady.

— Nie wezmę ze sobą kopii — odparła Sabrina. — Wyślę to do mojej tajnej skrytki. Odejdź od klawiatury.

Uruchomiła modem, połączyła się z komputerem ONZ i wystukała hasło dostępu do poczty UNACO. Pojawiła się kasetka i Sabrina podała swoje hasło. Wieczko się uchyliło.

Zaadresowała zbiór z dokumentami Eriki do C.W. Whitlocka i przesłała cały plik. Zajęło to trzy minuty. Skończywszy, napisała jeszcze parę słów, zaopatrzyła w notkę: BARDZO PILNE i również zaadresowała do Whitlocka.

— A teraz już mogę ostatecznie zniknąć z twojego życia — zwróciła się do Eriki.

— Ręczysz?

— Nie, ale nie chcę już mieć z tobą do czynienia. Powiedziałyśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia.

W drzwiach jeszcze się zatrzymała.

— Rozumiem twą misję, Eriko. Nie czuj się wykorzystana albo oszukana. Waszego człowieka szczęście w końcu opuści.

Erika klepnęła się po rękę, możliwe, że w ten sposób godząc się z rzeczywistością.

— Wobec tego, co się wydarzyło, żywię... — zawahała się — mieszane uczucia. Żeby mnie zrozumieć, musiałabyś być niemiecką Żydówką.

C.W. Whitlock szedł korytarzem UNACO. Właśnie skończył rozmawiać i chował do kieszeni telefon komórkowy, kiedy za jego plecami wyrósł Philpott.

— Jest do ciebie wiadomość z Berlina — odezwał się, machając ręką w stronę „dziupli”.  
— Rzucimy okiem?

Weszli do środka i Whitlock usiadł przy konsolce. Upewniwszy się, że korespondencja w skrzynce pochodzi od Sabriny, uruchomił odczyt połączony z równoczesnym drukowaniem i wstał, czekając, aż się pojawi pierwsza strona.

— Przetłumaczysz mi z grubsza, o co tam chodzi? — poprosił Philpott, patrząc na tekst.

Whitlock skinął głową, po czym przez bite dziesięć minut tłumaczył, co w przybliżeniu znajduje się na długiej taśmie papieru, wysuwającej się z drukarki. Czytał potwierdzenia nielegalnych transakcji, które doprowadziły do bankructwa firm należących do Żydów. Czytał pełne buty i zadowolenia z siebie relacje z eksmisji, nocnych napaści, zbiorowego gwałtu na Żydówkach i dwóch morderstw. Przy opisie drugiego zabójstwa Whitlock przerwał.

— Chyba muszę to łykać w mniejszych dawkach — stwierdził.

— Rzeczywiście. — Philpott zaczął zwijać wydruk. — Nasza kochana dziewczynka odkopła gniazdo wyjątkowo obrzydliwych żmij. Ściągniemy tłumaczy, niech oni się tym zajmą. Muszę też uzgodnić spotkanie z przedstawicielami niemieckiego poselstwa.

Zerknął na monitor.

— Co to tak miga, C.W.?

Whitlock poszedł za jego wzrokiem.

— Cholera. — Wcisnął klawisz CZYTAJ. — To oddzielna wiadomość. Pewnie Sabrina chciała, żebyśmy najpierw ją przeczytali.

Na ekranie monitora rozbłysł tekst komunikatu Sabriny. Był krótki i przerażająco zwięzły. „Wolff może być kolejny na liście”.

— Porozmawiaj z nią jak najszybciej — nakazał Philpott — a potem ostrzeż Mike’a.

— Uli Jürgen — powtórzył Wolff. Przez telefon jego głos brzmiał matowo. — Słyszałem w radiu wiadomość o jego śmierci i nazwisko wydało mi się znajome. Teraz, gdy o nim wspomniałeś, przypominam sobie, że chyba jedna z osób, które poznałem w restauracji przy Leipziger Strasse, właśnie tak się nazywała. To było jedno z tych spotkań zaaranżowanych przez Rudolfa Altenberga. O ile dobrze kojarzę, to Jürgen był gadatliwy, zachowywał się trochę jak showman.

— Figurował na liście — odparł Mike. — Na pewnym starym zdjęciu, które posiada morderca, stał tuż obok osoby noszącej takie samo nazwisko jak ty. Właśnie dlatego dzwonię: żeby cię ostrzec. Na tym zdjęciu znajdują się wszyscy mężczyźni, wówczas jeszcze chłopcy, z listy.

— Przychodzi mi na myśl — powiedział Wolff — że może ta grupa, którą Altenberg mi przedstawił, to ludzie z tej listy. Wszyscy mniej więcej w moim wieku, wszyscy zachowywali się, jakby nie byli grupą. Siedzieli osobno, nic nie wspominali, by coś ich łączyło, a równocześnie zachowywali się, jakby się nie widzieli od lat i z trudem ukrywali zadowolenie ze spotkania. Dziwne, jak takie rzeczy natychmiast rzucają się w oczy.

— Pamiętasz coś jeszcze?

— Robiono mnóstwo zdjęć. Zdaje się, że odbywała się zbiórka pieniędzy na cele dobroczynne. — Wolff nagle urwał. — O, Boże — pstryknął palcami — na śmierć zapomniałem...

— O czym?

— Dwie różne osoby, członkowie tej koterii, o ile to była koteria, powiedziały mi, że tak samo jak ja nazywał się ich przyjaciel z dzieciństwa, niestety przedwcześnie zmarły.

Mike jęknął.

— No tak, wszystko jasne, wzięli cię za kogoś innego.

— O nie, ani przez chwilę nie ulegało wątpliwości, że mnie z nim nie pomylili.

— Oni nie, ale ci, którzy sporządzali listę. — Mike nie wątpił, że Wolff nie kłamie. — Byłeś w odpowiednim wieku, żeby załapać się do Hitlerjugend.

— Musiałbym się bardzo natężyć.

— Tamci należeli do ostatniej, najmłodszej grupy członków. Widziano cię w ich towarzystwie i przez obrzydliwy zbieg okoliczności znalazłeś się na liście. Wystawi to na szwank twoją opinię, ale na największy szwank zostaną wystawione twoje szanse dożycia późnej starości.

— Trudno mi się pogodzić z myślą, że może mi coś grozić.

— Cóż, będziesz musiał. Możliwe, że w tym momencie znalazłeś się na pierwszym miejscu listy. Masz się nigdzie nie ruszać bez ochrony.

— Jak sobie życzysz.

Mike się rozłączył, po czym zadzwonił do Nowego Jorku, do Philpotta i zrelacjonował mu rozmowę z Wolffem.

— Po otrzymaniu wiadomości od Sabriny pogrzebaliśmy trochę w archiwach prasowych — powiedział Philpott. — Okazało się, że berliński biznesmen, niejaki Andreas Wolff, urodzony w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku w Monachium, zginął w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku w wypadku samochodowym. Co ciekawsze, z notki prasowej z pogrzebu dowiedziałem się, że wśród żałobników widziano Ericha Bahra i Klausea Garlanda.

— Obaj z listy.

— Tak więc prawdziwy Wolff nie żyje, a naszego człowieka pomyłono z nieboszczykiem. — Mike usłyszał w tle jakieś przytłumione głosy. — C.W. właśnie usiłuje przekonać

austriacką policję, żeby podwoiła ochronę Wolffa — ciągnął Philpott. — Kontaktowałeś się z Sabriną? Bo zakładam, że jesteś w Berlinie?

— Jestem w Berlinie, ale jeszcze się z nią nie kontaktowałem. Mam zamiar to zaraz zrobić.

— Jeśli tylko coś się wydarzy, złego czy dobrego, dajcie mi znać.

Mike udał się prosto do baru przy Kantstrasse, niedaleko Kurfürstendamm. Sabrina już czekała przy stoliku w pobliżu drzwi. Luźno puszczone włosy opadały jej na ramiona. Miała na sobie ciemnoniebieską lnianą sukienkę, rozszerzaną u dołu, na ramiona zarzuciła jedwabny szal.

— Wybierasz się na jakąś galę? — spytał Mike, przysiadając się.

— Po prostu chciałam wyglądać jak człowiek, to wszystko. — Sabrina nalała mu wina z karafki. — To „Scheurebe Kabinett”. Całkiem niezłe.

— Dlaczego kazali ci zostać w Berlinie? — zaciekawił się Mike. — Czyżby ktoś uważał, że sam sobie nie poradzę?

— Decyzja o pozostawieniu mnie w Berlinie równa się zaparkowaniu wozu w wygodnym miejscu. Zdaniem C.W. szef chce sfinalizować sprawę w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. A kiedy ma się do czynienia z bezpośrednią konfrontacją, a nie rutynowym zatrzymaniem podejrzanych, to chyba rzeczywiście lepiej wystawić dwójkę ludzi, nie jedną osobę. — Sączyła wino. — Byłbyś tak miły i powiedział, jak teraz wygląda sytuacja?

Mike streścił rozmowę z Wolffem.

— Jak chcesz namierzyć mordercę? — spytał.

— Przez jego dziewczynę, Magdę Schaeffer. To striptizerka w nocnym klubie przy Oranienstrasse. Już ci kupiłam wejściówkę. Przedstawienie zaczyna się o jedenastej.

— Nawet jeśli dopadniemy faceta, nie podniesie grzecznie rączek do góry i nie przyzna się do wszystkiego — powiedział Mike. — To nie byłoby w jego stylu. W razie wpadki będzie walczył do upadłego.

— Nie on pierwszy i nie ostatni.

— Śnił mi się zeszłej nocy. Nie pamiętam dokładnie, ale ten facet właśnie zastrzelił kogoś w tle. Szedłem prosto na niego, a on stał z jeszcze dymiącym pistoletem w dłoni. Już miałem go capnąć, kiedy się do mnie odwrócił i posłał mi promienny uśmiech. Nie potrafiłem się oprzeć, też się uśmiechnąłem, a tymczasem on podniósł broń i strzelił mi prosto w serce. Obudził mnie ból.

— Zły moment wybrałaś sobie na opowiadanie koszmarów.

— A są na to dobre momenty?

— Mój przyjaciel Pratash uważa, że tak.

— Pratash. Chyba nie miałem przyjemności poznać gościa.

— To mistyk. A przynajmniej za takiego się ma. Spotkałam go w Kalkucie. Twierdził, że przyciągnęło go moje promieniowanie.

— Które staje się szczególnie wyczuwalne, jeśli się ubierzesz w półprzeźroczystą sukienkę.

— Nie podrywał mnie, mówił poważnie. Drobnym, śmiertelnie poważnym staruszkiem. Jego zdaniem świat to jeden wielki błąd i pewnego dnia Stwórca zda sobie z tego sprawę, więc zacznie go przerabiać od początku do końca. Tymczasem zaś powinniśmy trzymać głowę pod parapeetem. A jeden ze sposobów, powiadał, to w chwilach gdy grozi nam niebezpieczeństwo, nigdy nie myśleć o zagrożeniu, nie przypominać sobie snów, w których pojawiło się ryzyko albo śmierć. Twierdził, że takie zachowanie ściąga na nas nieszczęście.



— Cóż, każdy ma swojego duchowego przywódcę — przyznał Mike. — Ja swojego jeszcze nie wybrałem, ale chyba Ralph Waldo Emerson\* będzie pasował jak ulał. To prawdziwy wzór. Wiesz, że lubię pogazować.

— Na motorze.

— Tak, poczuć prawdziwą szybkość. W ten sposób rozładowuję napięcie, ale także szykuję się do wyzwań, jakie stawiają przed nami nasze misje. Uważam, że życie nagradza tego, kto porusza się najszybciej, a prędkość czasem działa niczym parasol ochronny. Emerson mówił: „Kiedy ślizgamy się po cienkim lodzie, tylko szybkość zapewni nam bezpieczeństwo”. I co powiesz na takiego guru uszytego dla mnie jak na miarę?

— Jestem przekonana, że doskonale ci będzie służył. — Sabrina uniosła kieliszek. — Za Ralpa Waldo.

— I za Prataśha — zrewanżował się Mike.

Wypili, patrząc na siebie znad kieliszków. Sabrina poddała się serdecznym uczuciom, jakie teraz się między nimi narodziły.

— Powiedz mi coś, ale szczerze — odezwała się. — Czy rzeczywiście jesteśmy przyjaciółmi? W głębi serca, wbrew zewnętrznym tarciom?

— Chyba tak. Tak.

Nie mogła się zmusić, by spytać o więcej.

— I powiem ci coś jeszcze — dodał Mike. — Tylko jeden, jedyny raz. Jeszcze nie uporałem się z przeszłością, lecz pewnego dnia ona odejdzie. Wtedy będę wyzwolony, a gdy to się stanie, możliwe, że dostrzeżesz pewne zmiany.

— Masz na myśli, że nadejdzie dzień, kiedy na swój widok nie będziemy sobie z punktu skakać do oczu?

— Coś w tym stylu.

Znowu się uśmiechnęli. A wraz z nimi kobieta za barem.

Z dramatycznego punktu widzenia w przedstawieniu Magdy Schaeffer pojawiło się mnóstwo sprzeczności, spora doza napięcia, lecz całkowicie brakowało mu wyobraźni.

Przy dźwiękach muzyki elektronicznej Magda wiła się i kołysała w kręgu światła na maleńkiej scenie. Co pewien czas robiła stosowną pauzę i z wyraźną niechęcią pozbywała się kolejnej części garderoby, a z każdą zrzuconą szmatką jej podniecenie zdawało się rosnąć. W miarę jednak upływu czasu pogarszało się jej wyczucie i udawaną zmysłowość zastąpiło wulgarne epatowanie ciałem. W końcu występ, który początkowo stanowił próbę improwizowanego tańca erotycznego, przybrał formę prymitywnego striptizu, kiedy to tłum rykiem domaga się zrzucenia ostatniego skrawka bielizny. Gdy Magda w końcu się na to zdecydowała, publiczność, która już straciła zainteresowanie przedstawieniem, nagrodziła ją wątlymi oklaskami.

Mike nie zamierzał tracić czasu na subtelności. Dziesięć dolarów zapewniło mu całkowitą współpracę barmana, który obiecał, że kiedy tylko Magda się ogarnie, każe jej się przysiąść do stolika Mike'a w rogu.

„Nie minęło pięć minut od zakończenia programu, a dziewczyna już siedziała na krześle naprzeciwko Mike'a. Miała na sobie białą koszulkę bawełnianą i džinsy, w ręku trzymała niewielką torbę, w której zapewne znajdował się jej kostium.

— Mam nadzieję, że spodobał się panu występ, panie... — Zatrzepotała ciężkimi od tuszu rzęsami. — Jak mam się do pana zwracać? A przy okazji, mam na imię Magda.

— A ja Mike. — Próbował ocenić, ile dziewczyna może mieć lat. Najwyżej dwadzieścia, ale tryb życia i nadużywanie kosmetyków już dawały o sobie znać. — I tak, podobał mi się występ. Masz śliczne ciało.

---

\* Amerykański pisarz i filozof moralista, twórca transcendentalizmu (1803–1822).

— Dziękuję.

Spuściła oczy. Mike'a nieodmiennie śmieszyło, jak dziewczyny z tej branży zawsze w takich sytuacjach płoną rumieńcem. Najmniejsza nieskromna uwaga, a odpłyną na fali urażonej godności.

— Już dzisiaj nie występujesz?

— Tutaj nie — odparła. — Dwa razy w tygodniu mam specjalistyczne przedstawienie w „Saucy Sailor” pod drugiej stronie ulicy.

— Specjalistyczne przedstawienie?

— Zgadza się. — Znowu skromnie spuściła powieki. — To coś zupełnie innego niż tutaj i wstęp więcej kosztuje, ale klienci powiadają, że warte ceny.

— To znaczy, że zaraz tam idziesz?

— Tylko się napiję.

Mike zrozumiał aluzję i ruchem dłoni przywołał barmana, który czekał na znak. Miał już przygotowanego drinka. Mike zauważył, że podając trunek, puścił oko do Magdy.

— Zdrówko, Mike — powiedziała, jednym haustem wypijając whisky, jakby to była woda. Pochyliła się w stronę Grahama. — Jeśli chcesz, możemy się spotkać, kiedy skończę występ w drugim lokalu.

— Byłoby mi bardzo miło, ale jestem ogromnie niecierpliwy, Magdo. Myślisz, że udałoby mi się namówić cię, żebyś dziś wieczorem nie wystąpiła w „Saucy Sailor”?

Zmarszczyła brwi, lecz ten gest wyglądał równie sztucznie jak wcześniejszy uśmiech.

— Straciłabym honorarium za występ....

— Wynagrodziłbym ci to.

— Musiałabym też załatwić zastępstwo. Inaczej podpadłabym szefostwu, chyba rozumiesz.

— Ile musisz zapłacić koleżance?

— W dolarach? Potaknął.

— Pięćdziesiąt.

Mike wyjął portfel, wyciągnął z niego pięć dwudziestek i położył je na stoliku.

— W ten sposób wyrównalibyśmy rachunki. — Popchnął banknoty w stronę dziewczyny. — Przynajmniej za jedną rzecz — dodał, na co powtórnie zatrzepotała rękami.

Zastępstwo załatwiono przez barmana, który bynajmniej nie wyglądał na zaskoczonego tą transakcją. Magda wypila jeszcze jednego drinka, po czym zasugerowała, żeby poszli na górę, do jej pokoju, gdzie jest trochę spokojniej.

Fakt, było tam spokojniej, stwierdził Mike, wchodząc za dziewczyną do jej klitki. Za to panowały też duchota i bałagan. Mike nieraz już widział biedne pokoje, które mimo wszystko mówiły coś dobrego o swoich lokatorach. Jednak to pomieszczenie, pełne walających się opakowań po jedzeniu, brudnych szklanek i przepelnionych popielniczek, potwierdziło pierwsze wrażenie Mike'a, gdy zobaczył dziewczynę na scenie. Magda Schaeffer to ni mniej, ni więcej tylko pozbawiona klasy dziwka.

— Usiądź — odezwała się do Mike'a. — Zaraz wracam.

Opadł na zakurzony fotel, który zatrzeszczał pod jego ciężarem. Magda zniknęła za zasłoną w drugiej części pokoju. Kiedy znowu się wynurzyła, trzymała w rękach dwa drinki.

— Mam nadzieję, że nie pomyślałaś sobie, że często to robię. Zaprosiłam cię tu tylko dlatego, że mi się spodobałaś.

— Pochlebiasz mi.

Powiodła ogryzionym paznokciem wokół jego ucha.

— Co chcesz, żebym zrobiła?

Uśmiechnął się.

— Wstań — szepnął.

Odsunęła się i stanęła przed nim, przyglądając mu się spod spuszczonej powieki. Mike podniósł się z fotela, sięgnął pod kurtkę i wyciągnął pistolet. Wymierzył prosto w szyję Magdy. Głośno wciągnęła powietrze i cofnęła się o krok.

— Nie bawię się w żadne brudne numery — ostrzegła.

— Ale ja tak.

— Będę krzyczeć!

— Tylko spróbuj, a w chwilę potem będziesz martwa.

— Proszę, nie rób mi krzywdy.

— Muszę przyznać, że jestem wstrząśnięty. — Mike cofnął się odrobinę, cały czas celując w Magdę. — Ładnie to tak traktować swojego chłopaka? Zabawiać się z innymi facetami za pieniądze?

— Nie mam chłopaka.

— Nazywa się Einar. Einar Ahlin.

Wpatrywała się w niego, poruszając ustami.

— Kim jesteś?

— Jestem Mike, zapomniałaś? Pytałem cię, jak godzisz takie zachowanie z lojalnością wobec chłopaka?

— Einarowi to nie przeszkadza.

— Nie chce mi się w to wierzyć, Magdo.

— Jestem jego dziewczyną, ale nie... — Wzruszyła ramionami. — Czasem tylko go tulę, kiedy płacze. To wszystko. Nie jesteśmy kochankami.

— Gdzie on teraz jest?

— Tego nie wiem.

— Powiedz mi, gdzie jest. — Mike poruszył bronią.

— Przysięgam, nie wiem. Nikomu tego nie mówi. Często tu przychodzi, ale nie wiem, gdzie potem znika.

— Wiesz, co robi?

Przełknęła ślinę.

— Magdo?

— Zabija ludzi.

— Powiedział ci?

— Zawsze mówi.

— Musisz się chociaż domyślać, gdzie się podziewa, gdy cię nie odwiedza.

— Nie wiem, gdzie wtedy idzie. Wiem tylko, że w tym momencie wyjechał w związku ze zleceniem.

Magda zatrzymała wzrok na malutkim kominku.

— Ma tutaj swoją skrytkę. — Pokazała Mike'owi metalową płytę z drzwiczkami w środku, wstawioną w cegły w głębi paleniska. — Tutaj go przechowuje, a kluczyk nosi na szyi.

— Co tam jest?

— Jego grafik, tak to nazywa. Najchętniej bierze jedno zlecenie na tydzień. Każdy tydzień tytułuje imieniem ofiary.

— Tydzień na jedno zabójstwo?

Potaknęła.

— Ma notatnik, na jednej stronie jest siedem dni i na każdej stronie zapisuje jedno nazwisko z listy.

— Dlaczego trzyma notes w sejfie?

— To jedyne bezpieczne miejsce w Berlinie. Tak powiedział. Powiedział, że zrobi tu sobie skrytkę, a gdy już ją przygotował, włożył do niej notes. To dla niego świętość. Te strony to jego życie, więc trzyma je ukryte przed światem.

Mike klęknął przed pustym paleniskiem. Wziął niewielki pogrzebacz i wcisnął go pod dolną krawędź płyty. Poszturchał jeszcze trochę. Wepchnął głębiej, aż odkruszyły się kawałki cegły przy płycie. Jeszcze dwa ostrzejsze szarpnięcia i płyta odskoczyła. Mike sięgnął do skrytki i namacał notatnik. Wyjął go, położył na stoliku.

— To ten grafik?

— Tak.

Mike przerzucał kartki, szukając bieżącego tygodnia. Gdy znalazł, zobaczył napisane ukośnie w poprzek strony jedno nazwisko. Potwierdziły się jego najgorsze obawy.

Andreas Wolff.

— Wszystkie duże przedsiębiorstwa ograniczają wydatki — powiedział Chadwick. — Małe firmy szybko stają się miejscem, gdzie szuka się dobrej pracy i szansy na karierę.

Jego gość, producent form do wyrobów plastikowych nazwiskiem George Winship, wprawdzie kiwał głową, ale nie słuchał uważnie. Siedzieli przy lunchu na tarasie w restauracji „U Don Giorgia” na przedmieściach Waxahachie.

— Właściciel małej firmy, jak pan, może wiele zaoferować, gdy chodzi o zatrudnienie i bezpośrednie przekazywanie funduszy. Szkoda tylko, że grozi panu tak wiele niebezpieczeństw.

— Panie Chadwick, proszę wybaczyć, że przerywam, ale patrzyłem na parking na dole i wygląda na to, że ktoś zainteresował się pańskim autem.

Chadwick wstał i osłonił oczy przed promieniami słońca. Przyjechał starym MGB, jednym z kolekcji angielskich samochodów.

— Jest z tamtej strony, na prawo od automatu wydającego bilety — wskazał Winship.

— O, tak.

Przed wozem stało dwóch mężczyzn. Jeden pisał coś w notesie. Chadwick sięgnął do kieszeni i wyjął miniaturową lunetkę.

— Zawsze pan nosi ją przy sobie?

— Jasne.

— Słyszałem, że aresztowano ludzi za posługiwanie się takimi cackami — rzucił Winship.

Chadwick przyłożył lunetkę do oka i wyregulował ostrość. Zobaczył, jak dwóch mężczyzn zagląda do jego samochodu. Widział wyraźnie ich twarze, na których malował się wyraz troski. Przesunął lunetkę w dół. Mieli porządne, dobrze wyczyszczone buty, na ziemi stały skórzane aktówki. Wcale nie wyglądali na złodziei.

— Chce pan wezwać policję? — spytał Winship. — Mam telefon komórkowy.

— Nie, myślę, że powinniśmy poczekać jeszcze chwilę, nim coś zrobimy.

— Chyba tu idą.

— Co takiego?

— Faceci, którzy weszli wokół pańskiego samochodu. Idą tutaj.

Chadwick obserwował, jak zbliżają się do restauracji. Zatrzymali się tuż przed wejściem i zwrócili się do kelnera. Kilkakrotnie kiwnął głową i nie patrząc w górę, wskazał na taras. Mężczyźni zniknęli pod markizą.

— Zaraz się dowiemy, o co chodzi — stwierdził Chadwick.

Bezskutecznie próbował uśmiechnąć się do Winshipa. Opanował go tak paniczny lęk, że na moment go sparaliżował. Wreszcie zdołał przełknąć ślinę, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią czoło, akurat gdy w drzwiach pojawili się mężczyźni. Zwrócili się do kelnera przy stoliku u wejścia, a on wskazał na Chadwicka. Szli w jego stronę. Z bliska wydali mu się bardzo wysocy. Mieli poważne, surowe twarze, na których nigdy nie pojawia się uśmiech.

— Donald Chadwick? — spytał wyższy.

— To ja. Czym mogę panom służyć?

Wyższy wyjął mały, skórzany portfelik i otworzył go szybkim ruchem. Po jednej stronie był identyfikator ze zdjęciem, po drugiej lśniła odznaka.

— Jestem Louis Cole, agent specjalny FBI, a to agent Hubert Mullins. Czy możemy z panem porozmawiać bez świadków?

— Zaczekam w barze — powiedział Winship, szybko podnosząc się z krzesła. — Jeśli okazałbym się potrzebny, jestem do dyspozycji.

Po jego odejściu pracownicy FBI usiedli przy stoliku. Agent Mullins najwyraźniej był przyzwyczajony do milczenia. Zajął miejsce z groźną miną, tworząc złowrogą atmosferę.

Louis Cole położył obie dłonie na blacie i zmierzył Chadwicka spojrzeniem. Miał jasne włosy i szerokie bary, zupełnie nie wyglądał na słabeusza, jakich ponoć, wedle tego co słyszał Don, miało zatrudniać FBI.

— Czy wie pan, o czym chcemy z panem rozmawiać, panie Chadwick?

— Nie mam pojęcia.

— Nie będę owijał w bawełnę. Dwa dni temu w ręce FBI trafiły pewne dokumenty. Przedstawiają bardzo dokładnie pańskie powiązanie z finansami zmarłego Harolda Gibsona z Dallas.

— Harold był moim bliskim przyjacielem — odparł Don, starając się zachować spokojny ton. — Przez lata robiliśmy razem interesy i Harold zasiadał w zarządzie wielu firm, w których piastuję wysoką pozycję.

— Operacje finansowe opisane w tych dokumentach dotyczą pieniędzy zebranych w tym kraju i ofiarowanych nielegalnej organizacji w Niemczech.

— Nic o tym nie wiem.

— Muszę panu powiedzieć, panie Chadwick, że z powodu innych działań ujawnionych w owych dokumentach już skonfiskowaliśmy akta, rejestry i sprawozdania w firmie, która nazywa się „Nieruchomości Teksaskie” oraz drugiej, „Chadwick i Pearce”.

— Skąd wzięliście te dokumenty? — spytał zdumiony. — Są własnością prywatną i leżą w sejfach.

— Konstytucja daje nam pewne uprawnienia. Trzy banki i biuro księgowo zaangażowane w tę sprawę w pełni włączyły się do współpracy, tak jak tego wymaga od nich prawo.

— A co ze współwłaścicielem... — Donowi zupełnie zaschło w ustach. — Panem Pearce'em?

— Już z nami współdziała, zaczął o dziesiątej dziś rano.

Chadwick obliznął wargi.

— Nim odpowiem na pytania panów, chcę, by znalazł się przy tym mój adwokat.

— Ma pan do tego prawo, a teraz pojedzie pan z nami do hotelu Bolton Rooms w Dallas. Może pan stamtąd wezwać adwokata. Założyliśmy w hotelu naszą bazę i paru moich przełożonych chciałoby zadać panu kilka pytań.

Przełożeni. Jego przełożeni. A więc tą sprawą zajmują się ludzie jeszcze bardziej chłodni i skuteczniej wprawiający w przerażenie niż on, pomyślał Don.

Wstali. Chadwick wyjął z kieszeni plik banknotów i wyciągnął trzy z nich. Wsunął je pod kieliszek z winem.

— A tak między nami, to czy uznałby pan moją sytuację za poważną? — spytał.

— Tak, moim zdaniem tak.

Kiedy szli w dół schodów, odezwał się agent Mullins. Mówił tak cicho i z tak bliskiej odległości, że Chadwick czuł na uchu ciepło jego oddechu.

— Czeka pana wyjątkowo długi wyrok.

W głosie Philpotta brzmiało napięcie. Dzwonek telefonu wyrwał go z głębokiego snu. Powiedział Mike'owi Grahamowi, że przez niego pewnie już nigdy nie usnie.

— Sytuacja w sprawie Andreasa Wolffa jest krytyczna — wyjaśnił Mike. — Ma pojawić się tutaj, w Berlinie, o dziesiątej rano jako gość honorowy na targach gier komputerowych. To będzie za dwie godziny i gdy się tylko tu pokaże, stanie się świetnym celem dla mordercy wynajętego przez Juli Zwanzig.

— Nie udało ci się dotrzeć do tego Einara Ahlina?

— Jakim cudem? Nikt go nie zna, poza tą głupawą dziewczyną. Nie ma kumpli, ulubionej knajpy, nie znamy nawet adresu, pod którym nocuje. Jego dziewczyna przypuszcza, że pojawi się u niej dopiero za jakieś dwa dni. Zupełny brak jakiegokolwiek tropu.

— W takim razie Andreas Wolff nie może pokazać się publicznie. Trzeba mu uświadomić, że jest głównym celem tego szaleńca.

Mike rozejrzał się po pokoju i wyrównał oddech, starając się opanować pokusę głośnego krzyku.

— Właśnie ten problem skłonił mnie do zatelefonowania, szefie. Gdy podniosłeś słuchawkę, ośmieliłem się poruszyć właśnie ten temat. Wolff odmawia współpracy. Próbowałem go przekonać przez telefon, że podejmuje straszliwe ryzyko. Kiedy wcześniej o tym z nim rozmawiałem, pojął istotę rzeczy i wiedział, jakie niebezpieczeństwo mu grozi. Miał czas to przemyśleć i wierzy, że nic mu się nie stanie, póki otaczają go ludzie.

— Dlaczego tak sądzi?

— Uważa, że zamachowiec poluje tylko na określone osoby. Zabija tylko wybrany cel, nie skrzywdzi innych.

— Bzdura.

— Powiedziałem mu o bombie w samochodzie, ale upierał się, że została tak nastawiona, by wybuchnąć, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu. Tłumaczyłem, jak krowie w szkodzie, że nie ma racji, ale nie chciał mnie słuchać. Chodzi o to, że Wolff nie ma zamiaru się ukrywać. Zwłaszcza gdy to oznacza zrezygnowanie z udziału w targach komputerowych. Uwielbia takie imprezy.

— A co z tą Stramm? Czy Sabrina nie zdołała jej przekonać, że nasz Wolff jest niewłaściwym celem?

— Erika Stramm zniknęła z domu. Od wczorajszego ranka nikt jej nie widział i jedyna osoba, z którą utrzymuje bliskie kontakty, ten Rosjanin, Jurij, też zachodzi w głowę, gdzie się podziała.

— Została jedna, wątła szansa — powiedział Philpott. — Udało nam się skłonić oba największe dzienniki, żeby wydrukowały artykuły o udziale Wolffa w targach. W obu jest dokładnie opisane jego pochodzenie, środowisko, umieścili nawet parę zdjęć z dzieciństwa. Może Ahlin je przeczyta i zrozumie, że popełnił błąd.

— Może.

— Domyślam się, że w trakcie pobytu w Berlinie Wolffa będzie pilnowała grupa strzelców wyborowych?

— Niestety nie — odparł Mike. — Przyjeżdżają z nim austriaccy ciemniacy. Duma narodowa i tak dalej.

— To lepiej sam go weź pod opiekę. Zabierz Sabrinę i strzelców wyborowych z berlińskiej policji, którą powinieneś skłonić do współpracy.

— Wierz mi, szefie, zrobię co w mej mocy, żeby ochronić Wolffa.

— Nie chcę, by stała mu się najmniejsza krzywda. Boże, to nie do pomyślenia.

Mike już miał powiedzieć: „Proszę mi zaufać”, ale zabrakło mu pewności siebie.

— Będę cię informował na bieżąco. Przepraszam za obudzenie.

Philpott coś wymamrotał i odłożył słuchawkę. Mike ubrał się do końca, postanowił zrezygnować ze śniadania i zadzwonił do recepcji, żeby mu wezwali taksówkę. Przed wyjściem z pokoju załadował pięciostrzałową trzydziestkę ósemkę, pamiętkę z czasów w Delcie, i umieścił broń w kaburze. Wybrał ją przez sentyment, a poza tym miała trzycalową lufę, dzięki której dawała budzącą zaufanie celność przy strzałach od średniego do dalekiego zasięgu.

Pół kilometra od miejsca, w którym zatrzymał się Mike, Sabrina Carver wyszła minutę po dziewiątej ze swojego hotelu i wsiadła do czekającej taksówki. W dwadzieścia sekund później, gdy taksówka już odjeżdżała, szary, nie rzucający się w oczy opel zaparkowany po drugiej stronie ulicy ruszył i wsunął się między pojazdy za samochodem dziewczyny. Oplem kierował Einar Ahlin. Obok niego siedziała mocno opięta pasem bezpieczeństwa i wściekła Erika Stramm.

— Po co to robisz? — zapytała, gdy przejechali na czerwonym świetle, żeby znaleźć się bliżej samochodu Sabriny. — Już ci mówiłam, zatrzymaj te pieniądze, nawet dam ci znaczną rekompensatę za rozwiązanie umowy.

— Nie o to chodzi — odparł Ahlin.

Erika popatrzyła na niego. Cóż za ironia, wygląda jak dokładne uosobienie rasy, której nienawidzi, pomyślała. Dzisiaj miał na sobie czarną, skórzaną kurtkę i czarną koszulkę polo, przypominał jej zdjęcie czołowego nazisty, Reinharda Heydricha, sfotografowanego, gdy odpoczywał w willi nad Bałtykiem z Hitlerem i Ewą.

— Zdaje się, że zapomniałeś, na czym opiera się nasz układ — odezwała się. — Ja cię wynajmuję i określam cel, a ty wykonujesz moje polecenia i dostajesz za to pieniądze.

— Zdaje się, że już na początku niewłaściwie zrozumiałaś nasz układ — odparł, obserwując pojazdy przed sobą. — Dałaś mi sposobność, by spełnić misję przeciw określönemu złu. Byłem za to wdzięczny i nadal jestem. Nie możesz zakładać, że zrezygnuję w pół drogi. — Spojrzał na nią, szeroko otwierając oczy. — Nie możesz się spodziewać, że amputuję sobie wolę walki. Jestem na wyznaczonym kursie i na tym koniec.

Nigdy wcześniej nie widziała, by się tak zachowywał. Był swobodny, sympatyczny, co tym bardziej złowrogo kontrastowało z mrocznym pragnieniem, aby wyrzynać nazistów w pień. Teraz przypominał jej szczerzącego kły fanatyka.

— Dlaczego traktujesz mnie jak więźnia, Einar?

— Nie jesteś więźniem — rzucił krótko.

— Nie pozwalasz mi robić tego, co chcę. Uparłeś się, żebym tu dzisiaj była z tobą. Ograniczyłeś moją wolność, ja to nazywam traktowaniem jak więźnia.

— Jesteś tu ze mną, bo chcę, żebyś znalazła się w pobliżu, kiedy uderzę w cel. Chcę, żebyś doświadczyła istoty rzeczy, gdy idzie o tę misję; zrozumiała słuszność tego, co robię. Może wtedy uznasz, że muszę ciągnąć ją dalej, a jest to tak samo w twoim interesie, jak i w moim.

— Na litość boską, przecież czytałeś artykuł w gazecie. Ten cały Wolff to nie jest nasz cel. Nie ma nic wspólnego z Jugend von Siegfried. Każdy to widzi.

— Tak, uwierzy w to każdy idiota, ale mnie nie oszukają. Ten artykuł to tylko lepsza zasłona dla nazisty.

Poprzedniego dnia Einar przyszedł do baru, w którym spotykali się raz w tygodniu, żeby dokonać małego rytuału: zjeść posiłek i przekazać czek. Erika oznajmiła, że postanowiła oddać resztę członków Jugend von Siegfried w ręce władz. Einar zamilkł na dłuższą chwilę, niczego nie zjadł i kiedy wreszcie oświadczyła, że już idzie, nie pozwolił jej odejść. Wprawdzie nie uciekł się do siły, ale wiedziała, że to robi, gdyby próbowała mu się przeciwstawić.

Gdy wychodzili z baru, Erika spostrzegła Sabrinę. Powiedziała Ahlinowi, kim jest ta dziewczyna, i nie mogła się powstrzymać: wyrzuciła z siebie całą historię uwięzienia, tego, jak agentka ją przekonała, by przyspieszyć to, co zapewne i tak było nieuniknione. Ahlin wolno jechał ulicą za Sabriną, aż się dowiedział, gdzie mieszka. Potem zamówił dwuosobowy pokój w tanim hoteliku naprzeciwko znacznie wygodniejszego, w którym zatrzymała się Amerykanka. Spędzili tam razem noc, na zmianę obserwując wejście do hotelu.

— Powinnaś się nauczyć dostrzegać znaki i odczytywać ich sens — odezwał się twardo.

— Nie rozumiem, o czym mówisz. Policja już wkrótce zajmie się tą sprawą — oświadczyła stanowczo Erika. — Powinieneś się wycofać, nim się to stanie, bo wtedy dopadną nazistów jak wygłodniałe wilki.

— I po co ja w ogóle z tobą rozmawiam — prychnął gniewnie Ahlin. — Wbij to sobie raz na zawsze do głowy: nie obchodzi mnie ani policja, ani żadna inna organizacja. Dostałem zadanie zesłane mi przez Boga i mam zamiar je wypełnić.

— No to zrób to beze mnie.



— Zostaniesz i będziesz świadkiem tego jednego uderzenia. To ważne, już ci tłumaczyłem dlaczego.

— Chcę wrócić do domu i zobaczyć Jurija.

— Poczeka. A Wolff nie.

Zakręcił i znaleźli się przed rozległym gmachem centrum konferencyjnego.

— To tutaj — wskazał palcem do tyłu.

Erika się odwróciła i zobaczyła, jak Sabrina wysiada z taksówki i płaci kierowcy.

— Pamiętasz, co ci mówiłem, kiedy chciałaś się ze mną kłócić po nocy? Twierdziłem, że ta kobieta będzie laźła za Wolffem. Są częścią jednej całości, nie widzisz?

— Dlaczego ją śledzisz? Przecież i tak miałeś tu przyjechać, we wszystkich gazetach pisali, że Wolff dziś się tutaj zjawi.

Ahlin delikatnie odsunął palce Eriki od zapięcia pasa bezpieczeństwa.

— Ale my tam nie idziemy.

— Dlaczego nie?

— Za dużo ludzi, a Herr Wolff jest pod zbyt czujną opieką. Już i tak zbyt kuszę los, na dziś wystarczy. Pojedziemy za nim, kiedy stąd wyjdzie.

— Jak go znajdziesz w tym tłumie?

— Będzie z obstawą. Zjawi się w czasie największego tłoku. A tu będzie spokojnie — uśmiechnął się lekko. — Wierz mi, Eriko, znam się na tym.

— Nadal mi nie powiedziałeś, dlaczego śledziliśmy tę dziewczynę.

— Chciałem się przekonać, czy nie myli mnie instynkt. Miałem rację. Ona stanowi część tego, z czym walczymy; zrosła się z nimi, bez względu na to, jakie były jej motywy na początku.

— I co?

— A to, że złamię moją zasadę.

— Co to znaczy?

— Że zabiję ich oboje: Wolffa i dziewczynę.

Wolff opuścił targi o pierwszej po południu. Gdy pancerny mercedes, własność wiedeńskiej policji, zajechał przed główne drzwi, wyszedł natychmiast, a za nim wybiegło dwóch ochroniarzy. Mike i Sabrina zostali z tyłu, obserwując boki; broń ukrytą pod płaszczami trzymali gotową do strzału. Dwóch strzelców wyborowych stało przy oknach na drugim piętrze.

Gdy tylko Wolff znalazł się w mercedesie, Mike i Sabrina wsiedli do policyjnego volkswagena, który wynajęli razem z kierowcą; targu dobili szybko w restauracji. Za pięćset dolarów wpłaconych na fundusz pomocy wdowom po policjantach mogli przez sześć godzin dysponować samochodem, kierowcą i strzelbą dalekiego zasięgu.

— Gdzie go zabierają? — spytała Sabrina, kiedy mknęli bocznymi uliczkami do północnej części miasta.

— Do hotelu w dzielnicy Mühlenbeck — odparł Mike. — W cichej ulicy, na uboczu. Zaproponował, że w trakcie pobytu w Berlinie zakończy pracę nad programem zabezpieczającym bazę danych ICON-u, więc zainstalowano mu mnóstwo sprzętu komputerowego w apartamencie na najwyższym piętrze. Zdaje się, że powinniśmy być za to wdzięczni.

— Jak ma wyglądać jego ochrona?

— Austriacy zgodzili się, żeby razem z nimi zostało jeszcze dwóch strzelców wyborowych. Obaj są z berlińskiej policji, obaj świetni. — Mike poklepał ciężki karabin leżący na siedzeniu obok niego. — Ja będę w sąsiednim budynku w towarzystwie tego cacka.

— A ja, jak zwykle, będę obserwowała wejście.

— Sabrino, skąd ta gorączka?

Kiedy dojechali do hotelu, mercedes zatrzymał się tuż przed drzwiami i Wolff został błyskawicznie wprowadzony do środka. Sabrina przeniosła się na przednie siedzenie obok kierowcy. Mike poszedł do magazynu mieszczącego się naprzeciw hotelu, policja zapewniła mu dostęp do okna, z którego miał świetny widok na apartament Wolffa. Zadzwoił do Sabriny z telefonu komórkowego i potwierdził, że zajęli wyznaczoną pozycję.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Te ćwoki siedzą po obu stronach biurka Wolffa i patrzą mu na ręce. Strzelcy powinni się zjawić za parę minut. Chyba szlag mnie trafi, jeśli coś mu się przydarzy.

— A ja właśnie nawiązuję serdeczne kontakty z miłym Niemcem, siedząc wygodnie w samochodzie policyjnym — stwierdziła Sabrina. — Czy Wolff wraca jutro do Austrii?

— Zostanie na miejscu, aż zaaresztujemy niebieskookiego. Piłka jest w grze. Policja już niedługo zacznie go szukać, więc to nie powinno długo potrwać.

Sto metrów od hotelu Einar Ahlin stał obok swojego samochodu i pompował koło, z którego własnoręcznie spuścił powietrze w chwilę po zaparkowaniu. Erika siedziała za kierownicą i próbowała opanować rosnący strach. Kiedy jechali przez miasto, podążając za mercedesem przez zatłoczone ulice i wąskie zaułki, Ahlin powiedział jej, że podjął kolejną decyzję. Nie wystarczy, że opłaca jego usługi, musi sama czynnie wystąpić przeciw Jugend von Siegfried. Musi być przy nim.

— I co teraz chcesz zrobić? — spytała, opuściwszy boczną szybę.

— Czekam na natchnienie — odparł, obserwując hotel. — Myślę, że możemy podjechać bliżej.

Skończył pompowanie koła, schował pompkę do bagażnika i usiadł obok Eriki. Przejechali przed wejście do hotelu. Nigdzie ani śladu mercedesa.

— O Boże, to ona! — zawołała Erika.

Ahlin spojrział na mijany właśnie samochód. Sabrina siedziała, wcale się nie kryjąc, obok kierowcy.

— Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, mówiąc o znakach? — spytał. — Zatrzymaj się!

Erika posłusznie zjechała do krawężnika i nacisnęła hamulec. Ahlin wyskoczył i podszedł do samochodu policyjnego. Erika obserwowała go w lusterku.

— Wariat — mruknęła. Instynkt podpowiadał jej, że powinna rzucić się do ucieczki, ale wiedziała, że jej się to nie powiedzie. Znalazłby ją i wołała nie myśleć, co by wtedy zrobił.

— Wysiadaj! — warknął Ahlin, otwierając gwałtownie drzwi po stronie kierowcy. — Już! Wysiadaj!

Młody oficer wydostał się na zewnątrz i kiedy prostował się koło otwartych drzwi, Ahlin uderzył go w głowę lufą rewolweru. Oficer padł na ziemię bez jęku. Sabrina już otwierała swoje drzwi, gdy poczuła ucisk lufy na plecach.

— Wysiadaj powoli — nakazał Ahlin. — Bardzo powoli. Przesunęła się i wyszła na zewnątrz. W tym momencie pojawił się opancerzony wóz policyjny i zatrzymał się obok hotelu u wylotu uliczki biegnącej za budynkiem. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn w ciemnych mundurach komandosów, nieśli strzelby. Wóz natychmiast ruszył i zniknął za rogiem.

— Kim oni są? — spytał Ahlin. — Mów, bo cię zastrzele. Sabrina wyjaśniła, że są to dodatkowi strażnicy, którzy mają strzec Andreasa Wolffa.

— Idź do nich. Rozmawiaj, improwizuj. Rozumiesz? Sabrina błyskawicznie podniosła ramię do góry, niemal wybijając mu broń z ręki. Ahlin nie wypuścił jednak rewolweru i równocześnie chwycił ją za włosy. Pociągnął z całej siły, aż jęknęła.

— Jeszcze jedna sztuczka, a nie będę się bawił w ostrzeżenia, zastrzele od razu — wymamrotał. — A teraz idź, zagadaj do nich i pamiętaj, że jestem tuż za tobą.

Przeszła przez ulicę, machając ręką do strzelców. Ahlin szedł trzy kroki za nią.

— Idziecie do apartamentu Herr Wolffa? — spytała po niemiecku. — Mogę was zaprowadzić.

Patrzyli na nią zaskoczeni, nie kryjąc niechęci.

— Proszę jej wybaczyć — odezwał się Ahlin, popychając ją przed sobą. Uśmiechnął się czarująco. — Czasem mówi coś bez zastanowienia.

Kiedy znalazł się dostatecznie blisko, odepchnął Sabrinę na bok tak mocno, że upadła na chodnik. Wymierzył z rewolweru prosto w twarz strzelca.

— Rzućcie broń — zasyczał. — Już!

Upuścili strzelby na ziemię. Jednym ruchem Ahlin uderzył pierwszego mężczyznę w twarz, łamiąc mu kość policzkową i godząc drugiego kolbą w podbródek. Obaj upadli. Z pogodnym uśmiechem przykucnął i walnął każdego z nich w skroń komorą rewolweru, widząc kątem oka, że Sabrina z trudem dźwiga się z klęczek.

— Pomóż mi — powiedział do Sabriny, machając bronią. Stał z boku, trzymając ją na muszce, kiedy ciągnęła nieprzytomnych policjantów do zaułku za hotelem.

— A teraz stanę się policyjnym snajperem — oświadczył Ahlin. — A ty będziesz moją śliczną pomocnicą, co? — Wskazał jednego z mężczyzn. — Rozbieraj go.

Osiem minut później patrząc przez celownik, Mike zobaczył, że drzwi apartamentu Wolffa się otwierają i do środka wchodzi policjant. Tylko jeden.

— Lepszy rydz niż nic — mruknął po nosem.

Nadal patrzył, gdy strzelec coś powiedział do siedzących w pokoju. Wolff i dwóch ochroniarzy odwróciło się i spojrzało w jego kierunku.

Od tej chwili wypadki następowały błyskawicznie po sobie. Austriacy zerwali się na nogi, sięgając po broń. Wolff pochylił się nad stołem, chwycił parę dyskietek i wsunął je za pasek z przodu spodni. Policjant opuścił karabin maszynowy i zastrzelił obu ochroniarzy. Kiedy padali, a krew tryskająca z ran zaplamiła tapetę na ścianie, strzelec chwycił Andreasa Wolffa za ramiona i uderzył go kolbą w twarz. Oszołomiony Wolff dał się wywlec za drzwi.

Mike nie zdołał ugodzić napastnika. Chwycił więc broń i zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Gdy znalazł się na dole, zobaczył tylko, jak policyjny volkswagen rusza z piskiem opon. Za kierownicą siedziała kobieta, z tyłu Einar Ahlin i wyglądało na to, że wiąże ręce Wolffa.

Sabrina coś krzyknęła. Mike się odwrócił i zobaczył, że klęczy na chodniku obok hotelu. Miała ręce związane z tyłu. Krew płynęła z rany w ramieniu.

Mike pomógł jej wstać i rozwiązał sznur na jej przegubach.

— Strzelił do mnie wychodząc — dyszała. — Mało brakowało, a by mnie załatwił.

Mike przytulił ją na moment.

— Nie myśl, że jestem gruboskórny czy że się o ciebie nie troszczę, ale nie mam czasu użalać się nad tobą — mówił, rozglądając się po ulicy. — Nie sądziłem, że porwie Wolffa. Muszę gnać za nimi.

— Zrób coś z moim ramieniem, to pojedę z tobą.

Mike wyjął z kieszeni chusteczkę i zgrabnie ją zrolował. Potem owinał wokół przedramienia, zawiązał mocny supeł, poklepał Sabrinę po plecach i oświadczył, że jest już zdrowa.

— No, może prawie zdrowa — zarzucił broń na ramię. — A teraz chodźmy. Musimy ukraść coś szybszego od policyjnego volkswagena.

Wydstawszy się poza granice Berlina, Erika Stramm przez godzinę jechała stale w kierunku południowo-wschodnim, konsekwentnie trzymając się głównych dróg, a skręcając tylko wtedy, gdy zbyt duży ruch uniemożliwiał szybką podróż.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz — zwróciła się do Einara Ahlina. — W każdej chwili może nas zatrzymać policja.

— Policja będzie szukała samochodu w mieście — odparł Ahlin.

Nadal siedział rozparty obok Andreasa Wolffa, który przycupnął z rękami unieruchomionymi z tyłu.

— Właśnie dlatego pokazałem ci szybszą trasę. Policja najprawdopodobniej zablokuje trasy wylotowe, ale ja już w wielu miastach sprawdziłem, ile trwa zorganizowanie takiej akcji, Eriko. Minimum pół godziny, a my wyjechaliśmy poza granice stolicy po osiemnastu minutach. Ponadto policja marnuje czas, a to nad wyraz pocieszająca myśl.

— Nie ograniczą poszukiwań do samego Berlina — oznajmił Andreas Wolff. — To niewielkie porwanko zaowocuje stanem gotowości na całym świecie.

— I znowu nieuzasadnione twierdzenie — odparł Ahlin. — Nie liczą się fakty ani liczby, a jedynie mój instynkt, moje przecucia i to, jak je wykorzystuję w kierowaniu swym losem.

— Moim zdaniem — stwierdził Wolff — powinienes się zwrócić do dobrego psychiatry.

Ahlin się wyprostował.

— Głupotą jest mylenie wyjątkowej ostrości umysłu z zaburzeniami umysłowymi.

— Ja nigdy nie myślę tych dwóch rzeczy. Cierpisz na poważne zaburzenia umysłowe, to nie ulega wątpliwości.

Ahlin zdzielił Wolffa pięścią w twarz, aż ten uderzył głową o boczną szybę. Ledwo się wyprostował, Ahlin powtórzył cios. Wolff jęknął i zagryzł wargi, by powstrzymać strużkę krwi.

— Nie waż mi się odzywać — rozkazał mu porywacz. Spojrzał nad ramieniem Eriki na drogę. — Jaki był ostatni drogowskaz?

— Gristow, osiemdziesiąt dwa kilometry.

— W takim razie powinnaś trochę przyspieszyć.

Zaczęło padać, duże krople deszczu rozpryskiwały się na szybie.

— Jesteś pewny co do łodzi? — dopytywała się Erika, dociskając gaz i przyspieszając. — Skąd wiesz, że będziemy mogli z niej skorzystać?

— Należy do mnie, więc będę mógł z niej skorzystać.

Erika tego nie skomentowała, co Ahlin uznał za przejaw niedowierzania.

— Rozumiesz, ukradłem ją. Uznałem, że moje przeznaczenie leży w tym kraju, a jako że od dzieciństwa dobrze pływałem, postanowiłem tu dotrzeć drogą morską. Wybrałem najładniejszą motorówkę w Arendal, w południowo-wschodniej Norwegii. Była zaopatrzona w żywność, zatankowana, wyposażona w najnowocześniejsze urządzenia nawigacyjne. Miała nawet uzbrojonego strażnika. — Ahlin zaśmiał się cicho. — Wtedy po raz pierwszy zabiłem. Wiedziałem, że będę musiał to zrobić. W ten sposób sprawdziłem, czy jestem już gotów spełnić moją misję.

— Nikt cię nie ścigał?

— Pewnie próbowali, ale szukali białej motorówki zarejestrowanej w Oslo. Minąwszy Skagerrak, zanim wyruszyłem do Kattegat na północnym wybrzeżu Niemiec, zatrzymałem się w szwedzkiej stoczni, gdzie za niewielką odpłatnością zmienili numery i barwy mojej motorówki, obecnie posiadającej miły, morski kolor.

— Skąd masz pewność, że jeszcze tam jest?

— Bo często ją widywałem, Eriko. Mieszkam na niej. Lubię trzymać się z dala od miast. Regularnie podróżuję autostopem z Berlina, by móc się przespać w mojej przytulnej kajucie. Zwykle docieram do Gristow w jakieś dwie, trzy godziny, a złapanie okazji w drugą stronę to już zupełna pestka.

— Co zrobisz, gdy się tam znajdziemy?

— Już pytałaś.

— I pytam jeszcze raz. Mam swoje życie i zaczyna mnie niepokoić to, co się z nim teraz dzieje.

Ahlin podniósł z podłogi kawałek szmaty. Była brudna, wyglądała, jakby ktoś nią czyścił świece. Wytarł nią krew z warg Wolffa.

— Ostatni kilometr drogi, już bezpośrednio do miejsca, w którym jest przycumowana łódź, będziemy musieli przejść pieszo — powiedział. — Ale najpierw pozbędziemy się samochodu. — Pochylił się i szepnął Erice do ucha: — Zanim jednak to zrobimy, wykorzystasz to radio do nadania bardzo ważnego komunikatu.

Już od dobrej godziny Mike jechał skradzionym motocyklem za policyjnym volkswagenem, trzymając się przynajmniej pięćdziesiąt metrów za nim. Wcześniej korki hamowały podróż volkswagena do północnej trasy wyjazdowej z miasta, dzięki czemu Mike zauważył, jak wóz gwałtownie skręca w jednokierunkową ulicę i jedzie pod prąd. Ruszył za nim i od tamtej pory ani na chwilę nie spuścił go z oczu.

Motocykl, poobijany, duży kawasaki, miał doskonale przyspieszenie, dzięki któremu łatwo było nim manewrować. Kask za to okazał się o pół rozmiaru za duży. Mike wcisnął do niego jakąś gazetę, żeby mu nie przeszkadzał. Sabrina siedziała za Mike'em. Prochowiec zapięła po szyję i kulila się, żeby nie było widać, że nie ma kasku.

Oswoiwszy się z maszyną, Mike jechał już spokojnie, chowając się za innymi samochodami, czasem wyprzedzał, czasem przyhamował, starając się utrzymać stały dystans. Ilekroć Erika zjeżdżała z trasy, robił to samo, dopóki nie uświadomił sobie, że tamci konsekwentnie zmierzają na północny wschód. Od tamtej pory tak dostosowywał szybkość, by za każdym razem, gdy volkswagen wróci na autostradę, wylądować tuż za nim.

— Żyjesz jeszcze?! — krzyknął, kiedy zaczął smagać ich wiatr.

Sabrina mocniej się skuliła, chowając twarz.

— Żyję, ale czuję, że zaczynamy się ślizgać. Wszystko w porządku?

— Bieżniki są starte po zbyt ostrym braniu zakrętów. Spróbuj nie zwracać na to uwagi.

Kiedy minęli drogowskaz wskazujący 50 kilometrów do Gristow, ruch znacznie zmałał. Mike zwolnił, wydłużając dystans między nimi a volkswagenem do dwustu metrów. Dwie minuty po tym, jak minęli znak: Gristow 30 km, rozpętała się burza. Niebo przecięła błyskawica. Nawet ryk motoru nie zagłuszył grzmotu pioruna, którego dudnienie rozsadało uszy i klatkę piersiową. Kilkakrotnie motocykl wpadł w poślizg, ale za każdym razem Mike zapanował nad maszyną i wyprowadzał ją na prostą, w duchu dziękując losowi, że Sabrina ma dość rozsądku, by siedzieć bez ruchu i jemu zostawić całą robotę.

Na kilometr przed Gristow volkswagen zjechał z głównej trasy. Skręcił gwałtownie w większą drogę prowadzącą do wybrzeża. Mike odczekał, aż samochód zniknie im z oczu, potem ruszył za nim w żółwym tempie. Z tyłu Sabrina mamrotała z ulgą, że w końcu odzyskuje czucie w dłoniach. Na szczycie pagórka Mike stanął i nie schodząc z motocykla, zdjął kask.

— Kierują się w stronę wybrzeża — stwierdził, zerkając na zegarek. — Która właściwie jest godzina?

— Dwadzieścia po trzeciej.

— Chyba w Nowym Jorku, nie przestawiłaś zegarka na berliński?

Mike oparł motocykl na nóżce i zsiadł. Sabrina przerzuciła nogi na jedną stronę i najpierw przez chwilę kręciła stopami, zanim stanęła na ziemi.

— Jak dobrze być motocyklistą — mruknęła, rozcierając dłonie.

Mike strząsnął z dłoni krople wody, wyjął telefon komórkowy i wystukał numer satelity. Otrzymałszy połączenie, wybrał numer UNACO i przycisnął słuchawkę do ucha. Po dziesięciu sekundach świstów i pisków usłyszał słaby, lecz wyraźny głos Whitlocka.

— C.W., to ja, Mike. Pomyślałem, że stary chciałby otrzymać najświeższy serwis informacyjny.

— Już otrzymał — odparł C.W. — Berlińska policja domyśliła się, co się stało. Jeden z austriackich policjantów pożył na tyle długo, by z grubsza im wszystko powiedzieć. Połączyli to jeszcze z paroma drobnymi faktami, między innymi ze zniknięciem pewnego motocykla, który tuż przed strzelaniną jakiś kurier zostawił przed kawiarnią. Ty go zabrałeś?

— Jak mógłbym coś takiego zrobić?!

— Jest z tobą Sabrina?

— Tak. Muszę ci wyznać, C.W., że nie mam pojęcia, co zamierza zrobić Ahlin. Na razie wiem tylko, że zmusił Erikę Stramm do prowadzenia skradzionego wozu policyjnego, którym jedzie jeszcze on i Andreas Wolff. Kierują się na wybrzeże w Gristow.

— Poczekaj, Mike...

— Tylko się pospiesz. Połączenie satelitarne nie potrwa długo.

— Co się dzieje? — spytała Sabrina. Wycierała włosy szalikiem.

— Nie mam pojęcia. Deszcz się uspokaja, ale z drugiej strony... — popatrzył na wschód — zanoszą się na kolejną burzę.

— Cudownie.

— Jak ramię?

— Boli.

Mike parsknął śmiechem.

— A co w tym takiego zabawnego?

— Wyglądasz jak topielica w drogim płaszczu przeciwdeszczowym.

Ponownie zgłosił się Whitlock.

— Erika Stramm wykorzystała radio w skradzionym wozie policyjnym do wystosowania ultimatum — powiedział. — Przekazano je do Interpolu, a oni z kolei przesłali je nam. Dostaliśmy je, kiedy jeszcze mówiła.

— Czego chce?

— Mam tu wydruk. — Whitlock odchrząknął. — Oświadczenie brzmi następująco: „Juli Zwanzig żąda jednego miliona dolarów i ostrzega, że jeśli go nie otrzyma, za trzy godziny Andreas Wolff zginie, a niemiecka stocznia wojskowa w Stettiner Haff zostanie wysadzona w powietrze. Pieniądze odbierze sam Wolff w miejscu i czasie, które będą dokładniej określone w ciągu jednej godziny. To dość długo, by przygotować sumę do przesłania. Żądanie nasze jest skromne, nie wynika z chciwości, a pieniądze będą przekazane w całości na dalsze finansowanie misji Juli Zwanzig”. Koniec oświadczenia.

— Najprawdopodobniej jesteśmy nie dalej niż trzy kilometry od nich — powiedział Mike. — Ruszamy za nimi, ale posiłki byłyby mile widziane.

— Niemieckie władze już próbują ustalić, skąd nadano komunikat. Będziemy mogli im służyć bardziej precyzyjnymi danymi. Przyciśnij równocześnie klawisze z gwiazdką i kratką i policz do dziesięciu. Ustalę waszą pozycję.

Mike wykonał polecenie Whitlocka. Po dziesięciu sekundach telefon zabręczał.

— Jest nagrane i już rusza do odpowiednich władz — odezwał się Whitlock. — Pamiętaj, że choć twoja i Sabriny skóra ma dla nas ogromną wagę, to w tym momencie najbardziej obchodzi nas Wolff.

— Kiedy zaczęła się strzelanina, widziałem, jak złapał dyskietki CD i schował sobie w portkach.

— Programy zabezpieczające ICON-u — jęknął Whitlock.

— Lepiej by chyba było, gdyby je zostawił — stwierdził Mike. — Jeśli Ahlin się zorientuje, co ma w garści, to dopiero będzie nieszczęście.

— Wolę o tym nie myśleć.

— Musimy już ruszać, C.W.

— Odzywajcie się, kiedy będziecie mogli.

Mike schował telefon do kieszeni i powiedział Sabrinie o oświadczeniu Eriki.

— Jej głos — odparła — ale słowa Einara, założę się.

Mike uruchomił motocykl.

— Przyznam, że mam wyjątkowo ponure przeczucia, jeśli chodzi o Ahlina.

— Ja też. — Sabrina odczekała, aż ustawi motor, dopiero wtedy wskoczyła na siedzenie.

— Kiedy o nim myślę, mam takie uczucie, jakbym zobaczyła przed sobą terrorystę i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że broń zostawiłam w hotelu.

— Znam je — przytaknął Mike. — Nawet dostało naukową nazwę.

— Jaka?

— Błady strach.

W miarę jak zbliżali się do brzegu, niebo coraz bardziej ciemniało. Mike prowadził motor po wyboistej drodze, omijając liczne kamienie i rozglądając się za śladami volkswagena. Właśnie spadły pierwsze krople kolejnej ulewy, kiedy Sabrina klepnęła Grahama w ramię.

— Tam — pokazała w stronę morza.

Dziesięć metrów za pomostem nad wodą sterczał kufer samochodu.

— Mam nadzieję, że Ahlin nie zostawił nikogo w środku — powiedział Mike.

Jechali jeszcze pięć minut, nabierając szybkości na prostej drodze. Mijali osłonięte brezentowymi plandekami łodzie, które kołysały się przy brzegu, czekając na weekend i powrót swoich właścicieli.

Sabrina ponownie plasnęła Mike'a w ramię.

— Tamta łódź, widzisz? Ta duża, zielona. Na pokładzie palą się światła.

Motorówka była przycumowana do obrośniętego mchem, wąskiego pomostu. W kabinie Andreas Wolff siedział oparty o poduchy kanapy. Einar Ahlin zajął miejsce przy stole, naprzeciwko Eriki Stramm. Tłumaczył jej sytuację, jakby wszystko już dawno zostało zaplanowane.

— Policja będzie z grubsza znała nasze położenie, bo zlokalizują, skąd nadaliśmy komunikat. To możliwe przy radiach policyjnych i właśnie dlatego z niego skorzystaliśmy. Kiedy przyjdzie czas na wymianę, opóźnienie będzie minimalne. — Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. — Następnym razem, gdy będziesz z nimi rozmawiać, skorzystaj z tego.

— Więc chcesz, żeby tu dotarli — powiedziała Erika.

— Chcę, żeby zobaczyli Wolffa. — Ahlin wyprostował się i założył ręce za głowę. — W tym czasie my będziemy już na morzu, ale zdołają go wypatrzeć i uspokoić się, że to on. Wtedy wyślą pieniądze małą łódką, którą zostawimy przy pomoście, a gdy łódka dotrze do nas, uwolnimy Herr Wolffa. Cali szczęśliwi, oddychając z ulgą, będą mu pomagać wysiąść z łodzi, którą wróci na brzeg. Oczywiście, Wolff będzie miał związane ręce i zakneblowane usta.

— Dlaczego?

— Żeby nie mógł ich ostrzec, że siedzi na bombie. Ahlin pokazał jej szarą, metalową skrzynkę, leżącą na półce przy drzwiach; mogła mieć jakieś piętnaście centymetrów długości. Z wierzchu sterczała rączka. Była szeroka i dość płaska.

— Wciśnięcie guzika nie daje nic. Dopiero powtórne jego zwolnienie skutkuje wielkim bum! — Ahlin wyrzucił w górę ramiona i wybuchnął śmiechem. — Sam to skonstruowałem.

Początkowo zamierzałem wykorzystać ją do pozbycia się Gibsona, tego Amerykanina. Uznałem jednak, że lepiej, by coś tak potężnego i, przyznaję, dość niestabilnego nie podróżowało za daleko przed użyciem.

Pochylił się i poklepał skrzynkę, w której mieściła się bomba. Erika wpatrywała się w Andreasa Wolffa. W jego oczach malowała się desperacja.

— A co z groźbą wysadzenia stoczni?

— Kompletny nonsens — odparł Ahlin — ale taką groźbę musieli potraktować poważnie. — Kiwnął głową w stronę Wolffa. — Ludzi, oczywiście, ceni się wysoko, szczególnie takich spryciarzy jak on, ale majątek, inwestycje, a zwłaszcza tajne... O, tego trzeba strzec za wszelką cenę. Groźba wysadzenia stoczni gwarantuje dostawę miliona dolarów, a dodatkową korzyść stanowi fakt, że znaczne siły policyjne i wojskowe zostaną rzucone do pilnowania tamtego terenu.

Ahlin pieszczotliwie pogładził bombę.

— To duży ładunek. Szczerze mówiąc: olbrzymi, więc kiedy Herr Wolff wstanie, narobi się dużo szkód, będzie wielu rannych, a do tego potworne zamieszanie, dzięki któremu uda nam się spokojnie odpłynąć w swoją stronę.

Erica zrobiło się niedobrze.

— Ja nie chcę nigdzie jechać. Chcę tylko zobaczyć Jurija. Tylko to się liczy.

— Najpierw musisz popłynąć ze mną.

— Dokąd? Do Norwegii?

— Jestem pewien, że tak właśnie pomyśli policja. Tymczasem nie. My tylko zatoczmy łuk. Nie zapominaj, że nie skończyliśmy jeszcze misji w Niemczech. Dlatego też, podczas gdy stróże prawa będą nas szukać po całym świecie z wyjątkiem Niemiec, my dopełnimy naszego wielkiego dzieła. A potem... — Ahlin wzruszył ramionami. — Potem nie wiem. Może wspólnie wymyślimy kolejną misję.

Erika znowu spojrzała na Wolffa. Był śmiertelnie blady. Siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Boję się — powiedziała Erika. — Przez ciebie wszyscy zginiemy.

Tymczasem na zewnątrz Sabrina z Mike'em skradali się do przystani, starając się, by nikt ich nie dostrzegł. Mike na palcach przemknął w stronę kajuty na przedzie i zajrzał przez iluminator. Odwrócił się do Sabriny i skinął głową. Wyciągnął rewolwer i odbezpieczył. Sabrina też wyciągnęła broń i przygotowała do strzału. Na palcach pokonali sześć stopni.

Mike popatrzył na Sabrinę. Delikatnie ujął klamkę i bezgłośnie zaczął odliczać do pięciu. Na dwa Mike leciutko uchylił drzwi. Na jeden z całej siły je kopnął.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Ahlin odskoczył, omal się nie przewracając. Erika wrzasnęła, a Andreas Wolff poderwał się na nogi. Mike wpadł do pomieszczenia z rewolwerem gotowym do strzału. Sabrina stała dwa kroki za nim, na najniższym stopniu, mierząc prosto w głowę Ahlina.

— Stać! — ryknął Mike. — Nie ruszać się! Ani o włos! Ahlin wzniósł oczy ku górze. Zachwiał się, jakby miał zemdleć. Wolno osunął się na kolana. Mike był już o trzy kroki od niego. W chwili gdy Ahlin ramieniem dotykał podłogi, wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął lśniący, srebrny pistolet.

— Uważaj! — ostrzegła Sabrina.

Zanim Mike zdążył go dopaść, Ahlin strzelił do Andreasa Wolffa. Kula trafiła mężczyznę w brzuch. Padł z powrotem na kanapę.

Kolba rewolweru Mike'a wylądowała na brodzie Ahlina. Porywacz padł ogłuszony. Mike wyrwał mu pistolet i schował go sobie do kieszeni.

— Biegniemy! — wrzasnął, popychając Erikę ku drzwiom. — Szybko!

Wziął Wolffa pod pachy i podciągnął go do pozycji siedzącej. Mężczyzna uchylił powieki i skrzywił się z bólu.



— Kula chyba tylko cię drasnęła — uspokoił go Mike. — Jak się czujesz? Możesz wstać? Wolff potaknął, z trudem chwytając powietrze i pokazał na spodnie.

— Dyskietki — powiedział Mike. — Wiem. Podniósł Wolffa i przepchnął go przez drzwi.

— Prowadź go — rozkazał Erice.

— Uwaga na skrzynkę! — krzyknęła Erika, gdy Sabrina pomagała im obojgu wejść na pomost. — To bomba. Chyba ze zwalnianym zapłonem.

Mike przeciągnął Ahlina po podłodze. Oparł go o ścianę, przeszukał go, potem tak długo policzkował, aż ten otrzeźwiał. Ledwo uchylił powieki, a Mike odciągnął Ahlina od ściany i wywlókł go na schody.

— Oprzytomniał, Sabrina! — zawołał. — Trzymaj go na muszce i strzelaj, jeśli tylko się ruszy!

Mike wziął bombę i wyniósł ją na pokład, gdzie ostrożnie postawił na dziobie. W chwili gdy się prostował, Sabrina krzyknęła ostrzegawczo. Zobaczył, jak się zatoczyła, a potem ktoś pchnął go z tyłu.

— Suń się, jankeski żołnierzyku — warknął Ahlin, z wysiłkiem przeciskając się obok Mike'a.

Odwrócił się i nim Graham zdążył go złapać, siadł na bombie. Pod jego ciężarem przycisk zapadł się z chrzęstem.

— A teraz... — zachwiał się i podparł o kadłub — ...myślę, że my dwaj powinniśmy zostać na miejscu.

— Nie sędzę — odparł Mike. Obejrzał się. — Biegnij na brzeg, Sabrina. Już!

— Jeśli wstanę, razem ze mną pójdiesz do nieba. Nawet najszybszy sprinter nie ucieknie przed przeznaczeniem. — Ahlin poklepał bombę pod sobą. — Masz ochotę mnie zabrać razem z nią?

Mike nie odpowiadał. Patrzył na pozostałych. Byli już prawie r na końcu pomostu, blisko drogi. Wolff ruszał się wolno, kulał, Sabrina i Erika ciągnęły go, żeby szedł szybciej. Ciągle jeszcze byli za blisko.

— Żadnych sztuczek albo natychmiast wstaję. — Ahlin założył ręce za głowę. — Powiedz, czy nie wyglądam na dziwnie odprężonego? — Uniósł brwi. — Rzeczywiście, zdaje się, że wpadłem w potrzask, co? Tak naprawdę to mam w tym cel. — Ahlin wyprostował ręce. W prawej dłoni błyszczał pistolet, taki sam, z którego strzelił do Wolffa. — Kieszonka w kołnierzu marynarki. Musiałeś już się z tym spotkać, prawda? Roześmiał się i wyprostował ręce nad głową. Mike próbował wyrwać mu broń. Ahlin przerzucił ją do drugiej ręki.

— Erika! — krzyknął.

Odwróciła się. Ahlin wystrzelił do niej. Padła u stóp Sabriny.

— Za zdradę! — ryknął Ahlin, krzywiąc się z bólu, gdy Mike wyszarpnął mu pistolet.

Sabrina przyklekła i sprawdziła tętno na szyi Eriki. Podniosła wzrok i pokręciła głową.

— Zabiłeś ją — powiedział Mike.

— Zasłużyła na to. I ty też, jankesie. Spokojna głowa, już niedługo.

Mike westchnął.

— Straszny z ciebie dzikus, Einar. Najchętniej połamałbym ci wszystkie palce, jeden po drugim, ale w ten sposób zniżyłbym się do twego poziomu.

— Więc co zrobisz?

Mike wyciągnął rękę i położył ją na głowie Ahlina, mocno naciskając i nie pozwalając mu wstać. Gwałtownie pchnął go do tyłu. Teraz Einar opierał się o dziób, z obu stron otaczały go skrzynki.

— Małe zniczulonko.

Zsunął dłoń wzdłuż twarzy Ahlina, do szyi. Einar podniósł dłonie, próbując się bronić, ale Mike'a nie sposób było zatrzymać. Namacał splot ramienny. Nacisnął. Głowa Ahlina opadła.

Mike stał przez chwilę, potem błyskawicznie odwrócił się i przebiegł przez pokład. Zeskoczył na pomost i podbiegł do reszty.

— Mamy jakieś dziesięć minut, zanim oprzytomnieje. Jak leci, Andreas?

— Mogłoby być gorzej — zachrypiął Wolff — ale mógłbym też mieć i więcej szczęścia. — Spojrzał na ciało Eriki. — Co zresztą dotyczy nas wszystkich.

— Tak to już bywa. — Mike przykucnął, żeby podnieść ciało Eriki. — Sabrina, pomożesz Andreasowi wspiać się na to wzgórze? Wykorzystajmy tę chwilę spokoju i zwiewajmy za pole rażenia.

Cztery minuty później przyjechała policja. Przywieźli ze sobą oficera z teczką, w której znajdowało się milion dolarów w używanych banknotach.

Mike przedstawił sytuację. Napięcie wśród policjantów zelżało.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać — powiedział Mike.

Ciało Eriki położono na nosze, zasłonięto prześcieradłem i umieszczono w wozie policyjnym. Strzelcy zajęli miejsce na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na pomost, wizjery ustawili na sylwetce nieprzytomnego mężczyzny. Mike siedział na trawie i spokojnie przemawiał do Andreasa Wolffa, który czuł się coraz gorzej.

Czas płynął. Nagle Sabrina zauważyła, że część policjantów schodzi niżej, w stronę brzegu.

— Nie zbliżać się! — ostrzegła. — On siedzi na potężnym ładunku.

Część posłuchała. Reszta została na nowych miejscach i ponownie unieruchomiła broń oraz nastawiła celowniki. Sabrina wyraźnie widziała łódź. Nie chciała się temu przyglądać z bliska. Dostrzegła sylwetkę Einara Ahlina. Widziała, jak się porusza. Wyprostował kark, rozmasował tył głowy, zasłonił dłońmi oczy. W końcu opuścił ręce i popatrzył na wzgórze.

— Nie wie, co się dzieje — odezwał się policjant. — Jest zamroczony.

— I mam nadzieję, że tak zostanie — dodała Sabrina. Przetarł oczy, jakby znowu miał zapaść w sen. I nagle wstał. Wszyscy wstrzymali dech. Ahlin tkwił bez ruchu, spojrzał na skrzynkę, na której siedział. Widać było, jak zeszywniał, potem odsunął się o krok. Bomba eksplodowała, w niebo wystrzeliła złocista luna. Po sekundzie przez wzgórze przetoczył się grzmot, a tuż za nim fala uderzeniowa, szarpiąc krzakami, zrywając z głów czapki i okulary.

Z nieba posypały się odłamki. W powietrzu uniosła się chmura dymu. Część tego, pomyślała Sabrina, to szczątki Einara Ahlina.

— Czyli już po wszystkim — odezwał się Andreas Wolff. — O jednego szaleńca mniej. I tak oto zwalnia się miejsce dla następnego.

— Jest tu policja, ambulanse, jeden czy dwóch ludzi, jak podejrzewam, z niemieckich służb bezpieczeństwa — relacjonowała Sabrina Philpottowi przez telefon. — Istne piekło. Dzięki genialnemu sposobowi, z jakim Mike uporał się z Einarem Ahlinem, cokolwiek poszarpane piekło. Z łodzi nie pozostało nic, tylko szczątki.

Philpott chciał wiedzieć, jak poważna jest rana Wolffa.

— Kula trafiła prosto w program, szefie. Całe cztery dyskietki. Nawet nie drasnęła skóry, ale podejrzewam, że Wolff będzie miał obrażenia wewnętrzne.

— Czy na tych czterech dyskietkach mieścił się cały program zabezpieczający? — spytał ponuro Philpott.

— Nie pytałam, ale jeśli wziąć pod uwagę, ile danych może się zmieścić na choćby jednej z nich, podejrzewałabym, że miał na nich wszystko.

— Może zrobił kopie.

— Tego typu dyski są dość odporne. Na ogół nie robi się już dodatkowych kopii.

— No cóż, dzięki, że tak cudownie rozjaśniłaś mi ten ponury dzień — mruknął Philpott. — Zadzwoń, jak zdobędziesz więcej wiadomości.

— Masz to u mnie.

— Przy następnej rozmowie przekażę ci szczegóły kolejnego zadania.

— Już się coś kroji?

— C.W. siedzi nad sprawą. Jak mawiają: złego nie sieją, samo wschodzi.

— A cóż to ma wspólnego z tak szlachetną duszą jak moja?

— W każdej innej sytuacji chętnie bym się zabawiał tym słownym ping-pongiem, ale chyba zrozumiesz, że kiedy pomyślę, co się może teraz stać z ICON-em, opuszcza mnie dobry nastrój. Odezwij się szybko.

— Doskonale, szefie.

Sabrina odłożyła telefon i uklękła obok Wolffa, który nadal siedział na trawie.

— Mam nadzieję, że się nie obrazisz, że poruszam tę sprawę, nie dając ci się otrząsnąć z ostatnich przeżyć — odezwała się, zerkając na Mike'a, który wznosił oczy ku niebu, ale zmilczał. — Chodzi o te dyskietki, które miałeś za paskiem. Czy to było wszystko, nad czym pracowałeś? To znaczy, czy wszystko się znajdowało na tych czterech dyskietkach?

Wolff skinął głową.

— Szczerze mówiąc, to właśnie dlatego czuję się taki chory. — Wolno przeciągnął palcami po pasku spodni i wyciągnął kilka odłamków dyskietek, przeoczonych przez pielęgniarzy. — Wszystko poszło — westchnął. — Co do jednej.

— Ponura prawda wygląda tak — stwierdził Mike — że ocaliłeś życie kosztem nowej generacji zabezpieczeń banku danych ICON-u.

Na twarz Wolffa odmalowało się zaskoczenie.

— Przepraszam. Chyba nie zrozumiałem....

— Powiedziałem, że bezpieczeństwo ICON-u poległo w trakcie...

— Poległo? — Wolff otworzył oczy ze zdumienia. — Bezpieczeństwo ICON-u? Nigdy. Jakim cudem? Póki ja żyję, nic mu nie grozi.

Mike i Sabrina wymienili spojrzenia. Mike popatrzył na Wolffa.

— Nie nadążam, Andreasie. Czyli te dyskietki nie zawierały unowocześnionego programu zabezpieczającego dane? Tego, nad którym tak ciężko pracowałeś?

— Też mi! — Wolff łypnął na Mike'a, jakby miał do czynienia z idiotą. — Zabezpieczenia danych to mój zawód — stwierdził, pukając się w głowę. — Oczywiście, robię notatki, lecz programy, pomysły, wszystko to bez przerwy ewoluuje i dlatego wymaga odpowiedniego składowiska. — Jeszcze raz postukał się w głowę, tym razem mocniej. — Zrodziły się w moim mózgu i pozostaną w nim tak długo, aż osiągną doskonałość. Dopiero wtedy zostaną wprowadzone do systemu. — Wolff wydłubał ze spodni jeszcze kilka odłamków. — Na tych dyskietkach znajdowały się moje najnowsze cacuszka. — W jego głosie dźwięczała rozpacz. Mike ściągnął brwi.

— Masz na myśli gry?

— Cztery — przytaknął Wolff. — Każda wypieszczona. I wszystkie przepadły. — Popatrzył na Sabrinę konającym wzrokiem. — Pracowałem nad nimi trzy lata. To był majstersztyk, to były moje dzieci. — Potrząsnął głową nieutulony w żalu. — Trzy lata ciężkiej pracy. Trzy lata życia, na miłość boską.

Mike robił, co w jego mocy, by przybrać współczujący wyraz twarzy. Sabrina się odwróciła. Mieli za sobą diabelnie ciężki dzień.

## ALISTAIR MACLEAN

Nieżyjący autor szkocki niezwykle popularnych powieści przygodowych i wojennych, które weszły do kanonu literatury tego gatunku. Urodził się w 1923 roku; w wieku osiemnastu lat wstąpił do Marynarki Królewskiej; ponad dwa lata służył na pokładzie krążownika. Po wojnie, po ukończeniu z wyróżnieniem Glasgow University, pracował jako nauczyciel w gimnazjum dla chłopców. Powieść wojenna „H.M.S. Ulisses” (1955) ukazująca bardzo realistycznie przejścia załogi krążownika uczestniczącego w konwoju przewożącym broń i wyposażenie do radzieckiego Murmańska przyniosła pisarzowi uznanie krytyków, niezależność finansową oraz popularność w Wielkiej Brytanii. Druga książka „Działa Nawarony” (1957) uczyniła z MacLeana autora światowej sławy; doczekała się też nie mniej sławnej ekranizacji z aktorami tej miary co Gregory Peck i David Niven. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych MacLean wyspecjalizował się w pisaniu książek przygodowych i thrillerów, stając się szybko najchętniej czytany autorem tego gatunku na świecie. Jego utwory przetłumaczono na kilkadziesiąt języków, a wiele z wydanych przez niego dwudziestu ośmiu powieści zostało sfilmowanych. Oprócz „Dział Nawarony” do najgłośniejszych ekranizacji należały „Tylko dla orłów” z Richardem Burtonem i Clintem Eastwoodem, „Komandosi z Nawarony” z Harrisonem Fordem, „Stacja arktyczna Zebra” z Rockiem Hudsonem, „Czterdzieści osiem godzin” z Anthonym Hopkinsem, „Przełęcz Złamanego Serca” z Charlesem Bronsonem.

Przez kilkanaście lat MacLean mieszkał w jugosłowiańskim Dubrowniku. Tam powstały jego późniejsze, słabsze powieści, m.in. „Partyzanci” (1982), „San Andreas” (1984) i ostatnia, „Santorini” (1986). Pisarz zmarł w Szwajcarii na atak serca w lutym 1987 roku.

## HUGH MILLER

Pisarz szkocki, ekspert w zakresie medycyny sądowej. Odniósł sukces literacki książką *Ambulance*, jest autorem serii powieści kryminalnych, których bohaterem jest prywatny detektyw Mike Fletcher; pisuje też scenariusze telewizyjne. Od 1996 roku współpracuje z wydawnictwem HarperCollins i spadkobiercami Alistaira MacLeana. Spod jego pióra wyszły dwie książki stanowiące rozwinięcie pozostawionych przez tego pisarza scenariuszy filmowych o przygodach agentów UNACO: „Na celowniku” (1996) i *Alistair MacLean’s UNACO: Borrowed Time* („Stan zagrożenia”, 1997).